

225 806-1
2 egz
I 414

O LITERATURZE POLSKIEJ

W WIEKU DZIEWIĘTNASTYM

PRZEZ

Maurycego Mochnackiego

In magnis voluisse sat est.

Com 1.

WYDANIE II

dopełnione.

POZNAŃ

Druk i Nakład W. Stefńskiego

1845.

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU



312230

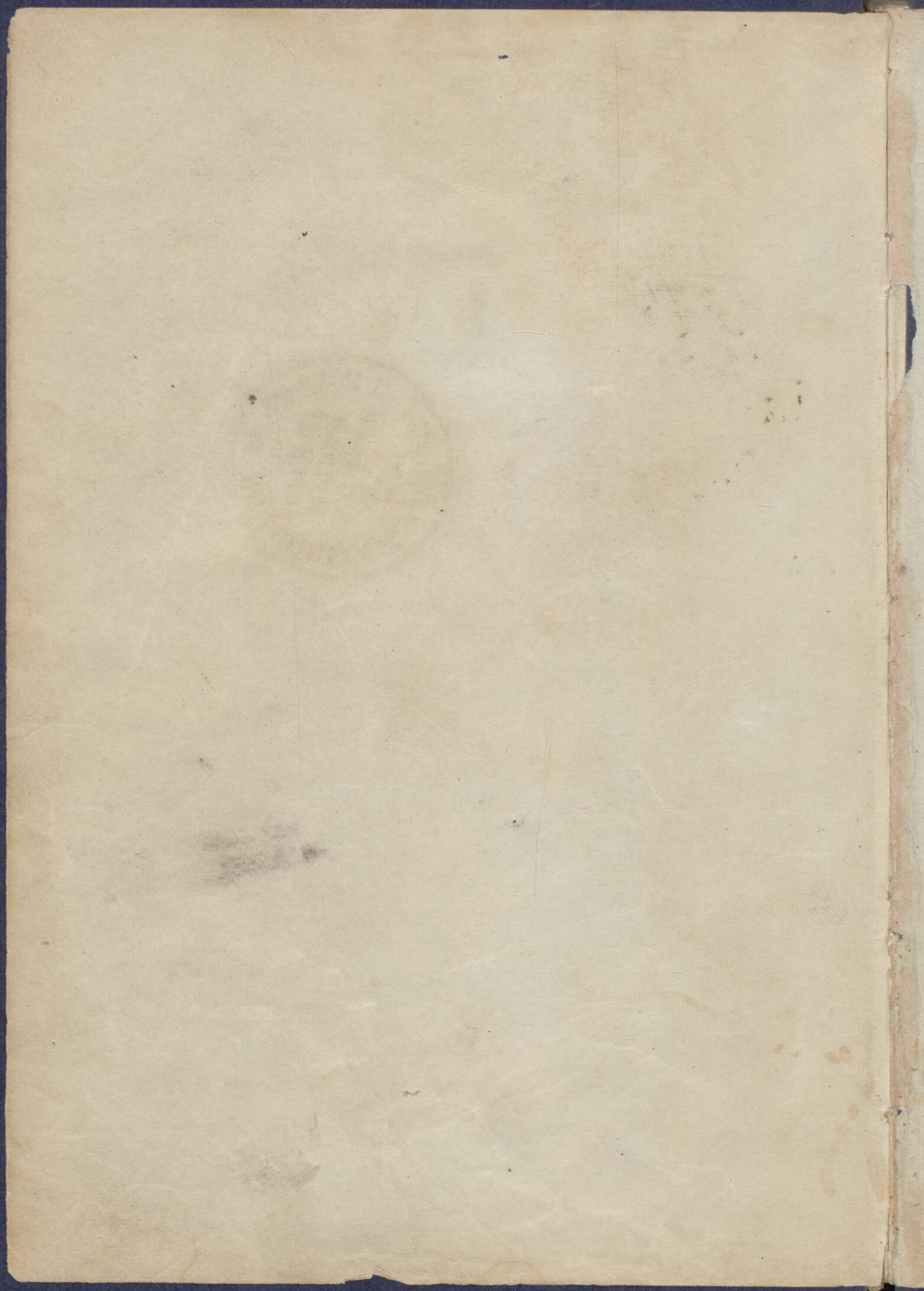
~~1414~~
I 414.



5 4 414

I 414.





T
414.

22 225 806. I
2 egz

O LITERATURZE

P O L S K I Ę J



W WIEKU DZIEWIĘTNASTYM

PRZEZ

Maurycego Mochnackiego



~~№ 3581~~

In magnis voluisse sat est.

Tom I.

~~F. 78.~~



WYDANIE II
dopełnione.

~~F. 82.~~

POZNAŃ

Druk i Nakład W. Stefańskiego

1845.

17

O LITERATUR

P O L S K I E

W. H. R. D. W. H. R. D. W. H. R. D.

1883

W. H. R. D. W. H. R. D. W. H. R. D.

312230

1/1

In omnibus voluminibus est

1883



W. H. R. D. W. H. R. D. W. H. R. D.

W. H. R. D. W. H. R. D. W. H. R. D.

1883

BOZNA

W. H. R. D. W. H. R. D. W. H. R. D.

1883

1954.11.15

PRZEDMOWA.

Przypominamy sobie wszyscy, jak ważną epokę sprawiło w ojczyście piśmiennictwie ukazanie się pierwszego wydania dzieła *O literaturze polskiej wieku XIX*. — Pośród odmetu wyobrażeń, ścieśnionych już to sztywnością formułek klassycyzmu, już niewyrobionemi pojęciami przyjętymi od Anglików i Niemców — literatura Polska nieprzychodziła wcale do świadomości — niepoznawał się ogół czytelników na Malczewskim, Goszczyńskim, — i ledwie uniesiony polegą geniuszu Mickiewicza, — uczuł jego wielkość — lecz niebył w stanie zrozumieć go. — Wystąpił Mochnacki, — talent potężny, wykształcony gruntownie, — znający dobrze filozofię społeczną, — wystąpił z dziełem które mamy przed sobą i wykazał czem jest Narodowa literatura; — a chociaż uwaga Narodu była wówczas ku innym ważniejszym obróconą przedmiotom, — Mochnacki wystąpieniem swoim sprawił epokę w postępie pojęć w Polsce. Nietylko wykształcenie literackie i czysto estetyczne, ale nawet filozoficzne wykształcenie, zawdzięcza dzieł u Mochnackiego, dzisiejszy swój stopień rozwinięcia w Narodzie naszym.

Pierwsze wydanie dzieła „O literaturze polskiej w XIX. wieku“ szybko rozchwyłane zupełnie już wyczerpniętém zostało, — tymczasem ciągle daje się czuć potrzeba czytania i odczytywania książki, tylu genialnemi świetniejącej myślami, — której wartość i zalety tak są powszechnie uznane, że już nad niemi niewolno się rozwodzić. Chcąc tej potrzebie odpowiedzieć powtórzyliśmy wydanie dzieła Mochnackiego, — pomnożywszy je dopełnieniami, — i słając się ceną umiarkowaną uczynić je dostępnem. Oznaczamy wydaną książkę mianem tomu pierwszego; mamy bowiem nieplonną nadzieję, że wkrótce potrafimy odszukać pozostały po autorze rękopis drugiego tomu dzieła, które teraz przedstawiamy publiczności — a natenczas spodziewamy się, że piśmiennictwo polskie, wydaniem naszym, wielce zubożonem zostanie.



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Założenie autora.

Chcącemu teraz w dostatkach piśmiennych jakiegokolwiek narodu rozeznąć jego myśl własną, toż charakter, postać moralną i kształt cywilizacyi, trudném staje się to przedsięwzięcie, jeżeli nie niepodobném ku wykonaniu. Za dawnych czasów, — nie mówię w zapadłej starożytności, ale w Europie chrześcijańskiej, — umiejętność szła innym strychem, w ciśniejszych mieściła się szrankach, niżeli teraz; kładziono ją pod pewną linię i modłę, żeby nie chybiała ani na tę, ani na owę stronę. To prawda! Lecz wtenczas duch ludzki zawodził na głębią; w głębi przenikał do jasności i szukał gruntu. Dzisiaj we wszystkiém więcej postawy, niż wątku. Być może, że teraz więcej umiemy od poprzedników

naszych; ale zapewne przechodzą oni nas treścią, i mocą swych pojęć. Umiejętność terazniejsza nie zna żadnego wędzidla; nieukrótcona żadną przeszkodą, żadną wątpliwością, jako potok wezbrany z granic występuje. Płyń széroko, rwiśtym pędem, na wszystkie rozlewając się strony; ale na swojém nie jest tak umocniona, i tak daleko jak pierwój nie zachodzi. Dzisiaj, że tak powiem, w szerz i podług rozmiaru na długość moc pojęć naszych się roznosi; przedtem zaś umysł ludzki, albo bujał w przepaścistych otchłaniach, albo śmiałym lotem wzbijał się w przeciwną stronę, do wysokości już dla nas nie-dościgłej, i ledwo nie ku wyżynom zawrotu. Tam szukał prawdziwój chwały!

A przecież z tego tylko wyrozumieć można człowieka, w tém jedynie przeniknąć do jego ducha, co on sam głęboko pojął, zrozumiał, uczuł. Któż bowiem zgadnie istotę nic niepojmującą? Toż samo z narodem się dzieje. Dzielność jego poznawań na jaśnią się wyrывa w wiedzy rozpostartej, w umiejętności; a siła jego fantazyi w sztuce. Uczucie w pieśni się maluje.

Rzućmy okiem na dzisiejszą statystykę nauk. Co za ogromne drzewo wzrosło z pierwotnego szczepu! Jak wybujalo, jak się rozgałęziło! Jak széroko teraz ziemię zalega cieniem swojém! I co raz to nowe puszcza odrośle. Ledwo nie co-

dziennie, w porządku wiadomości naszych, mnoży się liczba działów, i mnożyć się nieprzestaje. A za lat sto, za lat dwieście, któż wie, czy potomkowie nasi przez całe życie swoje do szkół, jako żaki, chodzić nie będą musieli dla nauczenia się, przynajmniej z rejestru abecadłowego nazwisk tytułu umiejętności, tylą rozmaitemi pochrzczonych tytułami? Każdą rzecz radziłyśmy obrócić w umiejętność; z lada fraszki stworzyć naukę. Cóż z tego kiedy w tém wszystko się z szczerzej istoty wytrawia, wszystko na wierzch wychodzi!... Jakże wyrozumieć naturę umysłu publicznego, gdzie nie niema ani gruntu pod sobą, ani wewnątrz ujęcia? Cóż wreszcie wyrozumieć z blichtrów w mowie i pisaniu?..... Przedtém któżby był pomyślił, że naprzykład o samój sztuce kucia koni, albo o zaprawie mularskiej i cementach będziemy mieli liczne pisma, uczone wywody, i ledwo nie całą literaturę? — Inaczéj to kiedyś bywało. Ludzie nie tak wiele pisali o budowlach i cementach, a trwalsze, ozdobniejsze stawiali gmachy. Zkądże to pochodzi? Dla czego pamiątki stare taką okazałością jaśnieją? Czemu tak zdrożały w naszym własném mniemaniu? Rzecz naturalna. Bo znaleliśmy w rozerwaniu naszym; bo pierwéj myśl ludzka nie była jako warsztat rękodzielniany, gdzie, w miarę podziału pracy na co-

raz drobniejsze zatrudnienia, otrzymujemy coraz doskonalsze wyrobki.

Ten mechanizm tak pożyteczny w ręcznych robotach, wielkie szkody zrządził w nauce. Moc ducha na jedności zależy; w podziałach słabnie, rozprasza się. Umiejętność szerząca się mechanicznymi środkami poniża rozum ludzki. W tej mierze mam na względzie nie tylko nas samych w Polsce, ale całą Europę. Wszyscy teraz, jak widać, z jednego źródła czerpiemy; tak samo wszyscy czujemy, myślimy, piszemy. Czyż to nie jest widoczny skutek powszechnego mechanizmu pojęć, mechanizmu myślenia? W tej jednostajnej cywilizacji, zacierającej właściwość indywidualną i wszystkie pierwotne cechy, jakże trudno odkryć i wyłączyć istotę naszego narodu wrodzonej jego osiadłości? Tę same wszędy formy zewnętrzne i rzecz ta sama; te same widoki, wyobrażenia. Rodzicielstwa znamie na dziełach uczonych, w utworach sztuki, w poezji, we wszelakiem misterstwie dowcipu, niegdyś tak wydatne, tak rażne, tak bijące w oczy, coraz wątpliwsze staje się. Przyjdzie ku temu, że go i znać nie będzie. Przenoszą się mniemania z jednego kraju do drugiego; jednego trzymają się porządku; w jednych klubach zawarte. Mają tę samą moc i niemoc, tę samą prawdę i nieprawdę. A jeżeli gdzie jaką różnicę postrzeżesz, to tylko w zewnętrz-

trznym kroju, na zwierzchnęj szacie myśli; w gruncie żadnej prawie odmiany. Niżeli o kosztowne perły i dyamenty trudniej teraz o nowość w myślach. Nie jestże to znakiem, żeśmy upadli na siłę?

Ustała światłość pierwotnej anielskiej natury człowieka! Ustała owa dzielność poznawań. Zdrobniały pojęcia; osłabła usilność do wielkich rzeczy w zamęcie potocznych spraw społeczęńskichgo życia, w nieprzebraném mnóstwie wiadomości, a najbardziej roztrzeniem się nauk i umiejętności na niezliczone działy. Jakież mniemanie zawezmie o nas daleka potomność? Powie-li, żeśmy wszyscy jeden naród bratni, jedną rodzinę, spólnym rządzącą się rozumem składali w Europie? Czy téż przypisze niemocy, albo lenistwu, że tak różne plemiona, różne mową, postawą, językiem, obyczajem, w różnych zamieszkałych siedliskach, miały przecież jakby jedną głowę, jedną moc ducha, jedną imaginacyą i jedną siłę natchnienia?.... Zaiste, obróciwszy myśl ku upłynionym czasom, łatwiej rozwikłalibyśmy charakter idealny któregokolwiek ludu bądź w starożytności, bądź w wiekach pośrednich z ułamków, z spleśniałych resztek jego cywilizacyi, jak dzisiaj z ogromnego stosu ksiąg drukowanych i przechowujących się w całości.

Nie będę roztrząsał pism uczonych Polaków, ani dzieł polskich artystów, dla ocenienia ich wartości; bo to właściwie do krytyki należy. Zamiarem moim jest: zbadać ducha i przeniknąć do istoty polskiego narodu w ojczystej literaturze.

[Całą usilność moję w to położę, żeby czytelnik wyrozumiał: jaki jest umysł ogólny w Polsce pod względem artystowskim i naukowym? Gdyż sztuka i umiejętność są to dwa najpiękniejsze pierwiastki dzisiejszej europejskiej cywilizacji.

Prócz wzmiankowanych przeszkód, utrudniających wyrozumienie umysłu publicznego, czyli ogólnego, tudzież wyciągnięcie na jaśnią istoty moralnej któregośkolwiek bądź w dzisiejszych czasach narodu (co szczególnież nas samych się tyczy, którzy tyle przejęliśmy od obcych), i to także co następnie powiem zdaje się być godne uwzględnienia:

Wszyscy estetycy radzi powtarzają, jedni za drugimi: że literatura powinna być obrazem narodu. Nic nad to pewniejszego. Ale obraz narodu, jest także obrazem czasu. Czas zaś, jakież to ruchomy element! Czas nigdy nie *jest* rzeczywiste. Zawsze *staje się*. Trudno więc położyć granicę nieprzeskoczną między upłynionym

a przyszłym czasem (*). Tę główną trudność wrze-
czy samą spotykam w piśmie mojem. Każda
upłyniona chwila w przeszłość zapada: każda na-
stępna, nawet kiedy to piszę, do przyszłości na-
leży. Któż godzinę, którą minutę, sekundę uwa-
żać jako nieruchomy punkt między temi dwoma,
jeżeli tak rzecz godzi się, biegunami czasu?
Między przeszłością, i przyszłością? — Nie jest-li
teraźniejszość złudzeniem? Kto w to pilnie wej-
rzy powie: *nie masz teraźniejszego czasu*.

Czas był, albo będzie. Nigdy nie jest. Zawsze
się rozwija. A przecież żądamy od społecz-
nych dziejów pisarza, a szczególnie od histo-
ryka społecznej literatury obrazu teraźniejszości.
Żądamy więc tego, czego nikt dokazać nie mo-
że; bo ten sam Historyk co chwila, za każdym
uderzeniem pulsu, należy w połowie do minionego,
a w połowie do przyszłego czasu.... Jakże uchwyci
zarysy téj mieniającej się co chwila fizyognomii
wieku? Jak odmaluje obraz, gesta, wejrzenie ru-
chomą twarz? Portret osoby niecierpliwéj, nie-
spokojnéj, która za każdym pociągnięciem pędzla
wstaje z miejsca i odbiega od artysty; a potem
znowu wraca i odchodzi z odmienną co chwila

(*) Tę samą myśl umieściłem był w artykule Kuriera
Polskiego: *Czas teraźniejszy* (N. 130) Cały ten artykuł
w Kur. Pols. co do słowa prawie wypisany z niniej-
szego dziełka.

wejrzeniem to pochmurnego, to rozjaśnionego lica; która jest ustawnie to w smutku, to w weselu; która jest wszystka z duszą i z ciałem w grze namiętności: — portret takiej osoby będziej jój podobny?

A jednak żądamy wiernego portretu od społecznych dziejów pisarza! — W takim samym przypadku i ja się znajduje. Trudny zawód, — może trudniejszy, niżeli inne literackie przedsięwzięcia. Z téj przyczyny położyłem na tém piśmie godło: *in magnis voluisse sat est.*

— ❦ —

Co rozumieć potrzeba przez literaturę?

Natura wszędzie prawie stawia przed oczy człowieka naśladowane obrazy pierwotnych kształtów swoich i postaci. Niemasz podobno jawiska na świecie materyalnym, któreby tym sposobem zdania naszego [nie oszukiwało. Wszystko się tu na dwoje różni. Drzewa i kwiaty

na ziemi, sama ziemia z swojemi stworzeniami, słońce, księżyc i gwiazdy w wodzie się ukazują. Massy niezmiernéj wielkości odbija drobny kształt, rozłam świecącego metalu, częstokroć jedna kropelka płynu. Też same przedmioty rozścielają cienie kształtów swoich na płaszczyznach poziomych, pochyłych i t. d. A cienie rzeczy bywają to większe, to mniejsze od nich samych. Nawet dźwięk głosu powtarza się w miejscach górzystych. Echo jest jako obraz, jako cień, a może jako zwierciadło dźwięku.... Obloki w powietrzu, — otoż niby fantastyczne myśli ziemi. Patrząc na te górne krajobrazy, na te urwiska skał, na te przepaści, grody, lasy, na tych jeźdźców harcujących po mglistém błoniu, rzekłbyś, że ziemia duma i zawiesza wysoko nad nami senne kształty swojej fantazyi. Cozdziałała na powierzchni, albo cozdziałał dowcip człowieczy, toż samo unosi w powietrzu, osadza niby dla rozrywki na tle ruchomym, na obłoku, i kłamliwie rysuje postacie. — A jeżeli pojdziemy do mniej znanéj krainy: czyż sen nie jest cieniem życia ludzkiego? Czyliż we śnie, — w tém fantastykiem przeobrażeniu tego co się działo na jawie, — nie rozmawiamy? Nie rozumiemy i na głębokie się dowcipy nie zdobywamy?... Idźmy jeszcze daléj, w te strony, z kąd, jak mniema Hamlet, żaden wędrowiec nie powrócił: śmierć czemuż będzie? Tylko cie-

niem snu, zwierciadłem nocnym tego kłamliwego obrazu życia.

Istota, cień marny i zginienie, otóż trzy [pierwiastki bytu. Rzeczywistość, sen i śmierć trzy rozdziały w księdze jestestw, — jakby trzy zwroty jednej pieśni, jednego hymnu pochwalnego, w którym pełno zgody i harmonii, choć tak różne zdaznienia wyraża.

Taka jest poezja natury. Napróżno szukalibyśmy właściwego nazwiska w polskim języku dla téj osobliwości. Trudno to krótko powiedzieć. Góż znaczą owe porozrzucane świadectwa widomych kształtów, owe omylne postacie? Jak rozumieć tę dwoistość bytu, to dzielenie się, i zacieranie? Tę naśladowczą umiejętność w przyrodzeniu? Kto rad na małym przestaje, niechaj się uczy optyki i akustyki, — a snadno pojmie przyczynę odbijania się głosu, lub ukazywania przedmiotów w wodzie, i na innych ciałach przezroczystych. Ale podobno te nauki ciekawszego umysłu nie zaspokoja. Z doświadczenia wiedzieć, że to lub owo takim a nie innym trybem dzieje się w naturze, nie jestto jeszcze: *wszystko* wiedzieć. Pewne jawiska w przyrodzeniu mają zakryte rozumienie; mają tajemną stronę nieznaną fizyce experimentalnej. A porównałyby je można z dekoracyami widowisk teatralnych, które tylko w perspektywie, na scenie zamierzony skutek

czynią, kiedy się zacznie rzecz poematu i gra aktorów. Najpiękniejszy fenomen rozebrany i tłómaczony wedle przepisów martwój nauki; jest jako teatralna dekoracya za kulisami.

W wieku pośrednim, — w téj epoce dziwów i fantazyi, za dni Componelli i Paracelsa, nauka przyrodzenia była sztuką magiczną, czarnoksiężkiem misterstwem. Natenczas uczeni i nieucy wierzyli w zakryte własności — *qualitates occultae*. Czyż teraz żadne tajemne rozumienie, żaden dziw naszego serca nie opanuje? Tę myśl gdzieindziej obróciwszy postrzeżemy: że owo podrzeźnianie w naturze, nie na same kształty się rozciąga i zewnętrzne postacie. Wszędę takie analogije spotykają uwagę naszą. Tę dwoistość bytu prawdziwego i omylnego widzimy także w ludzkim społeczeństwie. Historia to jasno pokazuje. Czytajmy dzieje niektórych ludów w czasach zapadłych i nowszych. Jak szeroko rozsiały po ziemi jestestwo swoje! Oto panują na lądzie i na morzu; mają liczne miasta; mają skarby, potęgę, dostatek wszystkiego. Rozkazują im mądrzy w przełożenstwie, dzielni bohaterowie. Mąż wielki, jeden po drugim, idzie z nieprzerwanego następstwa. Przywdziewają zbroje, przodkują bitnym szykom i bratnią sławę u kończyn świata rozpleniają. Lecz to nie trwa długo. Czemże jest historia? Snem ludów, cieniem ich jestestwa. Owe

plemie, skutkiem poprzednich powodzeń, zawi-
 chrzone niezgoda, lub rozpieszczone niewieścią
 miękkością znika z placu. Moc, dostatek, biegleść
 w sprawach, świetne przewagi, dostojne imie,
 wszystko rozprószone, jako mgła mija. Wten-
 czas na karki pogwałconych następują silniejsi,
 dzieci światoburcy; depcą po nich, z dawniej oka-
 załej spaniałości dumnie się natrząsając; krwa-
 wym bułatem nowe rządy na ziemi gruntują,
 i głośniejszą jeszcze surmą obwieszczają przy-
 szłym wiekom swój ród i imie. Cóż się stało
 z ludem zwyciężonym? — Jest jeszcze; jeszcze
 się jego jestestwo w nic nie rozwiało; prze-
 chodzi dopiero drugą kolój, drugi rozdział bytu.
 Zwiedzionemu, strąconemu z widowni działań,
 ironija losu zakreśliła ciśniejszą sferę na omyl-
 nym obrazie, w cieniu prawdziwego życia, —
 niejako we śnie politycznym. Tak może przetrwać
 kilkaset lat. Zczasem atoli i te ostatki jestestwa
 ulegną zagładzie. Bo ze snu niemocy przechodzi
 naród do ciemniejszych jeszcze krain... Jeżeli
 tedy ten lud w powodzeniu swoim, za dni szczę-
 śliwszych nie miał żadnego mędrca, żadnego dzie-
 jopisa, żadnego wieszczą, lub artysty, zaginie
 niepochybném zatraceniem pamięć jego imienia,
 — zginą szczątki szczątków.

(Wszędzie natura przemawia do człowieka.
 Pełno tych znaków w przyrodzeniu. Moznaby

jeszcze to roznoszenie się na dwoje uważać jako słabą, i niejako instynktową dążność natury do *refleksyi*; a przynajmniej owe igrzyska natury, owe fantastyczne przeobrażenia zdają się być godłem władzy intelektualnej człowieka, którą *reflexyą* zowiemy, która sprawuje: że możemy mieć *uznanie samego siebie w naszym jestestwie*. (*)

(*) „*Mieć uznanie samego siebie w [swojem] jestestwie*.”— W polskim języku niemasz lepszego i dobitniejszego, zdaniem mojem, wyrażenia na oznaczenie tego co łacinnicy rozumiają przez: *Conscientiam sui*, a Niemcy przez słowo także złożone *Bewusstsein*. Dotąd nazywano to u nas *przeświadczeniem*; ale *przeświadczenie* nie maluje rzeczy. Idzie tu o to, żeby wyrazić: że *wiemy iż jesteśmy*, czyli: *wiemy się w jestestwie naszym*. Zaś *przeświadczenie*, (wyraz przez wszystkich znanych mi pisarzy polskich używany w omylném rozumieniu) znaczy tylko: że *wiemy, iż wiemy*; a zatem wyraża tylko *principium cogitandi*, a nie *principium cogitandi et essendi*. Co innego wiedzieć się w myśli, czyli wiedzieć znać myśl swoją, a co innego pojmować się i w myśli i w jestestwie zarazem. Wreszcie po co stwarzać dla filozofii polskiej (jeżeli ją kiedykolwiek będziemy mieli mimo nasz odwieczny wstręt ku wszelkiej filozoficzności) wyraz nowy, kiedy jest stary nierównie lepszy? To *uznanie samego siebie w jestestwie swem* znalazłem w Skardze, Birkowskim i innych znakomitych pisarzach, którzy ucierając się z kacerstwem w Polsce, samym trybem polemicznych rozterek bardzo głęboko zabrnęli w subtelności teolo-

Rzecz ta zostaje w związku nierozdzielonym z przedmiotem, który będę roztrząsał. Jest zawikłana, a ledwo tknięta piórem polskiem: czyż zdołam moją myśl jasno i zrozumiale dla każdego czytelnika wyrazić?

„Natura przychodzi do reflexyi.“ To przedsięwzięciem okazać.

Kiedy myśląc wiemy myśl swoją, i uważamy wszelkie jej poruszenia, tak, iż wszystko co się wewnątrz nas dzieje, jest nam dobrze znajome, i z tego co chwila zdać sobie sprawę możemy: uwaga ta wewnętrzna jest *reflexya*. Przynajmniej takie znaczenie przywiązujemy do wyrazów: „zreflektuj się, — rozważ co myślisz,

giczne. Szczęśliwie oni nakłaniali mowę ojęzystą do wykładu pojęć wysokich, oderwanych, cienkich. Ztąd korzyść dla języka nie mało ważna; byleśmy tylko z niej rzetelny pożytek wyciągnąć umieli. Wiele takich wyrazów znaleźć można w jednym np. traktacie X. Jabłonowskiego. Ale my wolimy stwarzać wyrazy rzeczom opaczne dające rozumienie, niżeli przenikać do szczerzej istoty polskiego języka w dziełach, pod tym względem nieoszacowanych, starych pisarzy naszych. Podobni w tem nieumiejętnemu ziemianinowi, który dobrą, żyzną rolę lichem zasiewa ziarnem. — Rzecz dziwna i godna z wielu miar uwagi: że nawet w języku polskim owe *principium essendi et cogitandi* wyszło za naszych czasów i z używania i rozumienia Polaków.

— przyjdź do siebie.“ Są to prawie jedno-znaczące wyrażenia w polskim języku.

Jakże natura przychodzi ku téj reflexyi?

W pierwszym poruszeniu, w początkowych tworach nie ma ona uznania saméj siebie. Jest, a nie zna swego jestestwa. Działa, a nie zna działań i poruszeń swoich. Jednak statecznie ku temu zmierza. Iskrę ognia, błysk światła zawarła w twardym kamieniu; dźwięk w metalach. Światło, wdziek są niejako duszą rzeczy; materialność tych istot dwu-znaczna, wątpliwa. — Jest to najpierwsza, najodleglejsza reprezentacya pewnego *intellektualizmu* w przyrodzeniu.

W naturze widzimy postęp nieprzerwany od bezwładności do życia; a w samém życiu ileż odmian ile modyfikacyi!

Długi szereg jestestw rozdziela nieme głazy od rozumnego człowieka. Ale tę całą przestrzeń jedna linija przebiega. Ten cały przestwór wypełniony. Niemasz żadnej przerwy; żadnego skoku. Żadnego ogniwa, w tym łańcuchu nie brakuje.

Przeto: „*między tem co jest, i tego że jest, niewie,*“ a tém „*co jest i wie że jest*“ zachodzi ścisły związek. — A zatem: natura przez stopnie pośrednie przechodzi od martwéj materii do *pojęcia*; od punktu na którym nie ma jeszcze uznania saméj siebie w *jestestwie* swójem do punktu, na którym sama siebie rozumie, z któ-

rego *pojmuje* działania swoje, — naostatek: w którym *uznaje się w swoim jestestwie*.

Jako cień drzewa rozciela się na płaszczyźnie, i jak się obraz tego drzewa maluje w ruchomym strumieniu, — tak cała natura z wszystkimi stworzeniami swemi, biegami, siłami, odbija się w ostatniej mocy, w ostatniej potędze swojej, — *w myśli człowieka*. Rzeczy i ich naśladowane postacie, niechby się tysiącrotnie na omyłne, i coraz omylniejsze kształty to w mgle powietrznój, to w wodzie rozbijały; gdyby w naturze nie było jestestwa mającego *pojęcie*: nigdyby samój siebie ani pojąć, ani zrozumieć nie zdołały. *Pojęcie* tego jestestwa jęj samój służy, tak jak głos służy słowu. W tej mocy sama siebie uznaje. Myśl nasza: jestto strojny, dźwięczny akkord, brzącać zgodnością wszystkich razem pierwotnych sylab, rozrzuconych w przyrodzeniu. Promienista istota, w nas utajona, niewidzialna, na wszystkie strony się rozlewająca nakształt fali poruszonej wody, i wszędzie rodząca czucie widzenia!.. Ale niechaj lepiej wyjaśni to rozumienie moje porządek *reprezentacyi* w widomym przyrodzeniu, — tak jako go uważają, za dni naszych filozofowie natury, których mam we czci i poważaniu, choć ich obłożono zarzutem mistycznego szarletanizmu. Najwyraźniej to pokazują stateczne i nigdzie nieroz-

wane związki świata anorganicznego, czyli nieorganicznego z organicznym. Nic powabniejszego nad tę teorię powinowactw, i związków-natury nie mającej uznania we własnem jestestwie, natury martwój z ożywioną, wreszcie powoli zmierzającą do myśli i rozumienia. Że tym jednym tylko zastawię się przykładem: po złamaniu, lub rozbiciu niektórych minerałów, na wewnętrznej powierzchni okrytej drobnymi częstkami ich massy, postrzegamy blaszki połączone z sobą, nakształ listków korony w kwiecie. Nazywa się to w mineralogii odłamem blaszkowym; co bym wolał nazwać odłamem kwiatowym. Symetryczny częstokroć układ tych blaszek, około jednego punktu osadzonych na kształt listków, czyż nie zdaje się przepowiadać, w świecie martwych kamieni, roślinnej natury? I tak jest w rzeczy samej, jeżeli na sam kształt wzgląd nasz obrócimy. Granit, — to *maximum* ta największa wyniosłość anorganicznej natury, jak go nazywa *Szuber*t sławny naturalista w Niemczech z trzech części jest złożony: z kwarcu, feldspatu i miki. W tym składzie całe reprezentuje przyrodzenie! I tak: zamiast miki w granitowej skale znajduje się niekiedy *szerl* (*turmalin*), czarnym kolorem, kształtem, massą złożoną z igielek, jakby włóknistą, podobny węglom ziemnym. Poniekąd

więc przypomina młodsze państwo roślin. *) *Sjenit* od wielu geognostów nazwany młodszym granitem, dla tego, że ze wszystkich pierwiastkowych skał najpóźniej został utworzony, składa się z ziarn *feldspatu* i *amfibolu* (hornblendy); ten ostatni ciemno-zielonym kolorem, postacią i większą miękkością, lepiej jeszcze niżeli *szerl* roślinną wyobraża naturę. — *Werner* na oko pokazał przejście *granitu* przez *gnejs* i góry łupkowe do piaskowca i węgla ziemnego, — a tém samem do wegetacyi. Wreszcie: zważywszy przejścia *miki*, panującój w składzie łupka mikowego, a w łupku glinianym, który stanowi dalsze tegoż utworu ogniwo, zbliżającój się we własnościach swoich do łupku alunowego, zawierającego węglík; rzechy można, z niemalém podobieństwem do prawdy: „*że mika reprezentuje w granicie, i jest niejako hieroglificznym pro-rokiem działu roślin.*“ Dalej: *Spat skalisty* **) czyli *feldspat*, — druga część składowa granitu, — mający także odłam blaszkowy w kształt listek, powiększėj części jest białawego, cielistego i czerwonego koloru. Co, jak się podoba rozumieć *Szubertowi*, ma być oznaką postaciową,

*) *Handbuch der Geognosie* Szuberta; oraz: *Ansichten von der Nachtseite der Naturwissenschaft*; tegoż.

**) *Ibid.*

niejako *figurą* krwi zwierzęcej w świecie anorganicznym. Gdziekolwiek w późniejszych formacjach, okrywających skały granitowe, *feldspat* znika, tam pospolicie znajdują się warsty wapna, w większych coraz rozciągające się masach. Ta okoliczność, oraz, że *feldspat* w składzie swoim wapno zawiera, *) naprowadzają na wniosek: jakoby takowe było tylko przemianą *feldspatu*. A że od najdawniejszych formacji wapienia do najpóźniejszych powiększającej części złożonych z zabytków istot zwierzęcych, przejścia są ciągłe i nieprzerwane; z tą zaś przez stopnie pośrednie do działu zwierząt, które w częściach swoich składowych wapno zawierają; przeto: *feldspat uważaćby można w granicie jako reprezentanta, czyli przestannika, i hieroglificznego proroka państwa zwirząt*. Naostatek: kwarc, trzecia część składowa granitu, stateczną niezmiennością swoją we wszystkich innych stosunkach, dział minerałów reprezentuje.

W tym to ciekawym składzie granitu, czyż nie zdaje się: jakoby natura anorganiczna ustanowiwszy pierwotne ogniwa, i początki wszystkich swoich utworów, niejako tellurycznym przeżuwała instynktem co potem nastąpi? I jako się

*) Według rozbioru *Vauquelina* składa się *feldspat* z 64 części krzemionki, 20 glinki, 2 wapna i 14 potażu.

w wyższym i daleko doskonalszym porządku ukształca życie, organizacya? — Krótko mówiąc: czyż te istoty, które najczynniej działają w organicznej naturze, nie są także najpotężniejszymi działaczami w anorganicznej, czyli nieorganicznej — i przeciwnie? — Ciepło rozszerzone w całej naturze nieorganicznej jest także w roślinach i ciałach zwierzęcych. Czyż nie bliski i nierozdzielny związek? Płyn elektryczny pod ziemią, na ziemi i w powietrzu rozlany, nadaje sprężystość muskularnemu systematowi, i drażliwym włóknom roślinnym. Według nowszych postrzeżeń: nie jest rzeczą niepodobną, żeby się w oku naszym światło rozwijać nie miało. Rośliny wyciągają największą część swojej *substancji* z wody wszędzie rozpostartej; a główne części istot zwierzęcych mieszczą się w powietrzu atmosferycznym. Człowieku! Imię twoje ziemia! Z ziemi ciało twoje, — choć z czterech stron świata przyniesionej, wschodu, zachodu, północy i południa. *) W ziemi mieszkanie twoje, czyż się w ziemię nieobrócisz? Czyż nie ma ziemi w naszych kościach? Czyż we krwi naszej nie płynie żelazo, — metal tak głęboko w łonie ziemi gnia-

*) *Quatuor literis Adam, quatuor terrae partes contineri: orientem, occidentem, septentrionem et meridiem* — wyrazy Ś. Augustyna.

zda swoje mający? A złoto i inne kruszce, czyż nie są dla nas lekarstwem, trucizną? Czyż ziola i rośliny ziemskie; z różnych nas nie wyleczają niemocy? Czyż źródła cudownemi uzdrawiające skutkami nie sączą się z skalnych zdrojowisk? — Jakież kres położyć tym związkom z każdą nieledwie strony, z każdego względu? Górnik prowadzony płochą chęcią przedziera się do głębokich pokładów: częstokroć strach wielkooki obejdzie go w koło, kiedy posępnym blaskiem swojej latarni mignie w tajniach nigdy niezwydzonych złęgo ducha. Czegoż szuka? Skarbu, — marnego zysku, najczęściej nie dla siebie, dla innych, za małą nagrodę. Co innego uczony mineralog. Filozof ten przenika do szczerzej istoty, i rzetelnego rozumienia kruszców, kamieni. Jestto podziemny Astrolog. Wedle bałamutnej gwiazdziarskiej nauki, nieraz się górne konstelacye na los biednego zasępiały człowieka. Nie raz się mieszały ku zgubie wielkich mężów starego wieku, szyki niebieskie, biegi, ruchy, — toż wikłały potajemne siły, — gasły światła. A jeżeli wzrok nasz z téj wysokości w ziemię zapuścimy: — czyż kamienie, metale małoważny wpływ na ród ludzki wywarły? Po wieleż razy z ciemnej dali, groziły nam te przeciwnie pod ziemią konstelacye? Powieleż razy w obiegu czasów uwodziły nas zdradzieckim uśmiechem, to

znowu odłożeniem, rozbiciem najśmielszych życzeń, najpiękniejszych nadziei! Powieież to razy złorzeczyliśmy i błogosławili tym mocom, tym dzielnościom podziemnym, tellurycznym? — Kruszec z otchłani, bity i cechowany z napisem czyż nie jest *primum mobile*, i zarazem hamulcem wszystkiego na świecie? Czyż nie ruszył ziemskiej własności, i czy jój z rąk do rąk chyżym nie przenosi obiegiem? Czy nie zmienia wszystkich między ludźmi i narodami stosunków? Czyż nie wprowadził w obrót i ruch tego, co by się może nigdy było nie ruszyło z swego miejsca? Ten metal, prędko jak widzenie, przekupił statek, zachwiał cnotą, rozpałił wszystkie pożądliwości, uprzątnął wszystkie przeszkody, porównał wszystko z ziemią, z błotem, z którego jest wzięty i oczyszczony; rozczarował wszystkie powaby, rozbił urok wszystkich ponęt, — ostudził, oziębił zapał, którego żaden brząk ani srebrny, ani złoty nie zasili! Rozum mędrców i ludzi stare lata mających podbił pod posłuszeństwo swoje, — z nieba daleko w przepaść, w ziemię ich wrzucił. Wyostrzył dowcip; udoskonalił rachmistrzowstwo; ale zwojował moc ducha. Niechaj, jako kto chce tę myśl, która mnie tak daleko uniosła, rozumie; ja wierzyłem i wierzyć będę w *podziemną astrologiją*, — w związki czarno-księżkie, moralne i chemiczne, w powinowactwo

zadną mocą nie rozerwane, natury anorganicznój z organiczną, — w związku i powinowactwa kamieni, metalów z istotami rozmyślającemi, — a bardziej jeszcze *dumającemi*.

Tak zapewne! mechanizm nie nie pojmujący w wykładzie i rozumieniu zagadek przyrodzenia, nie zrówna spaniałej umiejętności *Szuberta* albo *Nowalisa*. Jakto? może się kto zapyta, — więc rzeczywiście zostajemy w tak bliskim związku z temi malarskimi postaciami anorganicznego świata? Z temi oto skałami tak wysoko zawieszonemi w powietrzu? Te masy nieregularne, to cieniowanie rozliczne światła o ich białosc się rozbijającego, te zrozmaicone barwy, ta wielość prawie nieskończona, mniejszych większych przedmiotów: które rozrywają, mylą naszą uwagę, — cóż nas obchodzą, cóż mają z nami wspólnego? A przecie każda dzika okolica ciągnie nas taką ponętą ku sobie. Dla czegoż tak spaniale, tak ślicznie się wydają rwiste potoki, prędkie strumienie? W górach sytuacje niektóre podnoszą umysł do wysokości, czasem aż za ów błękitny przestwór, gdzie jest niebo, jako mniema prostota z prawdą w sercu; z szczerością w duszy. A przynajmniej, że go na jakiś czas odrywają od ziemi i rzeczy ziemskich. Tu i ówdzie, zdaje się, jakoby zrobione były dla rozweselenia wędrowca. Gdzieindziej jego radość i pociechę

w smutek odmieniają. Sympatyczne uczucia łączą nas z ogromami spiętrzonych mass, które natura w przestrzeni poksztalcila. Cóż znaczy to dziwotworne budownictwo? W innych znowu miejscach ten podróżny, sam niewie co ma czyścić, czy się cieszyć, czy smucić. Z rozrzewnieniem tylko ogląda na około siebie, dziwi się, wielbi stwórcę. Widoki takie zachwycają; — z kądże to pochodzi? Daleka niechaj będzie odemnie wszelka affektacja, czyli zmyśłone, stucznie naciągnięte upodobanie w pięknościach przyrodozenia. Natura ma tyle wdzięków, że ją bez affektacji kochać można. Bądźmy jako dzieci, kiedy się ku niej zbliżamy. Przechodząc z równin w miejsca górzyste, któż nie doznał kiedy tego na sobie, jak odmienne, coraz rozmaitsze są myśli i uczucia nasze?... Nie tylko w wewnętrznym składzie swych utworów, np. granitu, jako się wyżej rzekło, ale także ze względu na postać zewnętrzną swoich mass, zamyka natura geologiczna uderzające podobieństwa, skazówki, godła wyższego organicznego porządku. Od pierwotnego, kulistego kształtu, przewyciężając ciężkość*), zmierza w napowietrzną wysokość ku podłużnej formie *stupa*. Ten wedle zasad dzisiejszej filozofii natury, ma być symbolem ma-

*) *Ansichten von der Nachtseite der Naturwissenschaft.*

gnetyzmu, — czyli w ogólności odskoku *), przeciwnieństwa. Zatem: twórcze przyrodzenie w anorganicznym świecie, zewnętrzniemi nawet kształtami olbrzymich brył, które do takiej wysokości podniosło, zdaje się wieszczym, że tak powiem, instynktem naprzód zgadywać figury okragło-słupiste drzew w naturze roślinnej, tudzież początkowe formy zwierząt; o ile takowe w głazach naśladowane być mogą. Jaśniej się to jeszcze w innym względzie postrzegać daje. Kryształ *szmerlu* na powierzchni podłużnie narzynane, kształt zaokrąglony igielek rozsianych w jego macicy, ścięcie, sklinowanie bocznych krawędzi, — czyż to nie wyraźne zbliżenie do postaci roślin? Lecz najwidoczniej odbijają się kształty organicznej natury w metalach. Tu szukać trzeba przejścia od kamieni do roślin i zwierząt. Najśliczniejsze farby, od szkarłatnej, krwistej granatu, od różowej, karminowej rubinu w niezliczonych odcieniach do pięknej zieloności smaragdu, są rezultatem cząstek metalicznych wchodzących do składu wzmiankowanych kamieni. **)

*) Czyli tego co Niemcy wyrażają słowem: *Gegensatz*.

**) *Granat*, podług rozbioru Klaprota, składa się z 35, 75 części krzemionki; 27, 25 niedokwasu żelaza, i 0, 25 niedokwasu manganazu. A *rubin* podług rozbioru Vauquelina składa się z 82, 47 części glinki,

W massie wielu metalów są blaszki naksztalt listków osadzone, które zdają się niejako składać tkankę komórkową, podobną zwierzęcej. — Jakże to wszystko rozumieć? W dalekiej starożytności utrzymywało się mniemanie, że kamienie silny wpływ wywierają na umysł człowieka. Pisali o tém Aristoteles, Dioskorides, Galenus i Pliniusz. Żydzi, osobiłwie sprawujący wysokie urzędy w starożytném kapłaństwie, od czasów niepamiętnych przykładali do piersi dyamentami wysadzone tarcze, godząc przepych z wiarą w jakieś czarodziejstwo drogocennych kamieni. Za naszych czasów wydobyto tę starożytną opinię z zapomnienia. Jeden z sławnych dzisiejszych naturalistów utrzymuje: że między minerałami a duchem ludzkim, rzeczywiście bliskie zachodzą stosunki. Zdanie to umocowały w rozumieniu wielu innych naturalistów mnogie przykłady i doświadczenia. Czytelnicy nasi niechaj przypomną sobie: że w r. 1829. pisma warszawskie ogłosiły prospekt na dzieło pod tytułem: „Jasnowidząca z Prewost“ — które następnie wydał Dr. Kerner sławny z biegłości w swéj sztuce. Czytałem to dzieło. Jestto, że tak powiem, wywód słowny, zamykający opis jawisk 8, 87 magnezyi, 6, 18 kwasu chromicznego. *Mineral. Drzewins.* — Czyż to niepokazuje zbliżenia się do roślin zawierających pierwiastki farbujące?

magnetyzmu i somnambulizmu, zdziałany przez świadków godnych wiary, podczas słabości *Fryderyki Hauffe*, którą potem nazwano *Jasnowidzącą z Prewost*, od wioski tego nazwiska, gdzie się urodziła, gdzie ojciec téj nadzwyczajnej, ale nieszczęśliwej kobiety był leśniczym. Wioska Prewost leży w górzystej okolicy miasteczka Lewenstein w Wirtemberskiem. *Fryderyka Hauffe* poruczona została lekarskiemu staraniu Dra *Kenera* r. 1826. Nieznośne boleści z kurczów żołądka pochodzące były początkiem jęj długich cierpień, zaledwie na krótką ustawiających chwilę dobroczynnym skutkiem magnetyzmu, którego środka użyto, kiedy już wszystkie inne zwyczajne dareninemi się pokazały. Dwa lata trwała kuracya. Pomijam wszelkie inne fenomeny podczas tego jasnowidztwa; lecz nie odrzeczy wspomnieć, jaki wpływ wywierały na pacjentkę różne minerały, które trzymała w ręku. *Kerner* zapisywał każde jęj słowo; bacznie uważał każde poruszenie. — „Kryształ skalny“ — mówiła jasnowidząca, — „ma przyjemny zapach.“ Ale gdy ten kamień przyłożono do jęj serca, natychmiast otrętwiała. Całe jęj ciało od szyi do stóp było wyprężone; mówiła od rzeczy. Tenże skutek za każdym ponawiał się przyłożeniem skalnego kryształu. Rubin wielkości ziarnka grochu wznicił zrazu boleść w ramieniu pacjentki

czynił ją potem wielomowną, niespokojną; przyczem, jak mówiła, zimno rozpostarło się w jęj całym ciełe. Magnes wznawiał kurcze i gwałtowne sprawował zatrząśnienia. — „Kamień ten“ — są słowa jasno-widzącęj, — „czyni mnie chromą, ale wesolą.“ — Ze wszystkich metalów platyna najsilniejszy wpływ na nią wywierała. Równy moralny i fizyczny skutek sprawiały rośliny. Wawrzyn (*bacca lauri*) wprawiał ją w sen magnetyczny. Usypiała za każdym dotknięciem laurowęj gałązki, albo listka. Rośliny jadowite, blisko nięj położone, sprawiały odurzenie, mdłości. Szczególniejszy skutek, jaki u wszystkich jasnowidzących wawrzyn sprawia, czyż nie tłómaczy przyczyny: dla czego niegdys w kościele delfickim wieszczka laurowe potrzasała drzewo i laurowe gałązki składała na trójnogu, przed roztrzygnięciem czynionych sobie zapytań?... Dla czegoż teraz kamienie na ludzi zdrowych nie działają w ten sposób? Dla czego stan słabości zwanej jasnowidztwem, wznawia te, jak się zdaje, rozerwane tylko stosunki natury anorganicznej z człowiekiem? Czy zatarła się ta własność początkowa kamieni i metalów? Czy téż my sami podpadliśmy takiej zmianie we względzie naszej natury fizycznej i moralnej, że teraz tylko najstraszliwsze trucizny roślinne i mineralne, działać na nas mogą? To jest: dopiero za dotknię-

niem i przyłożeniem do ciała. — A gdzież się moc *słowa* podziła, którą, — jak niosą starożytnie podania, — tym niemym rozkazywaliśmy istotom? — Gdzież się podziła owa pierwotna dzielność woli ludzkiej, którą niegdyś i bez mowy, bez dźwięku, podbijaliśmy pod posłuszeństwo swoje najpotężniejsze mocy w naturze? Tak zaiste: przeciąg między nami, a ludźmi starożytności, bardzo wielki. Jakżeśmy go przemięgli? Na to niechaj historia odpowie. Powinnością jest głosu oznajmić słowo myśli naszej; ale ten głos utracił dawną siłę; myśl zemdląła, i słowo przestało być cudotworne. — Ten sam *Kerner* czyni z tego względu uwagę: że coraz bardziej odstępując od natury, wyszliśmy z powinowactwa, jakie niegdyś łączyło ściślejszym związkiem człowieka z innemi jestestwami organicznemi i nieorganicznemi. Powiada ón: że przez magnetyzm te rozerwane związki, znowu się u pewnych osób odradzają. I w rzeczy samej, ku temu przyszło: że te osoby więcej widzą we śnie, niżeli my na jawie w zupełności sił i najczerstwiejszego zdrowia. Że teraz rozrządzamy siłami przyrodzenia, że ztąd tak wielką gospodarską korzyść odnosimy, nie to nas nie zbliżyło do natury. Owszem zdaje się, jakoby tem mocniej przeciwko nam się obwarowała, i tem trudniejsze, a prawie nieprzełamane stawiała przeszkody, że tak chci-

wie swoje ku niej ręce wyciągamy, że tak usilnie i gorąco pragniemy zniewolić to musem, to fortelem wszystkie jój własności, biegi, misterstwa, praktyki, aby *tylko* domowej potrzebie naszej służyły. Natura jest otwartą księgą mającą za naszych czasów więcej miłośników, niż czytelników. Za odstąpieniem od przyrodzenia wygaś instynkt z wszystkimi swemi cudownemi przymiotami; słabnie władza, niegdyś tak dzielna *przeczuwania*, przenikania natury, i zgadywania jój nawet zamiarów, — jój trybu postępowania. Znikły cudowne dary wielu ludzi; szukać ich teraz potrzeba za granicą teraźniejszej kultury, między dzikimi, albo w stanie niezłeczonej jakiejs niemocy. Dzisiejsza cywilizacya coraz usilniej, pod czeczym pozorem mistycyzmu i zabobonów, zaciera, zatarła wszystkie wrodzone zdolności pojmowania natury bez doświadczeń i sztucznych aparatów, toż rozkazywania jój najmocniejszym siłom samém chceniem, lub uskramiania takowych niechceniem. Owe pierwotne związki ludzi z naturą zastępuje teraz nauka, która, jako się później przekonamy *nauką nie jest*. Nauka, umiejętność, — wielkie słowo! Życie w ogóle wszystkich razem stworzeń zaczyna pozwoli ustawiać. A pole naszych empirycznych wiadomości jest nakształt ogrodu zasianego pożytecznemi warzywami; (*) piękniejsze spanialsze

*) Wyrażenie *Steffensa*.

kwiaty w tym kuchennym ogrodzie zdają się być z pod obcego nieba przeniesione, i w roślinnej hodowane cieplicy, Licho się też krzewią (**).

*) Wzmiankę o *Jasnowidzącej z Prewost* uczyniłem był w Kurierze Polskim (Nr. 216.); z tego powodu nadmieniam: że pewien doktor filozofii, wydawca „Pamiętnika umiejętności i literatury” umieścił w swém piśmie artykuł o téj Jasnowidzącej z dziennika francuzkiego *Revue Encyclopedique*. Artykuł, w którym się cała czczość maluje, nie wielu już w zastępie swoim stronników liczącej francuzczyzny ośmnastego wieku. *Kurier Polski* w roku bieżącym zarzucał uczonemu spomnionego Pamiętnika wydawcy *horrorem meditationis*. Zacny filozof nie wyszedł jeszcze z tego zawinienia. Iści się to na obecnym przykładzie. Z mojej strony muszę go tu obłożyć cięższym jeszcze zarzutem, całe nie przypadającym do miary z szumnym tytułem wydawanego przezeń pisma, — które nazwał *Pamiętniki umiejętności i literatury*. Muszę bowiem powiedzieć: że zacny doktor ma *horrorem scientiae*!! Co jest rzeczą daleko bolesniejszą. Godziłoż się mu w terażniejszym stanie wiadomości pod względem magnetyzmu, przełożyć tak źle pomyślany, tak źle napisany artykuł, i częstować nim swoich czytelników? Toż własném dowcipowaniem dalekiem od filozofii, której jest doktorem, podszywać się pod cudzy płaski dowcip? Godziłoż się mu nie wiedzieć tego: że dziennik *Revue Encyclopedique* choć bogaty w rozliczne wiadomości, przez samych jednak światlejszych Francuzów obwołany został za rozmnożyciela i patrona wszystkich opinii technących obskurantyzmem pod względem i estetycznym i naukowym? Wydawca tak filozoficznego dziennika, nie jest przecież

Bądź co bądź, wszystko to mnie utwierdza w rozumieniu: że natura przez stopnie pośrednie przechodzi od martwej materji, od pierwotnych kształtów do *pojęcia*. Czyli innemi słowy: od punktu na którym *nie ma uznania samej siebie w je-*

najfilozoficzniejszy w wyborze przedmiotów, któremi zapelnia pismo swoje to przyznać potrzeba, *cela va sans dire*. Jestto stek zwietrzalnych maxym. Zapewne w duchu tych maxym odsyła wydawca tych wszystkich, „którzy się dowoli naczylali jasnowidzeń wieszczki z Prévostu i już się ważnością różnych z tych wniosków przejęli“ do dzieła Doktora Hilberta o *widmach*, które jako skuteczny *antidot* zaleca. Zaleca także wydawca zapowiedziane dzieło *Waltera Skota*: *Historją demonologii i czarnoksiężstwa*. Nareszcie powiada: „że podobnego rodzaju przedmioty dają się także *popularnie obrabiać* (?); „widzieliśmy to w narodowej powieści *Panna Floryanna*, która była także jasnowidzącą z wieku XVI.“ — A trzeba wiedzieć (może myślę się w zdaniu mojem) że tę powieść pod tytułem *Panny Floryanny* sam wydawca napisawszy, umieścić w swoim *Pamiętniku umiejętności*!! Zachodzi teraz pytanie: do jakiego działu *ścisłych umiejętności* należy ta *Panna Floryanna* XVI. wieku? Do jakiego działu literatury i sztuk pięknych? Czy do satyry? (może na rozum samego autora) Czy do epigrammatu? — Ale wolę *demonologiją* Waltera Skota, wolę doktora *Hilberta*, wolę nawet, gdyby wybierać przyszło, ów przedmiot „*popularnie obrabiany*“ to jest powieść o *Pannie Floryannie*, nizeli całą *Filozofiją* i *Estetykę* wydawcy *Pamiętnika umiejętności*.

stestwie swoim, do punktu, z którego sama siebie i wszystkie swoje *rozum* działania. Jest związek niezaprzeczony, oczywisty między naturą nieorganiczną i organiczną; jest postęp ciągły, jest nieprzerwany od mchu porostu do palmy, będąc najwyższym wierzchołkiem działu roślin, jako granit jest największą wyniosłością w świecie anorganicznym itd.

Niemasz w tém żadnej trudności, żadnego zawiłania. — Zmierzam dalej do kresu, rozumując jako następuje:

Przypuśmy, że w hierarchii stworzeń nie masz ani jednego *rozeznającego* co się w niem samém dzieje, — *wiedzącego* nie tylko rzeczy zwierzchne, ale i *siebie*. Gdyby tak było, któżby pojął naturę? I ku jakiemuż końcowi toby się wszystko chyliło? Komuż świeciłyby górne koła, od tylu tysięcy lat nieomylnie w biegu swoim? Dla kogo strzegłoby morze granic swoich? Jakż wreszcie kres naznaczylibyśmy drogom mlecznym i niezliczonym orszakom niebieskich ciał?... Dla natury trzeba jasności. Tą jasnością, tym świecznikiem przyrodzenia, tą lampą światów jest myśl człowieka-aniola. Cała natura w niej się maluje, jak obraz nadbrzeżnych kształtów w ruchomym strumieniu, — jak cień rzeczy na zwierciadle. Wszystkie ku temu zmierzają przeciwieństwa, wszelka tosamność, wszystkie siły i poruszenia. Jeśli na-

turze odejmiemy tę *myśl*, — cóż pozostanie? Martwy, *niepojęty od nikogo* porządek. Co być nie może. Bez téj myśli, natura nie miałaby ani gruntu pod sobą, ani wewnątrz ujęcia, i byłaby jako obwód bez środka, albo jako grób ciemny, gdzie znikąd światło nie wpada.

„Nie bądźmy“ — mówi pismo, — „jako oczy które na wszystko patrzą, a same siebie nie wiedzą.“ — Otoż pierwszy początek wszelakiéj filozofii! Od tego zaczyna się wszelkie rozumowanie. Jest światło wszystko rozjaśniające około siebie, a wewnątrz ciemne. Takim światłem byłaby myśl ludzka, gdyby saméj siebie nie *wiedziała*. I przeciwnie: światło jakiegokolwiek, *wiedzące*, że jaśnieje, byłoby *myślą*, — *pojęciem*; byłoby słońcem, — duszą świata. Myśleć i to wiedzieć, i w tém myśleniu się rozumieć, jest to „*bydź*.“ „Bydź“ — jest to tylko bydź *przedmiotem*, *obiektem* dla samego siebie. Kto nie może być przedmiotem dla samego siebie, i w tem się bezprzestannie uznawać, — ten nie jest. Cała różnica między człowiekiem i kamieniem, i metalem, którego cząstki we krwi jego płyną, i ziemią, która się w jego kościach znajduje! Kto tego, że jest nie wie, jest tak, jakby go nie było. Jest, ale dla kogo innego, nie dla siebie... Jesteś two nasze w myśli się odbija. Odbijając się w myśli, rozdziela się na dwoje. *Myśl* jest is-

totą naszą istotą; nosi na sobie nasz cień, nasze podobieństwo, nasz obraz. Ten cień wewnątrz nas się rozpościera. W myśli mamy grunt *pod sobą*, mamy wewnątrz nas *ujęcie* samych siebie, — toż środkowy niejako punkt całej sfery bytu naszego. Myśl jest jako czyste zwierciadło; co ukazesz, to się też w niej ukaze. Patrząc wewnątrz nas, widzimy samych siebie; wiemy samych siebie; dla samych siebie stajemy się przedmiotem *widzenia*, i niejako rzeczą oddzielną (*). Póki nie przyjdziemy ku temu *rozdzieleniu*, póty nie mamy jestestwa. Być dla samego siebie przedmiotem widzenia, jestto myśleć. Myśleć jestto żyć. Życie nasze od tego punktu się zaczyna. Nie wtedy, kiedy się w brzemieniu macierzyńskim spoiły nasze członki, nie wtedy kiedyśmy się na świat narodzili, — ale kiedy *wiemy siebie*, dopiero wtenczas przychodzimy do jestestwa. Otoż najpierwszy warunek bytu!

„Ale“ — powie kto, — „natura nie myśli, więc nie ma uznania samą siebie, — więc po dług tego, co się wyżej rzekło, *nie jest*.“ — To mylny wniosek. Natura jest — bo myśl, duch jest częścią natury. I natura z tej tylko *jest* przyczyny. Prawdziwa umiejętność przyrodzenia zmie-

*) Toć jest co wyraża owa formuła szellingializmu: — „*das beständige - sich - selbst - Object - werden - des - subjectiven*“.

rza do tego, żeby okazać: jaki związek zachodzi między *tém co jest i tego, że jest nie wie, a tém co jest i wie, że jest*. A zatem: od widomego do niewidomego. Tak jak dawna *ars separatoria, segregatoria*, — (dzisiejsza chemija,) — zaczawszy poszukiwania swoje od najcięższych *substancyi*, od metalów, przeszła z czasem do *inponderabiliów*, do badań ze względu powietrza, światła, magnetyzmu, elektryczności. W rzeczywistej nauce przyrodzenia, której *metoda*, czyli tryb postępowania jest filozoficzny, umiejętny, niemasz innéj dążności tylko: *od natury widoméj do ducha*; jakby od dźwięku zewnętrznego, głosu słowa, do wewnętrznego rozumienia, które ten głos wyraża. Teorią natury nie jest encyklopedyczny słownik nazwisk i doświadczeń podzielonych na rozdziały; ale jest tą teorią: systema praw, podług których natura tworzy i działa. Zewnętrzne niejako fenomena nikną, rozpraszają się; zostają tylko formy, biegi, siły, poruszenia, — matematyka, *spekulacja*. — „Optyczne fenomena“ — słowa wielkiego Szellinga, założyciela w naszych czasach prawdziwéj umiejętności przyrodzenia, ugruntowanéj nie na doświadczeniach (których pewność względna tylko, i warunkowa być może), ale na zasadach mających za sobą oczywistość niewątpliwą, powszechną, bezwarunkową, — „optyczne fenomena, niczem innem nie

są, tylko geometryą; której linie w świetle się rozbiegają: a to światło jestże materialne? Z tego względu zostajemy jeszcze w wątpliwości. W jawiskach magnetyzmu nikną już wszelkie materialne ślady, a fenomenów *grawitacyi* pojąć nie zdołamy bez przypuszczenia bezpośrednio niematerialnego wpływu.“ — Tak, wszystko się uduchowia w naturze; wszystko zmierza ku temu *co żadną nie jest rzeczą*, i przedmiotem rozbioru analizy być nie może, — *do myśli, do pojęcia, które same siebie pojmuje, rozumie*. Patrzymy na świat: któż przodkuje wszystkim jestestwom? — Człowiek. — Któż jest człowiek? — Ostatnie ogniwo łańcucha stworzeń. — Przeto jest częścią natury; częścią jednej całości. Człowiek ma myśl, ma pojęcie. Zatem i natura tę myśl mieć musi — z samą konieczności i konsekwencyi logicznej tego rozumowania. Myśli ona naszą myślą, i sama siebie naszym pojmuję rozumieniem. W człowieku, jako części całości swojej przychodzi *do reflexyi. Tu się uznaje w swoim jestestwie*. W nas, w środkowym punkcie istoty naszej staje się natura przedmiotem dla samej siebie. — Są-li to czcze słowa? Nikt nie zada nieprawdy temu rozumowaniu, kto pojmuje stosunek części z organiczną całością. A zatem:

Skoro przyznano, że jest ciągle i nieprzerwane stopniowanie w naturze;

Że między bezwładnością nieorganicznej materji, nie znajdującą swego bytu, a myślą, która sama siebie pojmuje i tém pojęciem wszystko ogarnia, — że między temi dwiema kończynami, między temi dwoma biegunami kreacyi jest związek nierozdzielny, ścisły, statecznie trwający; naostatek:

Ponieważ myśl jako część naszego jestestwa, a samych siebie (jako) część natury być musi, — w takim samym stosunku, w jakim duch względem ciała zostaje. — (Z czego zarazem wynika musiem nieodpartej konieczności: że umiejętność przyrodzenia z dwóch części składać się powinna, jednej materyjalnej, a drugiej duchowej, — *intellektualnej*).

Ale, jakże to wszystko przypada do miary z polską literaturą? — Może się nie jeden zapyta czytelnik tego pisma. Odpowiadam: kto chce baczniejszy, nie powierzchowny tylko względ rozciągnąć na literaturę jakiegokolwiek narodu, powinien zdala upatrywać cel swojego pisma: a przedewszystkiem zdać sprawę: jakim rządzi się mniemaniem w téj mierze? Toż rozwinąć widoki, pod które wszystko podciągnąć przedsięwziął, żeby się potem nie wachał i nie przeciwit samemu sobie. Konsekwencya jest duszą takiego pisma. Nigdzie od niej odstępować się nie godzi. Któż da wiarę temu co powiem następnie, jeśli się

zawczasu nie wypowiadam : jak widzę rzeczy i z wierzchu i wewnątrz, i do czego się mają? — Literatura wyciągnięciem jest na jaśnią myśli narodu. W niej, że tak rzekę, czujemy się jak po tętnie. Więc z tą *myślą* rozwieść się musiałem, wszystko ku niej ciągnąć w całym przyrodzeniu. — Polska niesie przypowieść: kto do cudzego domu wnijdzie, gospodarskiej woli dogadzać musi. Tak samo: kto to pismo weźmie do ręki, niechaj zemną rozumie. Tą prozbą zamykam przemowę do czytelnika; rzecz moją tak dalej prowadząc ku końcowi:

Znać siebie i mieć uznanie samego siebie w jestestwie swoim, mieć wewnątrz ujęcie i grunt pod sobą — owoż niezaprzeczone, niezatraczone prawo w rodzie ludzkim, i najdostojniejszy przymiot człowieka! — Lecz téj własności rozwiniętej i udoskonalonej na świat z sobą nie przynosimy. Człowiek rodzi się, nie wiedząc tego. Przez długi czas żyje w niemowlęctwie, — zamknięty, ograniczony jako *monada*, z której nic ani na zewnątrz wynijść, ani wewnątrz do niej przeniknąć nie może, wszystkie władze, zdolności, rozumienia, *ideje* drzemają uśpione w zarodku. Ciche, bierne życie najpodobniejsze *wegetacyi*! I w rzeczy samój: zdaje się, że natura w każdym człowieku wznawiana, niejako powtarza process powszechny formacyi wszystkich dzieł swoich, przebiegając przez stopnie i schody pośrednie, tę samą drogę, od początku ku końcowi.

Tryb postępowania jednaki; toż w przyrodzeniu, toż w człowieku, toż w historyi. Od bezwładności do pojęcia! Od punktu, na którym jesteśmy nie wiedząc tego, do punktu, gdzie mamy *uznanie* nas samych we własném, *oddzieloném* jestestwie. Patrzmy się na dzieci nic nie wiedzące o sobie, kiedy jeszcze żadna podnieta zatajonéj iskry w nich nie roznieciła, i żadna *reflexya* nie wniosła rozerwania, niepokoju do ich niewinnego, błęgiego jestestwa. Czyż wtenczas nie są nakszałt roślin, albo drzew, których obraz w wodzie się maluje? Enigmatyczne, dziwne stworzenia! Przedmioty na około siebie w zamięszaniu, w wątpliwém postrzegają światło. Rozliczne, coraz nowe wrażenia płaczą się, wikłają w ich duszy. Bojaźń, nadzieja prędko silnie zajmą dziecię; dla tego chwieje się wśród mienionych coraz kształtów, postaci, obrazów. Uluda, omamienie, pusta wesołość, strach i smutek niecone lada fraszką, mijają, i znowu wracają w téj porzeźności, szczęścia. Takie pojęcie, takie uczucie, dzieci ani dzielić, ani odosabniać nie umieją. Nie rozrywają tego, co na jedności zależy. Wielkie téż massy w najprostszych widzą zarys; i choć samych siebie nie pojmują, powielekroć przecie w rzeczach bardzo trudnych, zakrytych i napozór niedostępnych ich pojęciu, z podziwieniem naszym dalej przenikają, jak ludzie stare lata mający, żartkiego dowcipu, bystrego rozumu.

Ścisłym związkiem niżeli my połączone z całą naturą, zostają pod ową porę w zgodzie wszystko ogarniającej wszech rzeczy; ku czemu nikt potem nie przyjdzie ani usilną chęcią, ani biegłością w nauce, ani wiadomością rzeczy przeszłych, — ani tęsknicą! — Gdy zaczynają własnej mocy doświadczać, natenczas przechodzą drugą kolę bytu; a téj odpowiednią moglibyśmy znaleźć w dziele zwierząt. Tu jeszcze rządzą się naśladowstwem; za przykładem starszych czyniąc co starsi czynią. Nie długo potem dają słabe oznaki wyższego pojęcia; następnie coraz jawniejsze, dobitniejsze. Wreszcie duch zaczyna się wyrażać na ciele. Z dziecinnych lat wyrasta młodzieniec, swawolny, bujny, — potem nieukrócony, burzliwy, — namiętny i tkliwy, i pełen uniesień. Z całości się wyrывa; z powszechnéj wydiera się zgody we wszech rzeczy jestestwie. A potem zabrzmi, zagrzmie mąż jako dźwięk, jako ton szczególny, rozstrojony, fałszywy w ogólnej tonice. Jest natenczas osobą, (*) jest szczegółem, indywidualną istotą, — samolubem, — „ja.“ — Jeden raz w życiu swoim,

(*) *Osobą!* Ten wyraz w polskim języku zawiera filozoficzne wyobrażenie. Znaczy saś: „jakoby tylko był *sobie*, w *sobie* a nie komu innemu;“ albo: jakoby był *osobno*, nie razem.“ Kamiński mówi: *persona* — per-se-sat.

każdy z nas był w raju, nim wyszedł z lat dziecinnych, w przeciągu między brzaskiem, świtem, jutrenką, — w rozdziale między wschodem i południem lat męzkich! Nim zaufał własnej sile, i zaczął oddzielnie exystować w sobie dla *siebie*! Nim zaczął być osobą. Cóż sprawuje te zmiany? Oto obwarowana, dotąd nierozdzielna, nierozszczepiana *monada*, rozwierać się powoli zaczyna. Niepokój w duszy się szerzy; wzrasta w sercu. Młodzieniec mężniejąc wie dzie przeciwieństwo z całym światem, naturą, społecznością, z którymi dotąd w zgodzie i jedności zostawał, — i myśl się jego na zewnątrz wydiera z boleścią, jako się dziecięce zęby boleśnie z dziąsł wyrzynają. Przyszedszy ku swęj zupełnej sile, wyosobniony ze wszech rzeczy jestestwa, wszystko znajduje przeciwko sobie; bo jest *osobą*, bo jest *sobą samym*. Już nie jest w naturze, ale zewnątrz natury, z pewnego względu za jęj okresem. Natura zaczyna być dla nas *przedmiotem*, odtąd sami dla siebie staliśmy się przedmiotem, czyli *rzeczą oddzielną*. Człowiek *wiedzący siebie*, myśl swoję, i wolę swoję, postrzega gdzie jest, po co? na co? i co go otacza? Pierwszy wszystkich nauk i doświadczeń początek! Teraz dopiero bada, rozumuje, dzieli, łączy, mierzy, waży, obserwuje i nad wszystko się wynosi, i wszystko pod swoje podbija posłuszeństwo.... Jedna

linia przez wszystkie lata życia naszego się rozciąga; z początku w ciemnych niknąca punktach, jak we mgle, i w mroku, — dalej coraz jaśniejsza, wyraźniejsza; naostatek samą jest *jasnością*, promieniem, światłem, wewnątrz obróconą źrenicą — widzeniem siebie okiem ducha, — „uznaniem samego siebie w oddzielném jestestwie.“ — Otoż niedościgła zagadka naszego bytu!... Pierwszy człowiek, jak wszystko *żywiące*, (*) z łoną natury jeszcze *niewyloniony* spał snem twardym we śnie niewypowiedzianego szczęścia. Powoli zaczął się budzić z tego *śnu na jawie*; i wychodzić duszą, myślą z wszech rzeczy ogółu. Nakoniec został szczegółem, — istotą *rozumną*, — jednostką dumającą! Ta jest wielka jestestwa naszego tajemnica. Cóż go dotąd zaszczycza po tylu wiekach o błędnej kolei? Co w nim najpiękniejszego? Oto tęsknica na duszy i boleść na sercu, która je uciska po stracie nieskazitelnego mienia! Oto chęć wyjścia tą samą promienną myślą z ciasnego koła, z okresu *jednostki*, egoizmu, samolubstwa, — chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością płomienistą, wszystko obejmującą od końca do końca, we wszech rzeczy jestestwie, w nierozdzielonym całej natury porządku, w téj harmonii, téj cu-

(*) Wyrażenie biblijne. Przekład Wuyka.

dotwornój tonice całego świata!.... Temi oto słowy skreśliłem początek, następstwo, treść, szczyk i koniec dziejów rodu ludzkiego. Toż samo bowiem słowo w słowo, ziściło się w historyi wszystkich ludów, co się na każdym człowieku, przez wznowienie téj saméj przyrodzonej kolei, codziennie przed naszymi iśći oczyma. Jest rdza, która wszystko pożera, — nawet blask dawniejszój wielkości natury ludzkiej. Są uroki, co niemoc zadają oczom naszym, że jak oczy sobie przeciwko słońcu nic w przeszłości nie widzą, prócz téj wypłowiałej szaty, jaką dzisiaj nosimy. Tać jednak prawda zapisana jasnemi, i bardzo czytelnemi literami w naszém sercu: że *kiedyś innszemi byliśmy*. Bez tego nawet przypuszczenia ani pojąć ani poznać terażniejszości. Czas obecny *stał się* — jest tylko *produktem*. Historya uczy: jako się stał? Umiejętność historyczna jest *konstrukcją* czasu. Pierwsza w dziejach epoka anorganiczną przypomina naturę. Ma ten sam kształt, podobieństwo. Tam w dali niedościgłej postrzegamy kolosalne postacie, pierwszych synów ziemi, — malarskie figury, grupy patryarchalne. Wielki był człowiek w początkach. Są to niejako skały pierwiastkowej *formacyi* w porządku historycznym. A dalej, następujący okres: czyż nie przypada do miary z wegetacją w naturze organicznój? Czasy poetyckiego natchnienia, zapалу? Nie sen-li

to rzeczywiście? Fantazja włada w tym świecie, i jako duch nad ziemią się unosi po uskromieniu burzliwych żywiołów. Stwarza, czaruje! Fantazja w historyi rozpościera się i mija niby sen, albo mgła w świetle księżyca, kiedy gwiazdy rześisty blask sieją na ziemskie obszary. Nie jestto ani jasność słońca w południu, ani ćma nocna, — ale blask miły, który nie razi oko, i śródkuje między tą i tamtą. Wszystkie tu kształty ponętne mają wejrzenie. Więcej we wszystkim poezyi i dumania, niżeli rzeczywistości, rozumu. Co atoli brać potrzeba w znaczeniu przenośnem. Dopiero w trzeciej (naszej) epoce czysty rozum rządzi światem. Czyż ta epoka nie przypada do miary z wyższym porządkiem w naturze i doskonalszą organizacją? Trzy są działy w przyrodzeniu, trzy w dziejach okresy. A porządek, następstwo niewątpliwie takie: na początku *spot-istnienie* we wszech rzeczy jestestwie i życiu wszystkich razem stworzeń. Harmonia światów Platona, Rajs-
kie mienie, bez wiedzy, bez uznania, w tonice i powszechnej zgodzie. To pierwszy okres! Przed wywołaniem z niebieskiej ojczyzny, kiedy jak aniołowie w jedném oka mgnienu świat wszystek przebiegali, i naukę zaraz mieliśmy od stworzenia swego, — bez syllogizmu, mędrkowania i wniosków, tych szczudeł roztargnionej potem natury wielkiego geniuszu, w którym przedtem

była i zgoda i harmonia i jedność nierozdzielna, i moc *pojmwania* wszystkiego bez czasu, i *pojęcia* samego siebie!! — Dalej: odwrot opacznej woli; odstępstwo człowieka od porządku ogólnego, — wydarcie się ze wszech rzeczy jestestwa. Czas tworzydeł fantazyi, wiary, uniesień, — smutku, melancholii. Wysoka poezya człowieka, — mrok w blasku posępnym, i łagodném świetle xiężycy. Prawdziwa romantyczność! Człowiek jest tylko snem, cieniem w téj pięknej epoce, której w naturze wegetacya roślin odpowiada. To wiek pośredni między boskiem *natchnieniem* pierwszego, a rozumem, albo raczój *umem* ostatniego. Ten tedy jest drugi okres! Nareszcie *jasność* południa, pojęcie samego-siebie, doskonała *reflexya*. Czas egoizmu, rozumowania, filozofii; w tym czasie my żyjemy. To trzeci okres! Cel historyi taki: „*Bądźmy jako dzieci*,“ ale w *umie* rozumie, w uznaniu siebie samych w jestestwie naszym.... Powtarzam raz jeszcze, czego dostatecznie wypowiedzieć nie mogę: — myśl, że kiedyś, w początkach świata człowiek był inny, pojętniejszy, szczęśliwszy, choć tego nie wiedział; myśl tak zwanego złotego czasu; myśl raju: myśl błogich chwil, bliższego z naturą powinowactwa, ściślejszego związku z stwórcyćleń nieba i ziemi; myśl ta, — albo raczój: to jako mgła snujace się, dalekie wspomnienie, tkwi pod rozlicznemi

postaciami w każdym systemie poetyckim, w każdym układzie pojęć religijnych, w każdym porządku filozoficznych wyobrażeń, ledwo nie wszystkich ludów starożytnych. Świadectwa godne uważania. To pierwszy okres. Dalej: — myśl późniejszej, nigdy niewybadanej rewolucyi w moralnej naturze człowieka, za wiadomością złego i dobrego, a zatem przez rozróżnienie jednego od drugiego, a zatem przez *wiedzę*, a zatem przez „*się*,” jako mówi genialny spół-ziemianin nasz *Nepomucen Kamiński* tak głęboko częstokroć przenikający do szczerzej, tajemniczniej ale koniecznej rewolucyi, która zburzyła jedność w naturze, zgodę wielką w umyśle, szczęście, prawdę w porządku moralnym, która wyrwawszy człowieka ze wszech rzeczy związku nierozdziel nego, z samym sobą uczyniła sprzecznym, niezgodnym, nie teraz *niepojmującym bezpośrednio*, dla tego, że pierwój siebie *pojąć* musi, żeby pojął cobydz innego myśl ta poważna, stara jak świat, wypełnia historią tylu rozsianych po ziemi plemion; jest treścią, osnową ich dziejów. To drugi okres. Toć właściwie Początek historyi, — co do czasu Historia zaczyna się od *rozdwójenia*, a raczej rozstrojenia wewnątrz nas. (*) Od tego punktu:

(*) *Rozstrojenia!* Dla czego? *Kamiński* to pięknie, i z bardzo filozoficznem rozumieniem języka naszego

kiedyśmy sami dla siebie zaczęli być przedmiotem *widzenia*: Od reflexyi. Przed *reflexyą* nie było czasu; bo czas (a zatem historia) rodzi się z następstwa myśli, przez rozumowanie. Pięknie tedy, i nie bez głębokiego w tę rzecz wejrzenia ktoś powiedział: iż w tem, że rozumować i myśleć możemy, najoczywistszy dowód naszego zboczenia, upadku.“ — Naostatek: myśl, że człowiek dąży do *odzyskania* owego stanu, to jest: „żeby,“ — jako pismo mówi, — „*głębią prostotę z węzową łączył chytrością*,“ czyli innemi słowy, co na jedno wypada z tego przenośnego rozumienia: żeby *umem*, rozumem, żartkością i przenikliwością swego dowcipu, toż głębokiem

wytłómaczył w swem nieoszacowanem piśmie (Patrz *Haliczanin* Tom I na str. 97.) Oto są jego słowa: — „moje ciało jest ciałem, ale moje *ja* duch; ja się duchem widzę, a patrzę ciałem; a kiedy *pa-trzę* wtenczas szukam przez *trzy* w czasie: przez swoje *Ja*, przez *się*, i przez *to* czém patrzę, przez moje *ciało* (zmysły).“ — „Ja kiedy *pa trzę*, wtenczas *szukam tego* co już wé mnie było, com już *wiedział*, czego miałem wid, ideę z idei, z Boga w którym *byłem*, bom z niego.“ — Wielkie w tém rozumienie *Kamińskiego*, bo jak wiadomo „uznanie samego siebie“ jest *dryadą*. Najprzód jest myśl, powtórę jest wiedza téj myśli, czyli wewnętrzne poznanie, *objawienie*, (wyjawienie się tego *ja* wewnątrz), a potrzebie *rezultat* dwóch poprzedzających: „*uznanie*.“

a jasnym samego siebie *pojęciem*, ze wszystkiemi dary i dzielnościami cywilizacyi, które z tego *pojęcia* wypłynęły, był tak dobry, tak niewinny, tak cichy i natchniony, jak ów pierwszy człowiek przed wywołaniem i tulactwem swoim, kiedy go Stworzyciel nieba i ziemi posadził ręką swoją w raju, — kiedy poraz pierwszy w świetle pierwszej różanej jutrzeńki ujrzał spaniałe dzieła natury, i wszystkie razem dziwy na ten widok serce jego opanowały, — kiedy Bóg dziewosłubił pierwszej parze; — myśl, że tego dążenia niezatarte ślady postrzegać się dają w sprawach, klęskach, i powodzeniu wszystkiego rodu ludzkiego; myśl opatrności prowadzącej człowieka *za rękę* ku temu dalekiemu jeszcze celowi, — jest myślą największych filozofów, historyków, teraźniejszego wieku. To trzeci okres. — Te trzy rozległe pojęcia: *pierwotnej wielkości, odwrotu opacznej woli i odzyskania*, czyli powstawania i dźwigania się z upadku (w ciągłym ku temu kresowi postępie rodu ludzkiego) są nicią wątkową historii, — są odmotaniem wszystkich zagadek nierozdzierzgnionej żadnym innym przypuszczaniem płataniny.

Ta jest teoria *uznania siebie w swoim jestestwie*, którą z wielu stron i pod wielą roztrząsałem względami.... Atoli nie wszyscy ludzie tę kolej przechodzą. Niektórzy zastano-

wiwszy się na wpół kresu, trwają do ostatka w niemowlęctwie złe rozwikłanej myśli. Tak się i z całemi dzieje narodami. Zaiste! Nie mała to rzecz byź musi *uznanie samego siebie* w jestestwie swojém, kiedy przezto jedynie człowiek staje się *reflexyą* natury, reprezentantem całego przyrodzenia i wszystkich na świecie stworzeń. Ale ten tytuł zaszczytny służy tylko *myślącym*, rozumującym ludziom, w których myśli zgromadzone są wszystkie po całym przyrodzeniu rozstrącone błyski to życia, to rozeznawań. Ci, co nie myślą, albo myśląc myśli swoich nie wiedzą, co nie przyszli jeszcze ku temu rozdziałowi, iżby sami dla samych siebie byli niejako zewnętrznym przedmiotem uwagi i baczenia: ci żadnego prawa do téj wysokiej chwały nie mają. Nie znając samych siebie, czyż mogą znać drugich i innym przodkować stworzeniom? Tacy w niższym mieszcą się rzędzie. Mają myśl, ale nie *swoją*; bo jój sobie nie przywłaszczyli. Mają pojęcie, ale niem nic nie pojmują. Są, *ale dla drugich*, nie dla siebie. Oni żadnego zgola nie mają jestestwa. Nieme posągi na scenie życia! Pospolicie téż rządzą się instynktem nie rozwikłanym w jasność rozumu, cudzą radą, albo zwyczajem. Co jest złego na świecie, poszło z takich ludzi. Nieszczęśliwi. —

W bystrzej, żartkiewej myśli, w opatrnej radzie, w poważnym słowie maluje się godność duszy ludzkiej. Te zalety zdobią męża, niemiślniej; w nich ma uznanie samego siebie w swoim jestestwie.

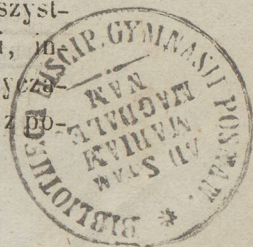
W rozważnym działaniu, w mądrej sprawie, w silnym wyrażeniu ducha, w śmiałym wyciągnięciu na jasną spólną myśl, maluje się godność, i dostojność wielu takich mężów.

Ci wszyscy razem zebrani w całość składają jeden naród, mający jedne prawa, jedną spólną ojczyznę.

Jeden człowiek, gdy myśleć zacznie, przychodzi ku uznaniu samego siebie; tak samo i cały naród w myśli swojej też uznanie samego siebie w jestestwie swoim mieć musi.

Jak myśl jednego człowieka zamyka w sobie, że tak powiem, istotę jego istoty; tak zebranie w całość wszystkich razem myśli *reprezentuje* istotę narodu.

Ściśle rzecz biorąc: naród, nie jestto zbiór ludzi zamieszkałych na przestrzeni, określonej pewnymi granicami. Ale raczej istotą narodu: jestto zbiór wszystkich jego wyobrażeń, wszystkich pojęć i uczuć odpowiadających religii, instytucjom politycznym, prawodawstwu, obyczajom, a nawet: będącym w ścisłym związku z do-



łożeniem jeograficzném, klimatem i innemi warunkami empirycznego bytu. —

Że jedne narody giną i śladu po sobie nie zostawiając, a drugich pamięć przechowuje się w dziejach, z kądżeto pochodzi? — Co sprawuje tę tak ważną różnicę? Oto, że ostatnie za dni swoich przyszły ku uznaniu siebie w massie swych myśli i wyobrażeń; a jestestwo pierwszych zasadzało się jedynie na zmiennych, przemijających warunkach bytu, to jest na pewnej liczbie indywiduów, które mieszkając w przestrzeni określonej pewnemi granicami, nigdy samych siebie w jestestwie swojém nie uznały; *uznania* tego świadectw ani piśmiennym dostatkami, ani w dziełach sztuki potomności nie przekazały; — a tém samém żadnej *reprezentacyi* czy to w moralnym, czy umysłowym, czy estetycznym świecie mieć nie mogły. Takie zbiory indywiduów są naksztalt cząstek materyi, zostających między sobą w słabym związku mechanicznym, który środki *mechaniczne* łatwo rozrywają i niszczą.

Niechaj naród raz tylko, i choć na czas najkrótszy ma to *uznanie samego siebie w swojém jestestwie*, a już pamięć jego nie zaginie. Wyrazi się bowiem; wyjawia, zasłynie. Będzie miał poetów, sztukmistrzów, dziejopisarzy, mowców. Uczucie to bowiem, kiedy się naród w swojém

jestestwie nierozdzieloném czuje jak po tętnie (*), jest tak piękne, tak szlachetne, że się koniecznie wszystek w niem wyjawić musi, wyrwać na jaw; wynurzyć, swoje „ja“ na oko pokazać.

To wyrażenie ducha, to wyciągnięcie myśli spólnej na jaśnią, ta ogólna massa wszystkich razem wyobrażeń i pojęć, cechujących narodu istotę, „*stanowią literaturę tego narodu.*“

Do tego zmierzały poprzednie rozumowania. — Zajmując pod jeden widok to wszystko co się dotąd rzekło, wyznaję:

Że naród jedynie tylko w literaturze ma swoją *reflexyę*.

Że jedynie tylko w massie swoich wyobrażeń i myśli ma wewnątrz ujęcie, ma grunt pod sobą i uznanie samego siebie w jestestwie swoim.

Ważna prawda! — Jest więc literatura z pewnego względu jako *sumnienie* narodu. Z czego wypada; że naród nie mający własnej, oryginalnej literatury, to jest, nie mający wyciągnionej na jaśnią powszechniej massy wszystkich swoich wyobrażeń, pojęć i myśli, jest tylko zbiorem ludzi, zamieszkałych na przestrzeni określonej pewnymi granicami, którzy jeszcze moralnego ogółu nie składają.... Nie dosyć na tém, że *jestemy*; potrzeba to jeszcze *wiedzieć*. Im lepiej

(*) Stary wyraz polski znaczy: *puls*.

to wiemy, tém bardziej rozszéramy się, umacnia-
my w jestestwie naszym. Kto jest, — powtarzam
to raz jeszcze, — a nie ma uznania samego sie-
bie, czyli: kto tego że jest, nie wie, ten jest tak,
jakby go wcale nie było. Jest ale tylko dla
drugich, nie dla samego siebie, (... Nie dość
na tém, że wiemy, *jak* jesteśmy *teraz*. Jeżeli
tylko w *obecném* uznajemy się jestestwie: czyż to
uznanie będzie kiedykolwiek doskonałe? Na co
się wreszcie przyda taka wiedza? Cóż z tego, że
z dnia na dzień żyjemy jako żebracy, tułacze
jałmużną się utrzymujący, którzy nie wiedzą,
gdzie głowę swoje skłonić mają ku wieczorowi?
Śliskie myśli nasze i byt nasz śliski: pamięć nie
trwała, a w utraپieniu ledwo się sama czuje.
Przecież trzeba mieć wsparę na czémś. Wszel-
ki lud rodowity i historyczny, w historią świa-
ta zachodzący, jest jako roślina w patriarchal-
nej osiadłości; z nasion na ojczystym rozkwita
gruncie, a potem za błogosławieństwem nieba
w wysokie, cieniste drzewo wyrasta. Stoi mo-
cno i bezpiecznie na pniu to drzewo jeśli sie
pokarm z ziemi, jako z piersi macierzyńskich.
Korzeniem jego jest przeszłość historyczna. A wszy-
stkie dzieje tego pnia rokrocznie wyrzynające
się na nim pierścienie szeroko rozpowiedza!
Tam w pośrodku postrzeżesz zdrzeń, — życie
rośliny, z którego się pierwotne rozwinęły listki

naokoło w coraz szerszych kręgach postrzeżesz późniejsze lata i wieki, — każdy oddzielnie, a jednak wszystkie razem najściślej z sobą związane, zrosłe, — z których każdy jeden w drugiego zachodzi, jak koła zazębione zachodzą za siebie, i jedno drugie, choćby ich było i najwięcej, porusza, obraca. Wszystko to razem zewnętrzna okrywa kora, spaja w całość. Takie jest życie ludu!

„Nie obcym ja przybyszem, ani w obcej ziemi,
Łączę się z wami bracia tu mojemu.

Kość z kości ojców naszych, ród jeden skła-
damy;

I jednym wszędzie duchem oddychamy.

Gniazdo nasze tak stare jak morze i rzeki

Którym imiona daliśmy przed wieki. I t. d. (*)

Jakże ci się mylą, którzy wszystko zaszczepiają na tem co jest *teraz*, a co przeminęło na złe wykładając, albo jawnie sromocą, albo jeśli nie mogą, w opaczne przywodzą mniemanie! Życie historyczne wszelkiego ludu, jest, zdaniem mojem, nie co innego tylko ciągły, nigdy nie przerwany process *uobecniania się* samemu sobie, od początku, od kolebki, przez wszystkie

(*) Lech Woronicza sięga druga.

pośrednie czasy. Jestto pojmowanie, czucie samego siebie w całym przestworze rodowitego bytu. Poczuwajmy się we wszystkich czasach swoich żebyśmy mieli wszystkie kolejne wieki naszego bytu w każdym momencie przytomne, tak, żeby za każdym uderzeniem pulsu, i w każdym nieledwo tchnieniu naszego życia, wywijało się z zapadłej niepamięci minione, zatracone narodu jestestwo. Tym tylko sposobem doskonale pojąć się zdołamy. Taki tylko naród jest nakształt drzewa poświęconego, które wiekami zielenieje i bezprzestannie kwitnie; — w burzy, w pogodzie, bez przerwy. Na to wychodzi „rozumienie samego siebie w przeszłości i teraźniejszości.“ Od zawiązków, od ziarna nasiennego do korony rozłożystej cienistego klonu, jaworu, albo modrzewia.

Gałazka odcięta od szczepu, którą wiatr daleko unosi na pustynię, gdzie uschnąć musi, — albo którą prędki strumień czasu pociągnie na głębią, w toń zatracania: to naród dawnych czasów w swojej nie mający pamięci! Prawda, powinnością jest każdego czasu stworzyć coś swego, coś sobie tylko właściwego. Ale także i to wątpliwości żadnej nie podpada, że ten czas jest przeszłych czasów utworem. Nie wszystko upada od niemocy, nie wszystko ginie starością. Wieki przeszłe mają swoich dziwowidzów,

mają swoich chwalców terażniejsze. Jak jedni tak drudzy bardzo potrzebni ludzie. Reprezentują całość z wielu części złożoną. Wszystko co było, co jest, niechaj się odbije w literaturze, tém ruchomém zwierciadle dawniejszych i dzisiejszych pojęć; żebyśmy samych siebie w drugiej ujrzeni postaci. Biada ludowi, gdy choć na moment wyjdzie z tego rozumienia samego siebie! Jeżeli nie jest ustawicznie w tém jasnym widzeniu! Jeżeli literatura jego pokazuje jakąś omylną, obcą postać w szacie łatanej z różnych kawalków niejednego postawu.

Od pozornój *reflexyi* w krainie złudzenia i omamień, w fantastycznych przeobrażeniach, w roznoszeniu się jestestw na dwoje, i ukazywaniu omylnych kształtów rzeczy to na wodzie, to w cieniach, to w obłokach, to w sennych postaciach, — od tego cudownego misterstwa w przyrodzeniu, przyszedłem do *reflexyi* rzeczywistej i jasnej, którą Bóg stworzył dla natury w myśli człowieka. Tę myśl uważałem jako istotę promienistą, i jako strojny akord, wyrażający harmoniję świata. W tej myśli szukałem związku człowieka z przyrodzeniem. W tej nakoniec myśli rozwikłanej, wyciągnionej na jaśnią i odbitej w literaturze znalazłem ogólną *reflexyę* dla ludzi zostających w związku społecznym.

Summa całego wykładu jest to: że przez literaturę potrzeba rozumieć *systema tych nauk, tych umiejętności, tych wszystkich razem twórców ludzkiego umysłu, a raczej systema tych działań i poruszeń myśli, które mają najbliższy i bezpośredni związek z cywilizacją i duchem narodu.*

A zaś przez cywilizacją rozumieć należy: moc, dzielność i stateczne, bezprzestanne objawianie się i wyrażanie tego ducha we wszystkich naukach, we wszystkich tworach ludzkiego umysłu, krótko mówiąc: w powszechném systemie działań i poruszeń myśli całego narodu.

Znaczenie przestronne i wiele ogarniające. — Tę miarę wzięwszy do ręki, i pod tym tylko względem uważać będę naszą ojczystą, polską literaturę.

Jaki jest stan terażniejszy téj literatury? Co ma w sobie właściwego, pierwotownego, prawdziwie polskiego? Czém się różni od innych postronnych? — Jeżeli napomknienia, widoki urywkowe, myśli ogólne tę rzecz rozjaśnić zdołają, położę w to staranie moje; — zawsze jednak z ostrzeżeniem czytelnika: *in magnis voluisse sat est.* Niechaj raczej uważa to piśmko moje jako zarys, plan obszerniejszego dzieła, a nie za same dzieło.

Z poprzednich uwag wynika, że nazwisko *pięknej literatury* i tytuł honorowy a wielce wygodny *belletrysty*, który u nas jeszcze gdzieś popłaca, w mniemaniu autora tego pisma żadnego znaczenia mieć nie może. Bo któż jest *belletrysta*? — Nie jest nim uczony z powołania, nie jest poeta z natchnienia; nie jest sztukmistrz, ani badacz dziejów, — ani wreszcie filozof. Jakież jego zawód, jakie zatrudnienie? Znać się na wszystkiém, a nie gruntownie nie umieć? Kochać język ojczysty, nauki i sławę, a nawet nie mówić po polsku, (jak najczęściej czynią *amatorowie*, *dyletanci*), a nie przykładać starań, żeby im się dobrze działo, żeby się w kraju rozszerzały i kwitły? — Osobliwie w Polsce, cóż nad to godniejszego politowania? Toć prawdziwie literackie *nie*, pozór tylko na osłonę niedbalstwa, czy obojętności w rzeczach wielkiej wagi z dobrem powszechném nierozdzielnie złączonych. Od utworzenia się filozoficznej estetyki ustalała tak zwana *piękna literatura*; wiersze nie są poezją; na rymach teraz sztuka nie zależy: niemasz przeto i *belletrystów*. Jest tylko jedna literatura nosząca na sobie obraz i podobieństwo moralnej istoty narodu. Są, powinni być jedni ludzie, myślący, pracownicy, którychby chęci energiczne, i wytrwałość w przed-

siewzięciach tę literaturę wspomagały, zbogacaly. Jedna ziemia, jedno powietrze, jeden duch! Przeto życzyby należało, aby ustał ów płonny tytuł. Policzmy go do zwietrzałych zaszczytów; jak kładziemy i przechowujemy w osobnych komnatach, często tylko dla osobliwości, dawniej czci oznaki, jakimi się niegdyś dworscy ludzie w wysokie o siebie podnosili rozumienie, — albo ostatki staroświeckich ubiorów, którymi się przed wiekiem, niepokazna a chępliwa uroda oczom świata wysługiwała. *Et haec et talia.* — Niwa nauk ojczystych rozległa, bujna, nieprzejrzana okiem; tu każde ziarnko stokrotny owoc wyda; a robotnik rzadki, a ci co szczerze, co ochotnie pracują możeby się i dzielić nie chcieli zarobkiem z trzpiotami, dworakami literatury gotowalnianej, niewieściej, którzy, — kiedy myśleć i *działać* potrzeba, szukają rozrywki w marnym dyletantyzmie.

Wreszcie: z samą potrzeby daleką przestrzeń olbrzymim niemal krokiem przebiec powinniśmy. Polska w dziewictwie jest jeszcze, tak zdaje się, dla literatów sławy; toż ze względu dostatków literatury, którą spólnemi chęciami pomnażać należy. Tu najpiękniejsze, dotąd nieuszczknione wieńce rosną. O cały wiek ubiegli nas postronni w sztuce, umiejętności, we wszelkich działach poznawań ludzkich. Niezmierne pole

myśli otwiera się przed nami, którego ani ulotny dowcip, ani dyletantyzm nie ogarnie. Ileż rzeczy stało się w świecie duchów, o czym z cudzej ledwieśmy wieści słyszeli? — Wszystko to przekonywa, że nam trzeba teraz poważnych rozmyślaczów, a nie *belletrystów*, pracowitych pisarzy, a nie motylego owadu co z kwiatu na kwiat przelatując, z samych zawiązków ssie słodycz. —

ROZDZIAŁ DRUGI.

*Zastosowanie do rzeczy polskich teoryi „uzna-
nia.“ — Co jest umiejętność? — Zasada dyna-
miczna literatury. — Ruch; gra przeciwieństwo.
Piśmienne sektarstwo w Polsce.*

Co zwiemy oświatą, cywilizacją, kulturą naukową i estetyczną, zwierzchna jest szata ducha narodu. Czemuż na niej tak różne barwy postrzegamy w tym lub owym czasie, inne na wschodzie, inne na północy, na zachodzie i ku południowi? Rzecz naturalna, ponieważ każdy lud, osobliwie w starych wiekach, inną miał imaginacyą, i inne natchnienie poetyckie, inną nawet pamięć przeszłych czasów, inny rozum w filozofii, nakoniec inną *metodę*, czyli tryb postępowania w doskonaleniu nauk, i umiejętności. — Powielekroć zdarza się: że wykształcenie téj lub owéj władzy ze szkodą, i zaniedbaniem

innych usposobień; ze rozwinięcie jednej tylko siły umysłu publicznego, i rozniesienie się jęj podług jednego kierunku, w różno-kolejnym to wzroście, to zacieraniu się oświaty, nadaje téjże charakter wyłączny, jedno-tonny. Sławny fantazmagoryk *Jan Paweł* powiada: „wszelki duch z korynckiego kruszcu ulany, z *ruin* się składa.“ W rzeczy samęj tylko *ruiną* jesteśmy! Inaczęj nie mogę pojąć człowieka, i jego dziejów. Pierwotne, nigdy dostatecznie nie zgłębio-
ne, umysł ludzki podzieliło rozerwanie. Roz-
trzęsło go tak, że teraz żadną miarą, żadną usil-
nością, do zgody i jedności z samym sobą, w so-
bie, przyjść nie może. We własném sercu ma-
my ucisk i wielką burzę; w duszy nosimy roz-
strojenie. Czyż się tego skutki nie wyraziły
w cywilizacyi wszystkich ludów? Zważmy tylko:
tu panuje *um* i inne władze potłumia, ukraca;
um systematyczny, porządný, loiczny, wojuje
zwycięzko dyalektyką cienkich myśli, dyalektyką
subtelnych pojęć, wszystko na polemicznych za-
sadzając roztyrkach. Nauka mędrca chińskiego
nosi na sobie tę cechę jasnością swoją wszystko
opromieniającego *umu*. To tkwiło w układzie
pojęć religijnych, i ścienyficznych owego naro-
du, wedle charakterystyki i podań Remiuzata,
Kolebroka, Jonesa. A gdzieindziej jaka odmiana!
Nie *um*, ani podrzędny, z *umu* wynikający ro-

zum, lecz *imaginacya* przybiera w właściwe stroje wszelkie kształty, na jaśnią wywołane z pamięci. Owdzie znowu nad tę zwierciadlaną wywyższa się wyobraźnię daleko silniejsza władza, — twórcza, gwiazdzista, niepodzielna *fantaŝya*, i w całym systemie cywilizacyi moc swoją szeroko rozpościera. To w kolosalnej wyraża się architekturze, to w wysłowieniu postaciowém, figuralnym, to olbrzymie stawia pomniki, i olbrzymi zapala nieci w sercu poetów; maluje się w religii, stwarza teozofią, mistycyzm. Tak było w indyjskiej krainie nad brzegami Indu i Gangesu. Co atoli rozumieć trzeba w tém tylko znaczeniu, że jedna władza z większą mocą, niżeli inne się rozwinęła; gdyż ani przypuścić nie godzi się, żeby na którejkolwiek z nich całkiem zbywało temu lub owemu narodowi, bądź w starożytności, bądź w wieku pośrednim, bądź w nowszych czasach. Pod ten widok podciągnąćby można, i z tego względu uważać systema każdej niemal cywilizacyi; wszędzie bowiem do pewnego *maximum* wykształcił się jeden z pierwiastków naszego umysłu, i ten lub inny rozpostarł *élément* rozdartą naturę człowieka.

Położywszy za zasadę, że istota narodu pod wszystkimi wyraża się względami w porządku jego działań i twórow umysłowych, zatknąłem sobie kres, do którego zmierzać powinienem.]

Skoro przypuścimy, że jest umysł ogólny w Polsce, tём samém więc jego przyrodzone własności, i tak mocna, jako i słabsza strona, usposobienie, bogactwa i niedostatki, dzielność i przywary ukazać się muszą w polskiej literaturze, czyli w powszechném systemie wszystkich naszych pojęć i wyobrażeń.

Umysł ogólny narodu te same władze i usposobienia mieć musi, jakie ma umysł każdego pojedynczego człowieka; ponieważ w całości to tylko byt może, co się znajduje w składających ją częściach. — Jakaż władza, jakie usposobienie najwyraźniej objawiło się w literaturze i cywilizacji polskiego narodu?

Założeniem mojem jest: rozstrzygnąć to zagadnienie.

Podług teoryi rozwiniętej w poprzedzającym rozdziale, rzetelne rozumienie wszystkich części literatury, samo przez się podaje się tu myślącemu czytelnikowi. Bez naciągania i przymusu ustanawia się także stosunek nauk i umiejętności, nie tylko między niemi, ale i względem narodu. Szerokich na to wywodów nie potrzeba. Wiedzieć że jesteśmy, i tój wiedzy nieomyłne świadectwo jakimkolwiek sposobem: na piśmie, na kamieniu na płótnie, tonem, farbą, dźwiękiem, *słowem*, przez *um* i rozum, fantazyę, imaginacyę, i wolę wyrazić, na oko pokazać, — toć jest praw-

dziwie co nazwałem po staropolsku „*uznaniem samego siebie w swoim jestestwie*.” Ta zasada życia, ta przyczyna bytu jest zasadą całej literatury, zasadą i przyczyną tego wszystkiego co się dzieje w literaturze; jest miarą wartości wszelkich utworów dowcipu. Sztuka i umiejętność są owocem życia, i nawzajem rodzą życia owoce. Żadnego nie masz martwego misterstwa; nie masz żadnej martwej umiejętności. Wszystko się w duchu wszczyna, dzieje mocą ducha, i do ducha zmierza. Uważajmy ogół literatury z stanowiska téj teorii „uznania.”

Zacząć potrzeba od historii. — Podług tego co się wyżej rzekło, historia polska nie co innego być może, tylko nauką służącą narodowej pamięci. Pamięć jest niezmiernie ważna władza umysłu ludzkiego. Wyobrazićby ją sobie można jako nić wiążącą nie tylko szczególne pojęcia, ale całe szeregi rozumowań, i wszystkie imaginacyi obrazy. Nić przypomnienia i związku, żarzący się świecznik w głowie naszej! Wiele rzeczy zapominamy w nieprzebraném mnóstwie myśli, w rwistym toku wyobrażeń; ale skoro owa nić wewnętrznego przypomnienia, nić wewnętrznego związku rozerwie się na dwoie, tak że tego co było przypomnieć sobie nie możemy, skoro ów wewnętrzny świecznik rozumu nie

ściemnieje, ale całkiem zgaśnie: natenczas sam rozum dostanie zawrotu i jest naksztalt okrętu bez żeglarza wśród burzy. Działanie jego wątleje; nareszcie niemoc z ochromieniem przywodzi go ku obłąkaniu. Człowiek taki jest jako obłąkany; mówi od rzeczy; wszystko bierze i czyni opacznie; cudzego potrzebuje dozoru, żeby sam na swoją szkodę nie zarabiał. Wszystko na nim wytarguje kto chce, i co chce sprawi; a liczne kłopoty władną jego niestatkami. Tak bywa i z narodem. W umyśle jego jest także pamięć, którą stracić może. Może zgubić nie przypomnienia i przyjść ku *obłąkaniu*. W umyśle narodu może także ściemnieć i zgasnąć wewnętrzny świecznik. Cóż się wówczas dzieje? Oto cienie przeszłości tułają się bez czci i pożałowania. Nikt nawet nie wie gdzie są groby wielkich ludzi; a wiara, cnota i nadzieja odlatują w inne czasy. Piękność, sztuka i poezya nie mają żadnego powabu. Umiejętność służy tylko wygodzie i potrzebom, a nie istnej prawdzie. Literatura stroi się kradzionymi wdziękami, i cudzą wzbogaca, a raczej ubożeje iścizną. Jednym słowem: w takim umyśle jest obłąkanie. Biada ludziom, którzy ku tej przychodzą niepamięci! Straciwszy z przed oczu obraz przeszłych czasów, zarówno i tego nie postrzegają co się

koło nich dzieje. Samych siebie nie znają; są tylko przedmiotem rozumienia i znawstwa dla drugih.

Pisarze dziejów krajowych wspierają, mocują tę władzę, za której osłabieniem lub ustaniem umysł publiczny mógłby przyjść ku obłąkaniu. Przełożyć przed oczy narodu powieść zawierającą wszystkie jego dzieje, nie jestże to ocucić jego pamięć, żeby się we własném minioném jestestwie poczuł i zrozumiał? Historia liczy wszystkie odetchnienia, i ledwo nie z każdego uderzenia pulsu w życiu narodu zdaje sprawę potomnym czasom. Nauka ta poważna, dostojna, wzbudzając i zasilając nigdy nie wygasłe uczucie przeszłego bytu, dalej jeszcze takowe rozszerza w narodzie. Historyą piszą społecznie z podań, z wieści, i powiastek; z tego na co sami własnemi oczyma patrzyli. Każdy wiek miał swoich kronikarzy, swoich latopisców, którzy to wszystko co się za ich dni działo, czy w powodnym czy przeciwnym szczęściu, przekazywali bądź pismem, bądź także tylko ustném podaniem. Z tych przekazów tworzą się następnie historyczne materyały; a z nich, za staraniem późniejszych zbieraczy, krytyków i pisarzy umiejętnych, ogólna powstaje dziejów ojczystych osnowa. Spółczesna historia każdego wieku świadczy: jako *się* naród w obecném jestestwie swoim

rozumiał, jak uważał i pojmował to jestestwo? Wszystkie zaś dzieje od najdawniejszych czasów do dnia dzisiejszego, są, a raczej powinny być zebraniem w treść *jedną* sztywnie, umiejętnie, porządnie rozwiniętą tych cząstkowych świadectw, tych ułamkowych, przemijających, *uznawani*. Ztąd jak z wątku potrzeba wyciągnąć nie historycznej powieści, zawierającej *summa* wszystkich minionych momentów życia. Zachodzi więc pytanie: czy mamy w literaturze polskiej takie dzieło ojczyśczej poświęcone pamięci? Taką powieść od najdawniejszych czasów do dni naszych? Powieść jednej treści, tchnącą jednym duchem, ułożoną i skreśloną przez *jednego* pisarza? Albo, co na jedno wychodzi: czy pojęliśmy wszystkie minione narodowego jestestwa chwile? I czy się teraz w tém minioném jestestwie uznajemy? Jakaż jest pamięć nasza? (*)

(*) Proszę czytelnika, żeby tego opacznie nie rozumiał. Możeby się komu zdawało (według tego co namieniłem: „*że historya służy pamięci narodu*“ —) jakoby historyk prócz pamięci niczego więcej nie potrzebował, ani rozumu ani imaginacyi, ani fantazyi. U nas nie trudno o takie wnioski, — osobliwie w dziennikach naszych. Równie mógłby mnie kto z tego posądzić, że poecie odmawiam innych sposobień prócz saméj fantazyi i imaginacyi. To zdanie

Nauki, jak z wszelką historią, tak i polską związek mające, n. p. geografia, statystyka, numizmatyka, chronologia itd., przyczyniają się ku wyjaśnieniu ojczystych dziejów, a tém samém ułatwiają dostateczniejsze rozwikłanie owego pojęcia i rozumienia siebie w przeszłości, takowe w publicznym mocując umyśle. Pod tym tylko względem zasługują na uwagę. Jakież jest stan tych wiadomości w polskiej literaturze.

Naród polski po wszystkie czasy swego związku społecznego zachodził w historią Europy; przeto powinien znać swoje zewnętrzne stosunki i rozumieć siebie w spólném jestestwie z ościeniami, postronnemi, dalekimi ludami. Przełożył przed oczy ziomków powieść, zamykającą dzieła i sprawy wszystkich ludów, z którymi zostawali w związkach pośrednich, bezpośrednich, bliskich, dalekich i najdalszych, nie jestże to rozszerzyć

byłoby omyłne. Jak poeta tak historyk cały głowę i dobrze we wszystko opatrzoną mieć powinien. Ale tu chodzi o główną zasadę, o szczególniejsze rozwinięcie tego lub owego elementu. A tą zasadą w poezyi i sztuce jest imaginacja i fantazja, w historii zaś pamięć lecz z tego tylko względu, z jakiego uważałem tę władzę, to jest w umyśle ogólnym narodu jako nić wiążącą wszystkie pojęcia i czasy przeszłe z teraźniejszymi.

ich uznanie we własném tak minioném jako i obecném jestestwie? Ziemio-krąg tém się ogarnia rozszerzeniem. Historya powszechna rozgałęzienie jest szczególnéj; jest to wielkie koło mniejszego koła, a obadwa za siebie zachodzą. — Toż samo o jednym rozumiemy człowieku, co ze względu całego narodu. Kto nie jest obywatelem kraju, czyli innemi słowy: kto będąc *osobą, jednostką* nie pojmuje się zarazem w pospolitéj rzeczy, w związku społecznym, tego uznanie we własném jestestwie ani godziwe, ani doskonale bytć nie może. Prawdziwe obywatelstwo nie co innego jest, tylko rozszerzenie osoby, rozprzestrzenienie indywidualnéj jednostki. Tak samo naród cały, we własnój tylko i nierozdzielnej uznający się *egzystencji*, byłby jako obwarowana i ze wszechstron zamknięta *monada*, która saméj siebie jeszcze nie pojmuje i nie rozumie. Żeby się dojrze pojąć, potrzeba znać drugich, i z nimi zostawać w ciągłych stosunkach. Wtenczas tylko, *kiedy jedno stawia się przeciwko drugiemu*, i to i tamte pojmuje siebie. — („*Ja*“ stawia się przeciwko „*nie-Ja*.“) — Historya powszechna jest rozszerzenie narodowój jednostki, ojczystego „*ja*“ za obręb przestrzeni, pewnemi granicami określonej. — Tak pojmuję powszechne dzieje rodu ludzkiego. Rozwinę to pojęcie. — Poważanie starodawnych obyczajów;

pamięć tkliwa i czuła na zasługi przodków; wdzięczność za dobro przekazane nieskazitelna cnót przewag sławnych puścizną, toż wzniosły duch rodzinny w rodzinnej osiadłości; a przede wszystkim duch braterskiej zgody, którym się statecznie dobrane utrzymywały związki; duch spólny, mocny, niezłomny, żadną nieprzewyciężony przeszkodą, który sprawował, że każdy członek to bractwa, to zgromadzenia, nie raz z wspaniało-myślném poświęceniem własnej korzyści służył pospolitej rzeczy, tej potrzebie we wszelkim przypadku rad dogadzał z całej duszy swojej i z całego serca, dzieląc zarówno szczęście i nieszczęście, równym znośząc umysłem smutek i pociechę, zarobek, i stratę: otóż treść we wszelkim narodzie; otartym z dzikości i barbarzyństwa, wywijających się z śladu społecznego dziejów ojczystych i wspomnień. W tém uczuciu zawarta historia krajowa. Ale my większego jeszcze potrzebujemy zakresu; rozprzestrzenieć się musimy w człowieczeństwie. Powinniśmy przyjść do *uznania siebie* w ogólném jestestwie rodu ludzkiego. Gdzie to wyobrażenie nie jest rozwinięte (tak iżby każdy z nas, w wysokim rozumieniu chrześcijaństwa, poczytywał, uznawał siebie za członka jednej rodziny świata), tam ludzie zostają w pewnych tylko massach, granicach, stanach. A najpierw człowiek jest w domu;

jest patryarchą swój rodziny. Potém jest w cechu, w bractwie, w stronnictwie, pod którego chorągwią żółd wie dzie, którego znaki i godła nosi na sobie. Coraz rozszerza się jego zakres. Daléj jest w stanie, w klassie, osobne mającój prerogatywy, przywileje; daléj jeszcze jest synem ojczyzny; a w końcu stać się musi całego świata obywatelem. Ten postę p konieczny i nieodzowny. Tego postępu świadectwem i nauką: historia powszechna rodu ludzkiego. — Czy mamy w polskiej literaturze taką naukę? Dzieło poświęcone tak ważnemu przedmiotowi? — Lecz tego co się rzekło o historii powszechnéj, niechaj nikt opaczny m wykładem nie naciąga na to rozumienie: jakoby m najwyższe dobro cywilizacji zasadał na zatarciu wszelkich śladów różnicy między narodami, i niejako ostateczny kres oświaty nstana wiał w potłumieniu miłości ojczyzny i t. d. Dalekie jest odemnie to mylne mniemanie; prawdziwa bowiem cywilizacja, jak sądzę, rozszerza *indywidualność* każdego narodu, ale jéj nie zaciera i nie podkopuje; zbliża ludy ku sobie, ale ich na jedno-gniezdne nie zbija plemie; osłabia uprzedzenia trzymające narody w roździele nienawiści, szkodliwéj wzajemnemu ich pożytkowi, ale każdemu pozwala zostawać i rozpleniać się w pewnéj mierze, opisanéj właściwością obyczaju, ducha, i innych okoliczności.



Tylko fałszywa cywilizacya, tylko poniżający godność człowieka mechanizm pojęć, i mechanizm myślenia, o którym we wstępie wspomniałem, zacierają pierwotne cechy znamionujące istotę narodu w rodzinnej osiadłości. Można być dobrym ojcem własnej rodziny, i pożytecznym członkiem pewnego stanu, można być dobrym obywatelem kraju; lecz zarazem te wszystkie uczucia i względy można, a nawet trzeba połączyć z wyobrażeniem i uczuciem godności rodu ludzkiego, z tém nareszcie przekonaniem, że wszyscy ludzie bracia są nasi, a ziemia dana nam wszystkim w osiadłość, abyśmy jedną wielką składali rodzinę. — Rozszerzenie ojczystego, rodowitego „ja,” rozumienie się w jestestwie drugich, ogarnienie wszystkiego rodu ludzkiego we wszystkich czasach tą ognistą miłością, która z nieba na ziemię sstała, — ten kres ostateczny chrześcijańskiej kultury, ten, nie inny przedmiot historii powszechnej. — Szczególna historia jednego narodu wtenczas dopiero *staje się* umiejętnością, kiedy ją rozwinie w powszechnej osnowie dziejów rodu ludzkiego. (Ojczyście *ja* stawiać należy przeciw innym narodom; dopiero wtenczas dobrze pojęte będzie.)

Póty o historii. — Z téj samej zasady łatwo wywieść początek i osnowę, rzecz i kształt każdej innej umiejętności. Wszystkie z jednego źródła

dła, jak promienie ze środka ogniska wynikają. Wiedzieć, że jesteśmy, jest to niemal wszystko umieć; w tém treść wszystkiego. Kto zna myśl swoją, zna to wszystko co myślą myśleć, i ogarnąć zdoła. Umiejętność rozwija uczucie naszego bytu; co się także do narodu ściąga. Kiedy przychodzimy do uznania samych siebie, wtenczas zaczynamy się rozszerzać w naszém jestestwie, i niejako samych siebie pomnażać. Nasze *ja*, że tak powiem, rozpromienia się, — rozprasza, — niknie. — Jest jakieś drzewo, wspomniane przez jednego z pisarzy kościelnych, (*) które wtenczas zielenieje, kiedy je okrzesa; drzewo to idzie w zapasy z żelazem, śmiercią żyje, krzewi się wycięciem, *gdy go już nie masz wtenczas rośnie*.

Umiejętność, jeśli w to pilnie wejrzymy, nie co innego jest, tylko ten postęp od naszej indywidualnej jednostki, od *ja* do wszech rzeczy jestestwa. Tym sposobem przez *pojęcie*, czyli przez „*jęcie umem w umie*“ (umiejętnością) to odzyskujemy cośmy stracili przez pierwotne wyosobienie, wydzielenie się z wszech rzeczy związku. Rozjaśnię tę myśl. Kiedy człowiek rzekł do samego siebie „*ja*,“ natenczas z łona się natury, z *idei* wszystko ogarniającej wyłonił; wtenczas natura

(*) Gregorius Naziazen. Orat. 27.

stała się dla niego przedmiotem. Odtąd przestał być *w niej*, w jej łonie, a zaczął być *za jej* okresem; bo ją mógł uważać i na nią patrzeć. Tym kształtem wszystkie się zmieniły stosunki człowieka z przyrodzeniem. Pierwój był w naturze; teraz ją umiejętnością rozumie. Pierwój był w związku i porządku ogólnym; teraz tylko ten związek i porządek *pojmuje*. Owe niegdyś ściśle, mocne powinowactwo z przyrodzeniem, (takie same, jakie spaja płód jeszcze nierozwinięty w łonie macierzyńskim z życiem rodzicielki) odzyskaliliśmy *po części* przez pojęcie, *objęcie*, aktem woli i *umu*. Odbiegłszy od natury, teraz się ku niej zbliżamy po szczeblach *reflexji* i poznawań. Zbliżać się tym sposobem do natury, nie jestże to ją *pojmwować*, *umieć*, czyli przez *um* wyrozumieć?

Taki początek i ten kres *umiejętności* przyrodzenia. Wiele na zgłębieniu tej myśli zależy.

Nauki naturalne w tém tylko oświecić nas mogą: jaki związek zachodzi między nami, a rzeczami pod zmysły nasze podpadającymi? Czyli innemi słowy: „między tém co jest, i tego że jest nie wie“ — a „tém co jest i to wie.“ — Między naturą zewnętrzną i człowiekiem.

Powiedziałem: że sami dla siebie *stajemy się* przedmiotem; a zatem nie od razu przychodzimy do tego punktu, ale powoli, z czasem, w cza-

sie. W miarę tego, jak sami dla siebie *stajemy się* przedmiotem, *staje się* także przedmiotem dla nas zewnętrzna, widoma natura. *Staje się!!* To dzielne, mocne, rzecz najdokładniej malujące, i opisujące wyrażenie naszej filozoficznej polszczyzny, zawiera *metodę* i tryb *postępowania* w umiejętności przyrodzenia. Ponieważ sami dla siebie *stajemy się* przedmiotem wewnętrznej wiedzy, zatem to nasze *ja* musi być *skutkiem* poprzednich wewnętrznych działań. Jest *produktem*, wypadkiem, rezultatem ruchu... Pierwój trzeba poznać siebie, dopiero potem naturę poznać można.

Jak siebie samych odrazu nie poznajemy, tak i tego co się zewnątrz nas dzieje, odrazu poznać nie możemy; tém bardziej, że to co się zewnątrz nas dzieje w ustawnym jest ruchu, że z przyczyn bezprzestannie rodzą się skutki, a każdy skutek następnego skutku jest przyczyną i t. d.

Natura działa bezprzestannie; wszystko co zewnątrz nas postrzegamy *dzieje się*, *staje się*, albo *stało się*, czyli przyszło do skutku przez działanie. Każde jawisko w przyrodzeniu, każde *faktum* jest summą poprzednich *operacji*. A tak, ponieważ rzecz, ośnova, przedmiot umiejętności przyrodzenia *jest w ruchu*, ponieważ natura jest w ruchu (*naturans*), cóż z tego wy-



nika? Oto: że i środek pojmowania, zbliżania się do natury, także *ruchomy* być powinien. Tym środkiem jest umiejętność. A zatem *umiejętność natury ma być ruchoma*.

Wszystko *staje* się, wszystko się w prawej rozwija umiejętność. Ruch jest jej cechą. Na tém zależy metoda nauki. *Rzeczy zewnętrzne dla nas nie exystują*; nie o nich nie wiemy, póki się o tém, że są nie przekonamy. O *exystencyi* przedmiotów zewnętrznych przekonujemy się tylko umiejętnością, czyli *przez jęcie umem w umie*, czyli przez rozumowanie. Rozumowania te odkrywają nam byt rzeczy, pod zmysły nasze podpadających. Myślą sporządzamy sobie świat zewnętrzny. Rozumując budujemy gmach przyrodzenia, i wszystkie ukazujące się w tym gmachu jawiska. Prawdziwy naturalista, to co widzi przed sobą nie bierze, nie uważa tak jako *jest*, ale jako *się stało*; prawdziwy filozof, badacz przyrodzenia jest architektem natury! Z jego umiejętnością zarazem powstaje przedmiot umiejętności. Rzecz wewnętrzna, osnowa *rodzi się* razem z formą nauki. To jest: rodzi się w jego myśli, w poznawaniu, w uznawaniu się jego w naturze. Nie masz dla niego ani *materji*, ani światła, ani elektryczności, ani magnetyzmu. Nie masz dla niego żadnego kształtu, żadnej postaci. Do tego wszystkiego przy-

chodzi przez naukę, przez dyalektykę; przez ciąg stopniowy twierdzeń i nieprzerwane następstwo myśli. Dla takiego badacza przyrodzenia natura nie jest *naturala*, czyli objawiona, ale objawiająca się, jawiąca — *naturans*.

Wszystko się w prawdziwej *staje* umiejętności! Tę prawdę miejmy zawsze we względzie. Los nauk przyrodzonych na tém zależy. Umiejętność, gdzie się wszystko *staje*, wychodzi z najpierwszych początków; zaczyna od punktu *genetycznego*. Badacz przyrodzenia poświęcający się takiej umiejętności staje myślą w pierwotnej epoce natury, i następne jej wieki historycznym *przebiega porządkiem* .. Pismo przyrównywa umiejętność, wiedzę, wiadomość(*) do drzewa. Wielkie w tém rozumienie!! Jako i w inném porównaniu z ziarnem gorczyczném, które, wedle wyrazów *Pana* tak wielką łożę puszcza, że się i ptacy na nią chowają. Rzeczywiście, w rozwijaniu się ziarna, w kielkowaniu nasion, w pędzie drzewa, strzelającego i wysokość do błękitu,

(*) Czyli „*w-ja-domość*”; a zatem co się we mnie, w *ja*, w mojem *ja* stało. To jedno słowo zawiera *genesis* umiejętnego trybu postępowania. Dziękujemy Niebu za taki język! A miejmy we czci i poważaniu naszego spółziemianina Kamińskiego, który szeroką otworzył drogę wyszukiwań pod względem filozoficzności mowy polskiej.

jest coś co *genetyczną*, rodzajową własność prawdziwej wyobraza umiejętności. Jój duch ten sam, ta sama rzecz, ten tryb postępowania. Takim samym rozrasta się kształtem drzewo wiadomości człowieka, tém bardziej narodu, jakby z pnia, który swe korzenie głęboko i szeroko rozpostarł w wiedzy wewnątrz obróconej jestestwa byt, i istotę swoją uznawającego. Rozrasta się, dzieli, rozplata na coraz liczniejsze, na tysiączne konary, gałęzie, których korona buja wysoko w powietrzu, a kwiat i liście pięściwém wiosny rozzielenione tchnieniem, i zarannéj rosy kroplami, i balsamiczną wonią, wszystek ziemiokrag od końca do końca świata oceniają. Człowiek rozkazuje naturze umiejętnością, ale naturze żywéj, ruchoméj, ale żywą, ruchomą umiejętnością!! Tak jest! Niemasz martwéj nauki. Każda jest, każda powinna byđz owocem drzewa wiadomości, drzewa życia. Wszystko się rozplata i splata w naturze, wszystko rozwija i porusza. We własném uznając się jestestwie, uznajemy się także we wszech rzeczy jestestwie i w tém się coraz bardziej rozszerzamy, — rozpraszamy, — nikniemy. Jednostka nasza w ogóle niknie, i nawzajem ogół w sobie mieści. Albowiem w myśli naszéj cała się odbija natura; ta myśl służy jój jako głos słowu, i jest jój *pojęciem*; jest częścią przyrządzenia, jest duchem.

świata. Z téj przyczyny myśl ludzką nazwałem strojnym, dźwięcznym akordem, brzęcącym zgodnością wszystkich razem pierwotnych sylab rozrzuconych w przyrodzeniu (*). — Zebrać te sylaby, żeby całe słowo złożyły i umieć przeczytać to słowo: otóż umiejętność natury!.. *Czy mamy taką umiejętność w polskiej literaturze?* Czy uważaliśmy naukę z tego punktu, i czy ją u nas w tym sposobie ukształcono, rozszerzono?

Pytania takie są to *pozycje*, które się same rozwiązują przez określenie coraz ściślejsze, i stawianie głównego zagadnienia w coraz inném świetle. Wywodzić początek jakiegokolwiek nauki z teoryi *uznania*, w systemie literatury uważanej ze względu *reflexyi* narodu, jest to opisywać sferę téj nauki i zarazem rozwijać jęj treść, ośnowę. Czyli innemi słowy: jednym ustanawiać zawodem, niejako jedném tchnieniem rzecz i kształt umiejętności. Podług tego, co się wyżej rzekło, filozoficzna umiejętność natury z nas samych wyciągniona, i *genetyczna*, *ruchoma* bydz powinna. *Jestże taka polska umiejętność?* Co potem będę się starał roztrząsnąć w części pisma mojego poświęconej *umiejętnościom* w Polsce. Na teraz, dla rozjaśnienia ogólniejszego widoku, pod który podciągnąć przedsięwziąłem literaturę

(*) Rozdział I. na str. 17.

ojczystą, niechaj mi wolno będzie powiedzieć co następuje:

Krytyka literacka w wyrokach swoich omylna i płocha, (jeżeli tylko tym wyrazem nie obrażę jej stronników) przez długi czas w piśmiennictwie polskiem rozwinienie i postęp wyobrażeń estetycznych tamowała, szkodząc rzeczywiście poezyi i sztuce, toż ukracając moc talentu niepotrzebném powściąganiami. Ta krytyka przez inną krytykę śmielszą, zachęcającą i ośmielającą, nieraz zuchwała, uprzatającą wszystkie uboczne względy, ale może silniej popierającą zdanie swoje i widzącą rzeczy z wielu stron, zawojowana, że tak powiem, została; odtąd historyczne tylko miejsce w naszej literaturze zajmuje. Ta jest pierwsza opinia, którąbym rad umocował w przekonaniu czytelnika. Druga zaś jest ta: że przez *empiryzm*, i wyłączną, niemal fanatyczną wiarę, w doświadczenie, którą zaś za naszych czasów najbieglejsi pisarze polscy rozszerzali i pomnażali, *skamieniała* umiejętność w polskiej literaturze. Dotąd tkwi to złe w umysłach naszych; nie masz go ani w języku, ani w usposobieniach, ani w charakterze polskiego narodu, ale jest to skutek zawziętego mniemania, skutek powagi i mistrzostwa ludzi wielce zasłużonych, których atoli dobre chęci i obywatelstwo, wyżej zapewne trzeba cenić, niżeli naukę; aczkolwiek i w tém okazała, rzecz

z innych względów uważając, zajaśniali biegłością, w swoim czasie, podług swego rozumienia. Ten jest ogólny widok, niejako *status quo* co do krytyki estetycznej i co do umiejętności, a szczególnie nauk przyrodzonych w polskiej literaturze. Pytam się tedy: czy nie czas uprzątnąć tę ostatnią przeszkodę? — Co do ogólnego usposobienia w kraju naszym ze względu *umiejętności*, co do przyjętego u nas trybu postępowania w tej mierze, po szkołach i wyższych instytutach naukowych, zdaniem mojem (którego jednak nikomu nie narzucam), jeszcze się to usposobienie nie rozwikłało i nie wzmogło. Z tej niwy jeszcześmy dojrzałego nie zebrali plonu. Czemuż to przypisać? Twarde zdają się być te słowa: mniemam jednak, że *konsekwencya* w rozumowaniu nikogo zastraszać nie powinna. Podług zasad i pojęć moich, które następnie będę się starał jaśniej wyłożyć, żadnej w Polsce nie mamy teraz *ściślej umiejętności*. Wyraz ten nawet na wspak bierzemy, tytułując częstokroć *ściśłą umiejętnością* z obcych języków tłómaczone traktaty, żadnego wewnątrz ujęcia nie mające, ani takiej mocy, któraby się rozchwiać nie mogła. Wielka to rzecz i bardzo wspaniata umiejętność! Niesłuszne téż, szczególnie ze względu nauk przyrodzonych, rozszerzyło się mniemanie: jakoby tylko domowej potrzebie służyć powinny,

i dogadzać społecznemu pożytkowi. Zdaje się nam: że te nauki na to tylko są wymyślone, aby podawały sposobność ciągnięcia jak największych korzyści z tych sił, któremi działa przyrodzenie, z tych własności, któremi tak hojnie wszystkie uposażyła jestestwa. A co do trybu postępowania i *metody* naukowej, rozumienie jest takie: że wszystko na doświadczeniu zależy: że teorye układać trzeba podług postrzeżeń i wiadomości czerpanych z doświadczenia, a gdy się co odmieni w doświadczeniu, gdy nowe wypadki przekształcą postać nauki, natenczas nową stworzyć teoryę. Ale ten widok daleki od szczerzej istoty umiejętności. Cóż, proszę, za skutki wyniknęły u nas z tak opacznego sądu? Oto, żeśmy w tym wielkim zawodzie nic swego, nie nam własnego nie wymyślili, prócz dobrego polskiego wykładu i stylu w rzeczach naukowych; różne bowiem, przygodne wynalazki, urywkowe pomysły, nader chlubne dla szczególnych uczonych, poświęcających się umiejętnościom, głośniejszą chwałę za dni naszych narodowi nie zjednały. Umiejętność polska zkałdinał przeszczepiona, że tak powiem, żywcem wzięta. Rzeczy około siebie cudzym pojmujemy rozumem w ojczyźnie Kopernika i Witeliona. Cudze w laboratoriach naszych powtarzamy doświadczenia. Mechanizm opanował umysły. Układy oddzielnych nauk odmieniają się

przed oczyma naszymi w słowniki technicznych wyrazów, i technicznych manipulacyi; coraz więcej mnoży się szczegółów nie powiązanych myślą ogólną; żadnej prawie teoryi, żadnego systematu żadnej całości organicznej. Rutyna jest w polskiej nauce! Ale to się dłużej żadną miarą ostać nie może. Co *Jan Nepomucen Kamiński* wyrzekł o *filozofii*: że jęj zewnątrz nikt nie nabędzie, toż o każdej trzymamy umiejętności; a tém samém i o naukach przyrodzonych. Obcy nabytek niechaj je wzbogaca, wspomaga, ale na nim swój ję nie zasadzamy iścizny. Wszędzie wprawdzie jednaka natura, i te same prawa podług których działa, tworzy; ale nie wszędzie jednaki sposób pojmowania tego i tłumaczenia. W tém się właściwość każdego niemal oświeconszego wybija narodu. Z tego względu co innego we Francyi, co innego w Niemczech, co innego w Anglii. Tę samę rzecz inaczej pojmuje *Thenard* i *Biot*, inaczej *Berzeliusz*, inaczej *Szubert*, *Oken*, *Steffens*. Z tych odmiennych względów, i widoków, z tego rozmaitego sposobu rozumienia natury i tłumaczenia jęj fenomenów, toż ogólniejszego systematu, wykształca się różno-lícowa postać umiejętności. Z tych ciągłych, własną pracą; własnemi nabytkami i odkryciami doskonalonych poszukiwań, rodzi się *historia nauki*. Ale uczeni, własną głową nie

myślący, żadnego podobno miejsca w niej nie zajmą; chybaby się im dostało najpośledniejsze: tłumaczy, kompilatorów, naśladowców. Cóż stąd za chwała? Naukę trzeba mieć w sobie, w środku, i z nas samych, z jestestwa naszego wszelką wyciągnąć umiejętność. (*) Przełożyć co bądź z obcego języka na polski, jak się u nas pospolicie dzieje, nie jest to zubożać literaturę, uważaną z stanowiska *reflexyi* narodu. Tym sposobem dogadza się tylko chwilowej potrzebie, i mijającym względem, które wszakże bardzo ważne i naglące być mogą; czemu nikt nie przeczy. Nauka jakakolwiek dobrze zrozumiana, pracowicie spolszczona i wyłożona ma swoją wartość, taką jaką mają romanse i powieści historyczne, angielskie, włoskie, lub francuzkie, w polskich przekładach opisujące cudze stroje, zwyczaje i t. d. Nie dla tego to piszę, żebym chciał uwłaczać mężom wielce zasłużonym, tak pod tym względem, jako i z wielu innych w naszym kraju, ale jedynie: że czas już zalecić tę rzecz obmyślanu i gruntowniejszój ziomków

(*) „Mocno ten błdzi“ — pisze potylekroć wspomniany Kamiński (*Haliex. o umnietwie dramatyczném* str. 236.) „ktoby mniemał, że w naród coś zaszcześcić można, ezegoby już w sobie, z natury swojej nie miał jak nie zaszczepisz w płonkę szlachetnego oczka, kiedy go płonka w życie swoje *życiem swoim* nie przyjmie.“

rozwadze, — czas wezwać *filozofii z głębi ducha naszego, i wysnuć ją z istoty naszego jestestwa*, żeby ułodniła, ożywiła myśl, żeby wzbudziła zapal do częstszego pisania, i gruntowniejszych rozumowań w rzeczach dotyczących umiejętności przyrodzonych. Niechaj się umiejętność polska z rodowitych nasion własną rozkrzewi dzielnością, własnem rozzieleni liściem, i zakwicie szeroko, bujnie wielkimi pomysłami. Oto nieba prosić trzeba, za przyłożeniem własnych starań.

Smiałości mojej wybaczy, kto tę rzecz u nas, jaką jest teraz, i dalsze skutki widzi. Albo to wszystko co powiedziałem ze względu literatury, *że jest reflexyą oświeconego narodu* (a za taki, naród polski z chlubą w sercu poczytuje) fałszem jest z istoty wytrawionym; albo, jeżeli mi w tém główném i początkowém założeniu pisma mojego nikt oczywistój nieprawdy nie zada: każda umiejętność tak oryginalna, tak pierwotworna bydź musi, jak *poezya* i poetyckie natchnienie. O to się wszystko rozbija; podług téj silnie umocowanej zasady na prawdzie ducha, i istoty bytu naszego, cenić potrzeba użyteczność umiejętności, i czynione starania ludzi uczonych ku ich wykształceniu. Umiejętność nie jest rzeczą pamięci, ale największą jest sprawą i misterstwem ducha. Najpiękniejsze odkrycia winni-

śmy naukowemu entuzjizmowi, i ledwo nie poetyckiej *inspiracji*, — téj najwyższej filozofii geniuszu!

Z drugiej strony trudno nie przyznać: żeby dowcipne, zręczne przystósowanie nauk obcém, na cudzej niwie doskonalonych staraniem, do polskiego przemysłu, który rząd tak usilnie wspiera, nie miało sprawiać ważnych korzyści dla kraju. Nic nadto pewniejszego. Ale także przynąć potrzeba, przez samą sumienność *loiczną* i *dyalektyczną*, (niechaj mi wolno będzie wyrazić się tém może dziwném, ale prawdziwém wysłowieniem) jakiej ściśle przestrzegać powinien, kto z położonych zasad rozumuje: że wyłączny ów wzgląd, który dotychczas rozciągaliśmy (mówię tu o ogóle) na samą nieledwie praktyczną, gospodarską użyteczność nauk przyrodzonych, ubliża ich *godności*. Daleko zacniejsza istota prawdziwej nauki, jako i prawdziwej piękności w sztuce. Przeznaczenie, cel zawód rzetelnych umiejętności daleko wznioślejsze, i wspólniejsze. Uważajmy n. p. *medycynę*. Jak wielka użyteczność téj nauki! A jednak praktyka lekarska, choć lekarz niesie ulgę zwałonemu zdrowiu bliźnich swoich, nie jest, jak sędzę, ostatecznym kresem jego umiejętności. Główném jój zadaniem człowiek; a człowiek jest zebranie w treść, i niejako *summa* wszystkiego w naturze. Słusznie

przeto *medycynę* położyćby można na czele innych nauk przyrodzonych. Pojąć *życie* i *śmierć*, a raczej: rozstrzygnąć zagadkę życia, i daleko zawilszą, mniej dla nas dostępną zagadkę *skonu*, otóż powołanie i główny zawód filozoficznego lekarza. Z tych założeń wywija się pasmo jego wielkiej nauki. Historyczna znajomość rozlicznych niemocy i środków leczenia, botanika, anatomia i t. d. stanowią tylko składowe części, i niejako są jej materiałami. — Weźniemy inny przykład. Matematyka, kalkuł i głębokie rachunki, wprowadzone do umiejętności przyrodzonych, czyż nie zdają się naksztalt *czasowania* i *spadkowania* w grammatyce? Albo *generalbassu* w teorii kompozycji muzycznej? Przypuśćmy, że ktoś nauczwszy się wszystkich *konjugacyi* i *deklinacyi* obcej lub umarłej mowy, zechce, nie więcej nie umiając, czytać natychmiast dzieła, poemata w tym języku. I jednego słowa nie zrozumie, nie dopiero okresów rozciąglejszych, zawilszych toków, sztucznie przerzucanych wyrazów i t. d. A przecie niejednemu zdawało się matematykowi, że rozumiał styl i wysoką poezją natury! Jest duch w mowie ludzkiej; jest duch w muzyce, jest w przyrodzeniu. A tylko duchem do ducha przeniknąć można, — tylko *umiejętnością ducha*, filozofią! — Inny jeszcze przykład wspiera zdanie moje. Nie dla tego zapewne uczymy się

astronomii, żebyśmy po morzu bezpiecznie pływali (lubo ta nauka bardzo potrzebna żeglarzowi); ale żebyśmy poznawszy porządek tych gwiazd na niebie, ich biegi i obroty, toż układ ledwie nie całego świata, wznieśli się ku temu, który to wszystko z niczego stworzył! Harmonia niebieskich sfer, — duch *astralny*, — gwiazdziste *ideje*: taki może ostatni kres *astronomii*, najspanialszej ze wszystkich umiejętności. Powiedziano w nauce człowieka, że jest *wielkie nic*. Lecz za spojrzeniem w niebo, i uważając to czego nie wiemy, sprawiedliwiej rzecby można, że *to bardzo małe i małe nic*. Gdy to wszystko razem ściślej roztrząśniemy, wziąwszy pod rozwagę te światy światów, i te drogi mleczne, i te ogromy ogromów, pytam się: czyliż i po takiej próbie naszych zmysłów i rozumu, trwać będziemy w zuchwałém uprzedzeniu, jakoby człowiek zdołał odgadnąć tajemnicę natury na drodze tych postrzeżeń ulotnych, tych krótkich doświadczeń, z których powstała jego wczorajsza i onegdajsza nauka, które codziennie prawie jęj postać odmieniają, a które on zapewne w podniosłości swego serca nazwał *umiejętnością przyrodzenia*? Obserwacye z czterech tysięcy lat zebrane w jedną całość, przekonały zaledwie astronomów, że ten ich punkt nieruchomy, to słońce *Kopernika i Herszla*, razem z całym systemem słonecznym,

razem ze wszystkimi gwiazdami, które oni stalemi zowią, poruszają się nieznanym nam obiegiem, i dążą w nieznanne strony!! A zatem są systemata systematów, kołowroty kołowrotów! Są zapewne inne słońca, które może po milionie lat następnych postrzeżeń i rachunków nazwiemy nieruchomemi, a których *nieruchomość* w okresie późniejszych jeszcze wieków, znowu pokaże się wątpliwa. Kiedyż nakoniec doprowadzi nas ta astronomia do punktu rzeczywiście nieruchomego, do prawdziwego słońca wszystkich razem światów w powszechnym systemie natury? — Czyż z tego jednego przykładu jawnie, jasnie się nie pokazuje, że droga doświadczeń i *obserwacji* jest nieskończona? I że tym sposobem nigdy nie osiągniemy zamierzonego celu? Co skoro jest rzeczą niewątpliwą, któż weźmie za złe niektórym naturalistom, że odrzuciwszy te pozory, te świadectwa i omamienie zmysłów, w duchu swoim szukają innego *środka* pojęcia przyrodzenia? A nawet, że ku temu celowi wyzywają, i niejako powabiają na harc twórczy, wielki, ale najburzliwszy *element* z skarbnicy naszego roztrzęsionego umysłu, tę *fantazję*, co jak prędkie błysnienie świeci przez chwilę, ale także za prędkim ustaniem swoim, zadawszy niemoc oczom, czasem w gęstsza jeszcze ćmę nas pogrąża? — Największa moc rozumu w dzieleniu;

przeciwnie *fantazyja* części rozdzielne spaja w całość, i wszystko *totalizuje*.

Nie pożytek materyalny, jaki z nauk odnosimy, ale samą prawdę, bez żadnego innego względu, uważać należy jako ostateczny kres, do którego wszystkie poznawania i wiadomości nasze zmierzają. *Prawdą* zaś jest zgodność wyobrażeń naszych z rzeczami, które sobie wyobrażamy; zgodność i tosamność *pojęć* z tem co *pojmujemy*, — zgodność *objektu* z *subiektem*. Jeżeli inna rzecz zewnętrzna, a inne wewnętrzne wyobrażenie téj rzeczy, natenczas *wyobrażenie* jest omyłne, fałszywe. Cóż ztąd wypada? Oto, że kształt, czyli forma zewnętrzna nauki odpowiadać powinna jej treści wewnętrznej, jej podstawie. Gdzie inna jest forma, czyli *metoda* nauki, a inna własność przedmiotu téj nauki; jeżeli np. rzecz nauki jest *ruchoma*, *żywa*, a *metoda* nieruchoma, martwa, jeżeli jedno drugiemu nie odpowiada, i jedno z drugim nie rymuje, wtenczas nauka głosi fałsz, same brednie, nie przypadające do miary z rzeczą. Dawni i dzisiejsi retorowie utrzymują: że styl w pisaniu stósować trzeba dó *materyi*. Tak samo *metodę* nauki, jej tryb postępowania stósować trzeba do własności przedmiotu. Tu zachodzi tosamność, *analogia*. — Jaki *process* w naturze, taki i w umiejętności, której natura jest przedmiotem. Zważmy tedy: w na-

turze jest postęp ciągły i nie przerwany od *widomego* do *niewidomego*, — od materji do pojęcia. A zatem, ten sam postęp byź musi w rzeczywiściej umiejętności przyrodzenia. Co skoro nie podpada zaprzeczeniu, pytam się: co za pewność z świadectwa zmysłów w sferze *niewidomego*, w krajnie ducha, będącego częścią, i ostatnią mocą, i najwyższą dzielnością natury. Wszystko zmierza w naturze i ku temu się odnosi co *żadną nie jest rzeczą*, a tém samém przedmiotem rozbioru, i *analizy* byź nie może. A więc: na cóż się przyda *analiza*, gdzie się, że tak powiem, niczego palcem dotknąć nie możemy? Wniosek: godzisz się doświadczenie uważać za jedyne źródło prawdy w umiejętności przyrodzonej, skoro jój ostateczne zagadnienia, ostateczne wypadki, przez doświadczenie ani roztrząsnione, ani pojęte, ani *sprawdzone* byź mogą? Jakto? Miałzeby byź inny tryb postępowania w początkach nauki, a inny ku końcowi? Mielizbyśmy zaczynać od doświadczeń w rzeczach pod zmysły podpadających, a kończyć na *urojeniu* w sferze ducha?... (Niechaj pierwój odpowie na te zapytania, ktokolwiek z autorem niniejszego pisma, w tym względzie przedsięwzięmie polemiczną rozprawę.)

Temi oto czasy, kiedy przemysł, nie tylko dzisiejszą społeczność europejską, ale naukę

i wszystkie najwyższe względy opanował, pierwsi filozofowie niemieccy, wznowieniem za dni naszych myśli starożytnéj *ulożenia powszechnego systematu natury*, przywrócili moralną godność umiejętnościom przyrodzenia, jakiej najwięksi, najbieglejsi empirycy zeszłego wieku we Francyi i w Anglii, nie czuli, i nie poznawali. Pierwsi Niemcy postrzegli: że natura nie dla samych tylko farbiarzów i garbarzów jest stworzona, ale także dla filozofów. Nowy *organ* pojmowania natury ukształcił się w Niemczech. Tam rozszerzyło się mniemanie: że *umiejętność przyrodzenia dwojakich sług potrzebuje*, jednych coby z niej ciągnęli korzyść praktyczną, ekonomiczną, czyli tak zwanych *empiryków*; a drugich coby ją staraniem swoim, bez żadnego innego względu, dla saméj prawdy, dla filozofii doskonalili. — Śmiało rzec można: zły los wszędzie spotyka umiejętności przyrodzone, gdzie się nimi wyłącznie trudnią *sami* praktycy i matematycy, ci prawdziwi wspomóżyciele i opatrzyciele nauk, którzy jednak rzadko kiedy przenikają do szczeréj ich istoty; ponieważ im samym najczęściej nie dostaje ducha filozoficznego. Gardzą metafizyką i wyższą spekulacją w naukach przyrodzonych, to wszystko czego odświeżeniem sprawdzić nie mogą poczytując za romanse i poetyckie zmyślenia. Tym sposobem

intelektualna, idealna strona natury zaniedbana, i z granic *pojęcia ludzkiego* wyrzucona została. Tym sposobem zysk stał się miarą wartości wszelkich nowych odkryć, mniemań i wynalazków. Uważając tę opinię, to tylko zarzucićby można tym co ją rozszerzyli: że czynią nad obowiązek i powinność swoją, że się wdają w rzeczy, które do nich nie należą; наконец, że tego co mówią i piszą sami nie rozumieją. Empiryk trwający w tém mniemaniu, że *prawda idzie tylko z doświadczenia*, niechaj gorliwie odprawuje swe roboty w pracowni, niechaj czyni postrzeżenia jakie chce, ale z swojego niechaj nie wychodzi zakresu, i przed innemi nie osławia wszelkiéj, która się z jego zasadami nie zgadza, filozoficzności. Zawodem jego jest natura objawiona (*naturata*); a zakresem filozofującego naturalisty jest natura objawiająca się (*naturans*). Tamten uważa ją jako *faktum*, jako skutek, a ten jako siłę działającą; pierwszy w stanie *spoczynku* i bezwładności, a drugi w stanie ruchu. Pierwszego nauka nie jest nauką; jest tylko zbiorem encyklopedycznym bardzo potrzebnych nauce, óżnych, szczegółowych wiadomości; ostatniego umiejętność jest *ruchoma*, żywa i t. d. Obadwa użyteczni, jednéj sprawie służą; wszakże przydać należy, że nawet empiryzm, *laboratorya*, i doświadczenie z użyczenia ducha filozoficznego

(jak się to w Niemczech dzieje), pod wpływem teorii piękniejsze wydają owoce; co pokazuje historia nauk przyrodzonych. Nawet dowolne *hipotezy* i *manipulacje* empiryków godniejsze uważania, jeżeli z tego źródła początek bierą. — Nareszcie i to także położyć godzi się: że w systemie oryginalnej literatury *dział rzeczywistych umiejętności* z działem innych pojęć n. p. poetyckim, historycznym, artystowskim, filozoficznym, toż z życiem społecznem, jedynie tylko przez filozofią natury, za pośrednictwem *tęj ruchomej, żywej* umiejętności w ściślejsze powinowactwo, i związek organiczny wejść może. Gdzie (jak n. p. w Polsce) sami empirycy uprawiają nauki przyrodzone, tam one żadnego wpływu nie wywierają na inne części literatury. Co innego w Niemczech! Tu artyści są naturalistami, jak n. p. *Gele* i *Nowalis*, a filozofowie natury najznamienitszymi historykami i estetykami, jak n. p. *Gerres* i *Steffens*. — Namawiać do pewnej *uniwersalności* pojęć i ducha, nie jest to zapewne obcemi przykładami zawracać głowy rozsądnym ludziom w Polsce.

Odruciwszy mnogie uprzedzenia we względzie estetycznym, inaczej teraz trzymamy o wartości tworców sztuki. Inném okiem, niżeli przed niewielą laty, patrzymy na usiłowania krajowych artystów. Opinią większości uległa w tęg mierze

wielkiej zmianie, jaką czas zrządził, jakiej wreszcie społeczna po nas Europa wyciągała. Ale nie dosyć na tém. Smiałym krokiem dalej jeszcze winniśmy postąpić: od *gustu i imaginacyi* do myśli i rozumowań umiejętnych, od piękności w poezyi i sztuce, do prawdy w tej bogatej, spaniałej naturze, która nas otacza. *Nie pojmujmy jej cudzém rozumieniem!* Tego nigdy dostatecznie wypowiedzieć nie mogę: w umiejętności polskiej jest *umarła natura* (naturata); a taż sama umiejętność *skamieniała*, martwa. Téj nauki nie potępiam, owszem przyznaję, że jest nieodbitnie potrzebna; ale utrzymuję: że dla nas potrzeba także żywej *życiem naszym* umiejętności, takiej, jaką nas obdarzyć może filozofia naszego jestestwa, filozofia języka polskiego, wreszcie, że tak powiem, *temperamentu i konstytucyi* narodowego *geniuszu*, narodowego ducha. Pojmujmy naturę, jako się objawia (*naturam-naturantem*), jako działa! A tego nigdy bez rodowitej filozofii nie dokażemy. Jak przed nie wielą laty przesady estetyczne stawiały nieprzełamaną przeszkodę rozwijaniu się ojczystych talentów w literaturze poetyckiej, tak samo: na polu nauk i umiejętności, szkoła materialistów i empiryków, nie rozświecona pochodnią krytyki, obwołująca wyłączność i doświadczenie za jedyne źródło prawdy, dotychczas ogranicza w Polsce

władzę myśli, i utrzymuje nasz rozum teoretyczny w pewnej opisaney mierze, niby w więzieniu, albo okowach. Wyrwawszy się z *niemowlęctwu estetycznego*, czyż nazawsze pozostać mamy w *niemowlęctwie filozoficzném*?

Nauka polska musi wyjść z tego obwinienia; na tém zależy realny postęp naszej literatury. Albowiem wiek nasz jest czasem *emancypacyi* we wszelkim względzie.

Te są postrzeżenia co do *umiejętności polskiej*. Czyniłem je samą rzecz mając na uwadze, a nikogo z piszących u nas w materji naukowej. —

Z kolei mówić teraz będę o piśmienném *sektarstwie* w Polsce. — Rzecz ta należy do ogólnego widoku dzisiejszej literatury naszej, która nie tylko jest dziełach uczonych, w utworach artystów, ale także w *opinii*, i *dyspozycyi* powszechnej. Powinienem jednak uprzedzić czytelnika, że odstąpiłem w tej mierze od zdania pospolitego: jakoby różnolice stronnictwa piśmienne, spory i rozterki literackie miały co szkodzić oświeceniu. Od tego niektórzy wielkim się krzyżem zegnają. (*) Ja zaś przeciwnie sędzę,

(*) Właśnie w tej chwili, ogłoszono prospekt na Rozmaitości Kaliskie, których redaktor oświadcza, że ani o sporach romantyków, ani (broń Boże) o *Filozofii* pisać nie będzie.

poczytując wszelkie niesnaski za zbawienne i pożyteczne.

Życie w każdym wyraża się rozniesieniem mniemań. Pierwszych tego śladu nie trzeba zacierać w literaturze; byłoby to źle zrozumianą miłością zgody i pokoju. Dualizm głównym wszyskiego warunkiem na tym świecie. Kiedy przed kilką laty nowe twory ojczystego dowcipu, i nowe wyobrażenia teoretyczne poruszyły u nas dosyć zawiłą materią sprzeczek między stronnikami dwóch systematów, tak zwanego *romantycznego* i *klassycznego*, nikt naówczas nie zgadywał, co było istotną przyczyną tego nieporozumienia, i jakie złąd korzyści urosną dla literatury polskiej? Przeciwnie mniemano, jakoby ta dysputa opanowawszy niedoświadczone umysły, sprowadzić je miała z drogi wiodącej do prawdziwego światła, gustu i piękności. Przyszło nawet do tego, że ludzie w naukach okazale biegli, gorliwi o ich wzrost i powodzenie, młodzież szkolną odwieść chcieli od wszelkiego uczestnictwa w niesnaskach, które oświecając publiczność Francyi i Niemiec tak silnie zajmowały. Tymczasem w skutku się to oczywiście pokazuje: jak niepotrzebna była ich obawa. Teraz bowiem nie w tém wątpić nie mamy, że ów niepokój bardzo wiele dobrego zrządził w krajowém piśmiennictwie: ponieważ obudził ze snu

lenistwa talenta i dowcipy, wychylił z pod cienia rozmaite widoki przedmiotów estetycznych, i wyrwał na jaśnią nowsze, prawdziwsze opinie w tym względzie. Nareszcie, otarłszy z starych pleśni mnogie uprzedzenia, zniewolił nas do zabrania ściślejszej znajomości z pismami znakomych literatów, którzy tę samą rzecz w obcych językach roztrząsali.

Gdzie niemasz żadnego *przeciwieństwa*, tam niemasz *ruchu*. Wszystko w czémś inném widzie przeciwieństwo. A gra tych przeciwieństw sprawuje najpiękniejszy fenomen, — *fenomen życia!* Niechaj kto pojmuje, jeżeli zechce, taką siłę, któraby się w przestrzeni bez żadnego oporu, niewstrzymaną rozwijała mocą! Każdą siłę przeciwną powściąga siła; a tém samém czyni ją jeszcze dzielniejszą. Nic się nie ściągnie, bez odpowiedniego rozciągnięcia się téj samej chwili; ani się nic nie zwinie, bez rozwinienia, — i przeciwnie. Cobądź wywiąże się, rozwikła z istoty rzeczy, tak że ludzie głośno o tém prawią, piszą, toż natychmiast przeciwną w czém innem moc, własność wzbudzi, potraci, obrazi. Natenczas jedno walczy i wojuje z drugim, póki węższe, słabsze mocniejszemu nie ulegnie. Lecz tylko przez krótką chwilę, która jak błysk przeminie, trwa ten stan przecięcia się i przeniknienia dwóch sił przeciwnych; albowiem natura nie

cierpi nie statecznego, nie *nieruchomego*. W tym samym momencie nowy odskok, nowy wyskok, i nowe siły z pozornej zgody i *tosamości* na przeciwne strony, w przeciwnym kierunku, roz-niosą się, rozstrzelą.

To samo dzieje się w widomej naturze, jak pokazuje chemia i fizyka. Wszędzie ruch jest znakiem życia! Samo przyrodzenie wzbudza je siłami rozrywającemi, odpychającemi. Światło, ten atom niebieskich przestworów, rozbity na płomienie, czyż nie wpływa na związki chemiczne, i działań chemicznych nie wywiera? A roz-szczepiony promień, czyż oddzielnych nie maluje kolorów? — Ciepło, ten inny atom tak nieodzownie potrzebny do życia i wzrostu roślin, zwierząt, czyliż nie jest głównym działaczem wszystkich w naturze rozkładów, i ową siłą, która by ten świat cały roztrzęsła, wzburzyła mocą rozszerzalności swojej, mocą odpychania się na wszystkie strony, gdyby jej inne siły skupiające, i przyciągające, równie dzielnego nie stawiały oporu? — Toż samo postrzegamy w naturze niewidomej, — w myśli ludzkiej, w naszém sercu, w naszej duszy. Historia na tym zasadza się *dualizmie*; wszystkie stosunki społeczne są grą tych przeciwieństw. Z téj to przyczyny nikt swój woli nie dogodzi, bez odpowiedniego czy-jejś innéj woli oporu. Gdzie jakkolwiek usil-

ność zmierza do celu w kierunku prostym, oznaczonym, tam niepochybnie przeciwnie zbijają i potłumia staranie. Ztąd ruch, ztąd postęp, ztąd wyścig we wszystkich sprawach. Śmiech w rozpacz jakże okropny! A smutek, kiedy się inni weselą dotkliwszy niżeli w powszechném rozżaleniu. Nadzieję bojaźń umacnia, krzepi; chęć do pracy wielkie podniecają trudności. Przez działanie i oddziaływanie, w *akcy* i *reakcy* wszystkie się wykształcają mniemania, wszystkie stronnictwa, wszystkie talenta.

Tę *dynamikę* widzę także w dzisiejszój literaturze polskiej, — w naszém estetyczném sektarstwie. Dwie się opinie starły. W jednym z następnych rozdziałów pokażę: że u nas niemasz ani *romantyków*, ani *klassyków*; że te wyrazy brać potrzeba, nie w tém rozumieniu, jakie się tu rozszerzyło, lecz wcale inném, a przynajmniej bardzo różném od tego. Pod temi tylko, jakby zwierzchnemi znakami rozprawialiśmy z sobą; ale w gruncie rzeczy szło o co innego, może i nie przypadającego do miary z tą *materyą*. Cóżkolwiekby to dotąd trwające nieporozumienie jest niejako środkowym punktem i duszą piśmiennego sektarstwa w Polsce. Rzecz dziwna i godna uważania! Od czasów kłótni *Orzechowskiego* z *Stankarem* i *Modrzewskim*, żaden rozstórk piśmienny nie był u nas tak głośny.

Żaden przedmiot literacki tyle piór nie zaprzęta-
 nał. Żadna waśń nie zrządziła takich skutków.
 Pod tym względem staliśmy się częścią europej-
 skięj publiczności dziewiętnastego wieku. To sa-
 mo bowiem odstępstwo od prawodawstwa apo-
 linowego, toż odstrychnienie się od poetyckiej
 wiary, jakie zburzyło spokojność na świecie lite-
 rackim postronnych narodów, i u nas także od
 lat kilkunastu szerzy się, nie za szkolnemi łą-
 wami, ale co daleko więcej znaczy w dobra-
 ném światlejszych towarzystwie, i całą niemal
 Polskę od jednego końca do drugiego przebiega.
 W salonach, gdzie małego przedtem popisowały
 się ulotne tylko dowcipy ulotniejszymi jeszcze
 błyskotkami, panuje teraz gust daleko prawdzi-
 wszy, nie samój tylko ogłady i zewnętrznej
 okraszy szukający; w mniemaniu powszechném
 nawet, gruntuje się i znawstwo i rozsądek este-
 tyczny. Taką zaś ma dziwną siłę, taką moc
 nieukróconą owa *dysputa*, że i ci, co żadnego
 wyobrażenia nie mają ani o *klassyczności*, ani
 o poezji romantycznój, chcieliby jednak należyć,
 i w samój rzeczy należą do téj, lub tamtéj ko-
 teryi literackiej. Więcej powiem: nietylko należą
 przyjęciem nazwiska jednego z dwóch stronnictw,
 ale powielekroć trafia się, że piszą, choć tego,
 o czem piszą, często sami dobrze nie rozumieją.
 Piszą źle, nie obeznawszy się pierwej z rzeczą.

To prawda. Ale jednak piszą, rozprawiają, myślą. Czyli innémi słowy: uczą się i myśleć, i pisać, i rozprawiać. Częstoż się zdarza się atoli pod tym względem czytać bardzo dobrze pomyślane i wyłożone artykuły w naszych dziennikach peryodycznych. Rzecz ta jest dosyć ogólna, oderwana, metafizyczna, przynajmniej kiedy ją przyłożemy do miary zwyczajnego pojęcia. Przeto, po odciągnięciu nazwisk i przedmiotu, możnaby uważać ów spór romantyków z klasykami jako pole ćwiczenia się w rozumowaniu, jako *gimnastykę* umyslową: a może jako przynętę i wab do wyższych rozpraw. Powtarzam raz jeszcze: literatura nie w samych tylko piśmiennych miejscach się tworzy, ale jest także w opinii publicznej. Stosunek téj do tamtéj obojętny być nie może dla prawdziwego krytyka (*) Nie sami tyl-

(*) Z niezdolności oceniania tego stosunku dziwne się u nas wyroiły mniemania o *sektarstwie estetyczném*. Są cooby to przytrzeć chcieli, i jedném zakończyć rozstrzygnięciem. Inni wpadli na myśl pewnej *medycyi*. Zjawił się nawet w Warszawie rymowany projekt do zgody. Rozjemca z politowaniem mówi o jedném i drugim stronnictwie, gładkim wysmiewając wierszem i klasyków i romantyków. — U innych literatów w stolicy różność zdań jak w téj, tak i w każdej innéj mierze za nie nie waży. Pomiatając wszystkimi polemicznemi *dyskusjami*, znać nie pojmują jeszcze natury opozycji, ruchu, i zasady dynamicznój w literaturze. I tak n. p.

ko autorowie, ale i czytelnicy pomagają piśmien-
nictwu. Gdyby podobne nieporozumienia, jak

Pamiętnik warszawski umiejętności czystych oświadcza (Tom III. zeszyt 1. str. 55.): — „Tyle już od pewnego czasu *nad (!)* romantycznością i klassycznością pisano, tyle o zasadach jednej i drugiej prowadzono zaciętych sprzeczek, że *najżarliwsi miłośnicy* poezyi znużeni próżnem piór szermierstwem, zarzuceni niesfornych zdań tłumem, *przy największej zdolności swój do ocenienia i czucia tworów poetycznych, (?)* nie wiedzą co przez klassyczność i romantyczność rozumieć mają, i jakie są tych dwóch rodzajów poezyi cechy.“ Że „najżarliwsi miłośnicy poezyi“ nie wiedzą co mają rozumieć przez klassyczność „*przy największej zdolności swojej* (jaką zapewne P. redaktor tego działu *Pamiętnika* umiejętności *czystych* mieć musi) *do ocenienia i czucia tworów poetycznych*, niema się czemu dziwić; bo ci *żarliwi miłośnicy* bawić się chcą poezją, a nie rozumować w rzeczach teoretycznych; ale że *Pamiętnik* umiejętności *czystych*, nie wie dotąd jeszcze co ma rozumieć przez klassyczność i romantyczność, temu słusznie dziwić się można. *Pamiętnik* umiejętności *czystych* nie wie: jakie są tych dwóch rodzajów poezyi istotne cechy? Ale, pytam się, któż powiedział *Pamiętnikowi*, że klassyczność i romantyczność są *rodzajami* poezyi? To nie są szczególne rodzaje poezyi. Owe wyrazy służą ku oznaczeniu dwóch wielkich systematów we względzie poetyckim i artystowskim, różniących się *generycznie* tak co do wewnętrznej istoty, jako i zewnętrznego kształtu; dwóch przeciwnych sobie systematów, z których jedno obejmuje starożytną cywilizacją grecką, a drugie Europę chrze-

w systemie teraźniejszej literatury poetyckiej zakłóca u nas spokojność we względzie filozofii

ściańską. — „Przyczyną tego nierozumienia“ — mówi dalej *Pamiętnik umiejętności*, — i niewyrozumiałości obustronnej są same wyrazy *klassyczność* i *romantyczność*, które dają się brać w odmienném znaczeniu, i jako przypuszczające rozmaitość wykładu, nie mogą do jednostajnego doprowadzić wniosku. Z tego braku do kładnego określenia pochodzi ta *obszerność* rozumowań, a bez pewnego końca i rezultatu.“ — *Filozoficzny pamiętnik umiejętności czystych* ma, jak widać, niezmysłoną odrazę ku *obszernym* rozumowaniom. Jest to nowy *horror!* — *horror ratiocinationis*. Rzecz nudna i nieznośna długo rozumować! Trudno jednak przystać na zdanie *Pamiętnika*, żeby te rozumowania były bez pewnego celu i końca. Ten *koniec* i ten cel mieszczą się w dziełach sławnych krytyków, począwszy od *Lessinga* do *Szleglów*. Tylko że te ich pisma tak przeraźliwie są *obszerne*, i tak nielitościwie długie zamykają rozumowania!! Tego się *Pamiętnik umiejętności czystych* najwięcej obawia. To sęk najtwardszy. Ale *Winkelmann* wiedział przecież co ma rozumieć przez *klassyczność*, a *W. Szlegel* dowodnie, i na oko pokazuje co przez *romantyczność* rozumieć trzeba. Gdyby był *Pamiętnik* zasięgnął rady tych pisarzy, nie byłby zapewne kładł skargi na brak ścisłego określenia. — Lecz we wspomnionym artykule *Pamiętnika*, jako i we wszystkich innych filozoficznych i estetycznych (a które jednak filozoficznymi i estetycznymi nie są), tyle jest szczególnych zdań, i zabawnych wysłowień, że dla samej osobliwości wstrzymać nad nimi muszę uwagę czytelnika. I tak np.

i umiejętności, tak głuchą, i tak wygodną ospałości lenistwa, natenczas może otrząśniemy się

twierdzi dalej *Pamiętnik*: — „Francya dzisiejsza *nie może nie poglądać z góry na romantyczność, jako na plód nie dawny, i pośród gminu wyległy.*“ — Cóż znaczą wyrazy: Francya *nie może nie poglądać z góry?* Na kogo? Na najznamienitszych pisarzy swoich! Na P. *Stael*, na *Szatobrianda*, na *Hugona*, na redaktorów najlepszych dzienników literackich, jakimi są *Revue de Paris*, i t. d. Na takich krytyków jakimi są *Charles i St. Boeuf?* Francya nie może *nie poglądać z góry* na tyle rzadkich talentów, które zdobią, wzbogacają jej dzisiejszą literaturę poetycką, krytyczną i historyczną? Na tylu pisarzy, którzy wszyscy odstąpili od mniemane go *klassycyzmu?* Nie może *nie poglądać z góry* na poezję ojczystych wspomnień, na poezję oryginalną, którą *Pamiętnik* nazywa *plodem gminu?* Trzebaż przypominać *Pamiętnikowi* (który z samego nazwiska swego, wiele *pamiętać* powinien) że najpiękniejszą poezją jest poezja ludu, a nawet poezja gminnych narodowych podań? Nigdy poezja *arystokratyczna* nie była. — Dalej utrzymuje *Pamiętnik umiejętności czystych*: „*że podobanie się jest stanowisko, z którego w poezyi i sztukach o dobroci tworców się sądzi*“ — Od *Baumgartena*, pierwszego założyciela filozoficznej teorii smaku, do *Szellinga i Hegla*, nikt prócz *Pamiętnika umiejętności czystych* takiej maxymy za zasadę Estetyki i główną cechę doskonałości dzieł sztuki nie położył. Co większa: tenże *Pamiętnik* utrzymuje, „*że każdy skapiec jest poetą, kiedy z niepojętą i skrytą radością waży i chowa do szkatuły złoto.*“ — Rzecz najniepoetyczniejsza w świecie!

z niemocy dyalektycznej, jak poczęści zaczynamy wychodzić z krytycznego *obskurantyzmu*; wów-

Pamiętnik byłby może miał słuszość w tym względzie, gdyby był powiedział: że taki skąpiec jest *przedmiotem* poetyckim np. dla malarza flamandzkiego, wyrażającego chciwość i ukontentowanie w rysach twarzy sknery, lichwiarza i t. d., albo dla poety kreślącego taki charakter i taką scenę w komedyi, lub powieści historycznej. Lecz nie idzie zatém, żeby sam skąpiec miał być poetą. Na to się nikt nie zgodzi. *Pamiętnik umiejętności* powiada, „że i dworak jest poetą, kiedy nadzieje i widoki swoje buduje na uśmiechu swego potentata.“ Ale to jest nadskakiwanie i służalstwo nie poezya. *Pamiętnik* nie odmawia tytułu poety nikomu. Daje go próżnym i ambitnym (str. 89.) odważnym i lęklwym, ubogim i bogatym, młodym i starym; słowem, tym wszystkim co się rodzą i umierają. *Pamiętnik* częstuje czytelników swoich wyjątkami o smaku z dzieł *Hugona Blaira*, a delikatność i poprawność kładzie za najwyższe prawidło sztuki (Tom III. zeszyt 44. str. 42.). *Pamiętnik* przyjacielskiem zaleca piórem listy *Władysława do Celestyny*, gdzie cała estetyka mieści się w kojcu między gęsiami i kurami. Nareszcie *Pamiętnik* Izorę P. Odyńca uważa za twór geniuszu!!! Słowem *Pamiętnik umiejętności czyistych* nienajezystsze miewa zdania w rzeczach estetycznych.

Jednym odprawię zawodem inne jeszcze uprzedzenia pod względem *sektarstwa*, jakie się samopas w oddzielnych broszurach walęsają. P. *Oboleński* Rossyanin przełożył r. 1827. z greckiego na język rosyjski dzieło Platona „o Prawach.“ (*Platonowy rozhowory o zakonach.*

czas *spekulacyjne*, metafizyczne, *transcendentalne* teorye, jakie daleka przezorność naszych

Perewod Obolenskaho z greckeskaho. Moskwa 1827.)

Okoliczność ta dała powód P. Józefowi Jeżowskiemu do ogłoszenia w Moskwie roku następnego książeczki polskiej p. t. „O postępie badań filologicznych we względzie pism Platona.“ Tę książeczkę poprzedza przedmowa. w której P. Jeżowski tak pisze: — „niema przypadku, w którymby pisarz chcący *pożytecznie i roztropnie na jaw wystąpić mógł nie dosyć pamiętać*: co? kiedy? dla kogo? na co? i w jakim języku pisze?“ — Rzecz godna uważania, że P. Jeżowski zawziąwszy tak doskonałe wyobrażenie o obowiązkach pisarza, nie starał się im zadosyć uczynić i przykładem swoim stwierdzić wskazanego prawidła. Z wielkiej bowiem chęci *wystąpienia pożytecznie i roztropnie na jaw*, zapomniał najpierw co pisze, kiedy pisze i dla kogo? Zapomniał okazać publiczności polskiej, że tłumacz rossyjski chybił w wyborze dzieła omylnie przypisanego Platonowi, a zamiast tego bije na miłośników sztuki, zaprzeczając im prawa do sądu o rzeczach estetycznych; „albowiem“ — są słowa P. Jeżowskiego, — „nie mają oni *stałej, przyznanej i urzędzonej* posiadłości w państwie naukowém!“ — Cóż znaczy stała, przyznana i urzędzona posiadłość w państwie naukowém? — Czy katedra w akademii? Czy patent nauczycielski? Czy toga? Więc podług P. Jeżowskiego, kto nie ma katedry, patentu i togi, ten ani myśleć, ani pisać nie może! — Kto tak sądzi, nie *występuje na jaw pożytecznie i roztropnie*. Powiada dalej P. Jeżowski, „że rozległa sfera pięknej literatury coraz bardziej ścieśnia się

uczonych klątwą obłożyła, otworzą nieznana drogę młodzieży polskiej, i myśl nieznana potęgą działać zacznie.

u nas.“ — Dla czego? — „Bo trudne powołanie tych uczonych, którzy mogli mieć imię znawców przesłało być dostojnym *urzędem nie wielu wybranych*.“ — Więc do sądu o sztuce koniecznie potrzeba *urzędu*? Potrzeba areopagu? Trójnoża dellickiego wyrokującego wśród kłębow dymu? A my drudzy, czerń niewtajemniczona w poświęcone misterstwo uprzywilejowanej krytyki, czołem bić będziemy przed temi arcykapłanami szfuki? — P. Jeżowski zapomniał kiedy pisze? ho w XIX. wieku podobne opinie własną upadają niemocą. — Na ostatek, nie mogę tego przewieść na sobie, żebym dla ujęcia pod jeden widok tylu krzywych zdań, charakteryzujących potoczne piśmiennictwo krajowe, nie wspomniał przy zdarzonej okoliczności o innéj jeszcze broszurce wydanej w Warszawie roku zeszłego pod tyt.: „*O nagannym zwyczaju używania słodkiego merkuryuszu*.“ Autor téj broszurki, równie jak P. Jeżowski, zapomniał co? i dla kogo? pisze. Chciał pisać o słodkim merkuryuszu, a zaczął w przedmowie od tego: — „Że niepodobna przyjść inaczej do wydania własnych płodów *tylko przez naśladowanie, że tę tylko drogę mając w naukach upoważnieni jesteśmy do ślepych naśladowań, do przejmowania cudzych utworów imaginacyi, lub rozumu, że na obfitości schwytyanych tym sposobem cudzych własności mądrość się nasza zasadza*.“ (str. 4.) — Z tych założeń tak dalej autor rezonuje: — „że w sztukach pięknych dziwna moda oryginalności wywraca dawne zasady poezyi, znosi wszystkie kształty

Ze starszyzna uczonój *hierarchii* polskiej krzywo, z urazą dotąd nieukojoną patrzyła na to rozerwanie jedności w rzeczach ojczystego Parnassu, wielorakie tego przyczyny naznaczyć można. Albowiem nie sięgając baczniejszym rozmysłem zmiany, jakiej w sobie doznało na początku dziewiętnastego wieku powszechnie niemal systema poetyckiej i kunsztownej literatury europejskiej, chciała pierwój spuścić na sąd głowy swojej, i jako się jój podobało przyjąć albo od-

forenne dla tego że stare, i stawia natomiast wyboczenia rozbującej imaginacyi zagorzalców romantycznych.“ — Te zdania nie potrzebują rozbioru. Ale trudno nie zapytać się autora wspomnionój broszurki: jaki ma związek sztuka i poezya romantyczna z *słodkim merkuryuszem*, czyli, jak go nazywa autor, z solnikiem żywego srebra? Taki sam zapewne, jaki zachodzi między tą poezyą, a przedmową P. Jeżowskiego do broszurki okazać mającój, że traktat o *Prawach* mylnie przyznano Platonowi. — Krótko mówiąc: rzadko kto weźmie u nas pióro do ręki w jakimkolwiek bądź celu, żeby zdrożywszy z toru nie wjechał na monowce i kręte ścieżki romantycznego labiryntu. Wszyscy biją na sektarstwo, a nie chcący stają się tegoz uczestnikami. Z czasem przyjdzie ku temu: że rozprawy techniczne np. o szlucie wyrabiania mydła, i garbowania skór, albo wypalania gliny garncarskiej, zaczynać się będą od przedmów, zamykających wykład teoryi piękności w poezyi i sztuce. Niema co mówić: pisarze doskonala się, cywilizacya napizód postępuje! —

rzucić, co nie poszło z przygody, ale z osobnego zrządzenia, co koniecznie nastąpić musiało, co było wypadkiem ogólnej dążności i ogólnych usposobień. Przeto wszystkę chęć swoją, myśl i starania położyła była z razu w obronie szkoły, wsławionej przez pisarzy francuskich tak we względzie praktycznym, jako i teoretycznym, którą osobiście zaszczycały: długie powodzenie na świecie, i nazwisko okazalsze jak właściwe, albo zasłużone. Lecz nie tak to łatwo potłumiają się w narodzie usposobienia choć nie zupełnie rozwinięte, i nie tak łatwo powszechniejsza dążność się wstrzymuje. — Mniemano natenczas, że tak zwana *romantyczność* jest tylko jednej lub kilku głów wymysłem, toż jakoby była szczególnym rodzajem poezyi, jak np. bajka, satyra albo sielanka. Widziano w tém sam niesmak, samych upiorów, czary, samych duchów i nieboszczyków chodzących po świecie. Wyobrażenie literatury ledwo nie do samych romanów i wierszopisarstwa było u nas zacieśnione. Nikt jęj nie uważał w związku z przeszłością, w związku z masą myśli i pojęć, — któremi się istota narodu wyraża. Wynaleziono nazwisko *pięknej literatury* ku rozrywce kobiet i belletrystów; a postawa tych trefniśców w literaturze była, że tak powiem, jedwabna, — nawet ich słowa były pie-

szczone. Oni mieli zemdloną mowę. Światlejsi rozumieli przez poezją kunsztowną tylko zabawę, igraszkę, cacko. I nic więcéj! Z przyczyn naturalnych takie zdania w dzisiejszym czasie do miary już nie przypadają; nie mogły téż ku sobie pociągnąć literackiej młodzieży. Tę jak gdzieindziej, tak i u nas większa może umysłu giętkość, a żywsze bez wątpienia objęcie, i nie-
 stępione uczucia sposobniejszą czyniły ku przed-
 kiemu wtajemniczeniu się w owe misterstwo
 niewidomego ducha, sprawcy wszelkich przeo-
 brażeń w literaturze dzisiejszych ludów Europy,
 który jedném, ale pochmurném wejrzeniem ośmie-
 lił geniusz poety, artysty, filozofa, podając im
 do ręki władzę nigdy przedtem nieznaną z ta-
 kiéj mocy, rozdzierając przed nimi zasłonę, ni-
 gdy nie ukazanych dziwów w naturze, w sercu
 ludzkim, w przeszłości, we wszystkiém co ich
 otaczało! — Błyszczała ta nowość młodzieży
 polskiej tak nadobnie w dali, że tą razą ani ra-
 dy, ani upominające przestrzeganie, ani nauka
 pomiaru, nie włożyły na nią żadnego przymusze-
 nia. W tym dziale narodu zamykającym naj-
 piękniejsze jego nadzieje, przyklaskiwano nowéj
 Muzie, co nie wiedzieć zkąd, i nie wiedzieć z ja-
 kiego zrządzenia liczne, wspaniałe dary na oko-
 ło siebie rozdawać zaczęła to temu, to owemu,
 wedle swego upodobania. Jéj uśmiech nie był

z tego świata! Smutna, żałośna, polubiła to ustro-
nie nad Wisłą, Wiliją i Dnieprem; i nasz ostry
klimat, i nasze niebo pochmurne. W szacie uka-
zała się białej, a nikt nie wiedział co to za ja-
wisko? Nucila różne pieśni i górne, i gminne,
na wysoką nutę i niską, pierwsze westchnienia
swoje mieszając jakby z zarannego wiatru po-
wiewem. Młodzieńcze tylko uniesienia wspa-
nialszą jej cześć wymierzały; w poważniejszym
kole wzruszano ramionami. Tu doznała albo
niegościnnego przyjęcia, albo publicznej wzgar-
dy, obelg. Każdy wiek cenią ludzie podług prze-
ciwnych, wojujących z sobą ostateczności; lubo
zresztą przyznać trzeba, że i to, co się w środ-
ku między nimi dzieje, godne także uważania,
jeżeli nie pamięci. Jakożkolwiekby; gdzie tyl-
ko pokaże się coś nowego, niezgodnego z da-
wniejszym, już to pewnie z téj, lub innéj miary
zburzoną, zepsutą oznacza równowagę. Sami
prawie młodzi pisarze ten spór popierali, zasi-
lali, wymyślając coraz nowe podniety, i waby
żartkim dowcipem swoim, trudnym ku ukróceniu,
jeśli się raz w czemkolwiek rozżarzy; a kiedy
który z starszych braci poważniejszym, uczonym
ozwał się głosem, głos ten nikomu żadnego po-
żytku nie czynił: albowiem twarde były ich sło-
wa, i niewzględne. Jak z jednéj tak i z dru-
giej strony nic postąpić nie chciano. Jednym

szła gra o zasłużone mistrzostwo nad opinią społecznych, a bardziej jeszcze o to, żeby jak najdłużej cieszył się mirtową na skroniach opaską, i wieńcami apolinowej chwały, jakby te zwiędnąć nie mogły; drudzy nadstawiali się przykładami, które zdobił wdzięk świeższych powabów, którym nadto zgodność z duchem czasu, i wzniosłemi jego wyobrażeniami okrasa przysparzała.

Jakże? — Cóż znaczył u nas ten głośny rozterk, że jedni nazywali się *romantykami*, a drudzy *klassykami*? Wszyscy unieśliśmy się wiatrem nowej nauki, wszyscy dzieliliśmy te nieporozumienia. Nie było to jednak naśladowstwo postronnych swarów, ani téż dziecinna słów igraszka. Nie ważmy sobie tak lekko rzeczy, które się daleko w narodzie rozpostarły, a przynajmniej między światlejszą publicznością. Potrzeba dalej zasięgnąć, i baczniejszym rozmysłem. Lecz cóż powiem nowego w téj mierze, czego bym już potylekroć nie wypowiedział?...(*)

Czy możemy razem z mieszkańcami południowych krain zawołać w uniesieniu: *to niebo nad nami, i ta ziemia, te góry i te doliny pierwszych wieszczów naszych natchnęły!* Gdziein-

(*) W pismach: *Dzienniku Warszaw. Gazecie Polskiej* z r. 1828. nareszcie w *Kur. Pol.*

dziej poezya poprzedziła wschód rzesistszej przez główne umiejętności oświaty. U nas przeciwnie się stało. Z zapadłych czasów żadne harmonijne pieśni nas nie doszły, — tylko może świegotania niestrojnej gęśli. Gdzież są ojcowie naszej poezyi? Daremno szukalibyśmy ich w tej omgłonej przeszłości, kiedy z śmiałych przedsięwzięć i rycerstwa w przełożenstwie, plemie Piastów na sławiańskiej ziemi słyneło. Bolesławowie podobno żadnego barda nie mieli. Czasy poetyckie, godne śpiewu bardów, przeminęły bez wieszczego uniesienia. Sprawy, mądrość wielkich mężów w gminnej pieśni, w pieśni ludu nie zawiekowała, co przeszłe czasy staraniu następnych pokoleń, poruciły, zdaje się, odkazem wspaniałej puścizny.

Ocalała w Saxonii z czasów najazdu Franków pamięć irmińskiego słupa. Starożytne, cieniste dęby poświęconego gaju *Wodana* nie straciły czarnoksiężkiej natury. Przypomniano sobie czasy wielkiego Hermana, — Witykind ożył. — Ale my jeszcze piękniejsze mamy zabytki!

Na polach maratońskich, pod Salaminą i Plateą ścierała się przemoc Azji z duchem greckiej wolności, — wielcy śpiewacy biegli w zawód ku uczczeniu tej sławnej pamiątki.

Daleko pierwój jeszcze niebezpieczeństwo groziło Grekom, w małej Azji osiadłym. Gdy Cyrus zawojował państwo Krezusa, Solon i Pizy-

strat uczuli w sercu trwogę. Przewidując bliską burzę, która się później pod Daryuszem i Xerxesem na Grecyą oberwała, zbierają w całość rozerwane części narodowego pieśnioksięgu Homera. W sercach ziomków wzbudzają heroizm cnoty wspomnieniem dalekiem, jako kiedyś bohaterowie greccy, podawszy sobie bratnie dłonie, obrócili spólną siłę przeciwko Azji, zburzeniem Troi wetując uczynioną jednemu z pośrodku nich zelżywość.

Gdy burzą przeciwnych losów

Walka żywiołów szaleje;

Słyszę pieśń jego wśród grzmotu odgłosów

Widzę go w polyskach gromu

Jak z tego nocy poziomu,

W zagrobnym krain zamęcie

Nieśmiertelności widzi się nadzieje.

Taki świetny, a taką pomroką odziany

Na rozchwianym stoi okręcie.

Pośród wichrów dzikiej wrzawy,

Szturmuje morze do nawy;

A on niezłękły, spokojny

Jak gdyby słuchał tryumfalnych pieni,

Z brzmiającą w pewnej ręce struną

Wlepił oko w burzy łono,

Jakby we tle tych płomieni

Widział zwierciadło swęj chwały

Jakby w tej gwiazdzie co lśni nad oblokiem,

Kiedy go piorun rozdwoi,

Widział spojrzenie kochanki swojej, —

Jakby te gromy jego chwały grały!

Z spokojną piersią, z niezmrużonem okiem

Unosi się okazały ponad śmierć, ponad zniszczenie.

O tajemnicze wieszczą zachwycenie!

Taki obraz poety Luzytanów, kreśli *Seweryn Goszczyński* w tych pieśniach lirycznych, których rękopism czytałem (*). *Tajemnicze wieszczą zachwycenie!!* Któż wypowie jaki wpływ mógł mieć Homer na uczucia i imaginacją synów Grecyi, co polegli pod Ternopilami? Poezya w Grecyi z poezyi się rodziła; sama ją stworzyła natura; myśl, natchnienie jednego pokolenia wraz z życiem dostawało się drugiemu puścizną. Ten początek i taki wzrost literatury!

Na otworzystém bloniu pod *Poitiers* mocował się *islamizm* z chrześcijaństwem. Natenczas jedna z tych dwóch *idei* zgasła. Niektórzy chcą wyrzucić z historyi ten wyraz „*gdyby*,” w czym jednak nie zawsze słuszość mają. *Gdyby* był *Abder-Rahman*, a nie rycerski *Karól* odniósł natenczas zwycięztwo, jakież byłyby rzeczy więdy obrót we Francyi i w Europie? Oto niepochybnie na świątyniach pańskich powiewałyby chorągwie *Mahometa*! A gdzie teraz sterczą pod niebiosą pomniki feodalnej architektury, gdzie się

(*) Wkrótce wyjdą na widok publiczne te poezye autora *Zamku Kaniowskiego!*

wznoszą ciemne, melancholijne, gotyckie massy, rznięte w zygzaki, filigranowe kopuły, wieże kończaste z misterną na wierzchu murów zębaczoną, tam przypatrywalibyśmy się wspaniałym *meczetom*. Bieguny wiatro-nogie Kalifów zarząłyby nad Renem; a możeby je i w naszej Wiśle pojono. Bądź cobądź, gwiazda Aldeboranu dłużej, w niezmierną lata świeciłaby plemionom dzikich pustyń i stepów. — Czyż zwycięstwa Greków nie miały żadnego wpływu na ich kulturę? — Czyż zwycięstwa Karola Martela, Karola W. nie zażyły w pośrednich wiekach? Ileż ztąd podań, ile tradycyi, — jakie *sagi*?

Wieki są jako obszerne place, gdzie się wywijają z zawiązków, rozwikłują, szerzą, starzeją i drobnieją pewne pomysły, pewne *ideje*, które wszechmocna, dobroczynna, a czasem karząca ręka opatrności snuje na nierozdzierznioną, i w coraz większą płaczącą się gwałtaninę nie wątkową tylu dziwnych i coraz dziwniejszych losów, tylu niewybadanych rodu ludzkiego klęsk i powodzeń. Ku tym pomysłom odnoszą się, i z tego źródła wypływają wszystkie poruszenia, wszystkie ważniejsze sprawy. Gra tych wyobrażeń, tych *idei* jest historia. Rozproszone po ziemi plemiona ich moc przywdziewają; tą mocą działają. Ztąd kolej zdarzeń, porządek wypad-

ków. Narody są *representantumi* tych *idei*; a wielcy ludzie na to się tylko rodzą, żeby je władzą namiestniczą, z zlecenia braci swych sprawowali. Wielcy ludzie, jak powiada *Cousin*, bądź dobrą radą, bądź szablą w boju wspierają takie *ideje*, i niemi tłumią inne przeciwnie, któreby się także szerzyć chciały. — Ledwo nie tym samym kształtem, jak jedne rośliny, a czasem zielska krzewią się nieprzerodzoną płodnością ze szkodą innych roślin, nie mających jakiejś siły wegetacyjnój. Jeżeli się w życiu jakiegokolwiek narodu tak rozległa *idea* nagle szerzy, rozplenia: w tym czasie najwięcej usposobień, najwięcej twórczych zdolności, — a zatém najwięcej poezji.

W dziejach polskiego narodu nie jedna wielkimi nadziejami rozbłysnęła chwila! I u nas nieprzerodną płodnością szerzyły się rozległe pojęcia. *Mieliśmy poetyckie czasy*, czasy olbrzymiej mocy; mieliśmy rzeczywistą poezją w życiu, lecz nikt jój nie przekazał następnym pokoleniom utworami poetyckiego geniuszu. Tę myśl potrzeba dobrze zrozumieć; to bowiem, jak sądzę, charakteryzuje naszą dzisiejszą poetycką literaturę. Z tego tylko względu uważać ją będę.

Wejrzymy naprzykład w wiek *Bolesława W.* Szerzyła się w dziedzinie bolesławowskiej, górowała potężna myśl, wielka, genialna *idea*, którą ten mąż nadzwyczajny, że tak powiem, na-

miestniczą sprawował władzę ludów sławiańskich. Myśl ich jedności, mocy, chwały! Bolesław tę ideję rozpleniał szablą swoją, nie dopuszczając, żeby przeciwna w krajach sławiańskich *ideja* germanizmu, niemniej wówczas potężna, świetna, wojująca, przed nią przodek otrzymać miała. Był on nie tylko królem polskim, ale zarazem opiekę swoją na wszystkich rozciągał Sławian. Tą cechą oznaczone jego wojny z Niemcami. Ta myśl opatrzna kierowała ledwo nie każdym jego poruszeniem. Dla tego takie oko miał na Czechy. Z tej przyczyny dzierżaw swoich tak upornie bronił w Misnii i Milzawii. Inne przedsięwzięcia *Bolesława* są raczej sprawą zdobywcy, niżeli rozmnożyciela i patrona wspomnionėj *idei*... Gdzież ojcowie poezyi naszėj? Kiedy opatrzność powołała *Bolesława* do przełożenstwa w narodzie polskim, — ten czas prędkiego wzrostu, czas powodnego szczęścia był gdzieindziej, jak np. w Grecyi, w Hiszpanii, we wszczałku nowszych społeczeństw europejskich, w Anglii, w Niemczech, we Włoszech, czasem poetyckiej *inspiracyi*, zawodem śmiałych geniuszów, i niejako idealną podstawą, skarbnicą literatury następnie kształconej i pomnażanej. U nas ogromne w krótkim czasie państwo powstało. Postrzegamy przed sobą charakter poetycki! Romantryczną postać dziejów polskich! Jak *astralne*

światło jaśniej ten ulubieniec Lelewela w odległej dali naszych czasów. Jego kraj szeroki, — jego lud prosty, niebывały, źle otarty z bałwochwalstwa, po tej przestrzeni rozsypany wiejskimi osadami, wśród nieprzetrzebionych puszczy, wśród głuchych lasów. Szlachta drapieżna, ni z praw ni z obyczajów w swojej woli ukrocenia niemająca. Zewsząd groźny nieprzyjaciół! Tu hordy dzikszych Sławian, którzy się jeszcze ciosanym bożkom kłaniają, — owdzie przemoc sąsiedzkich Niemców. Jaka burza nad głową młodego króla! Jaki plac do szlachetnego zawodu! Temu jednak podolał ogromowi, bo nim władał duch plemion sławiańskich, równie nadzwyczajny i silny, jak były nadzwyczajne, a prawie nadludzkiej siły wymagające ówczesne okoliczności. Wiarę krzepi, mocuje; szerzy światło; ujmie w kluby swawolę, niesforność; gromi nieprzyjaciół; ich dzierżawami swoje pomnaża. Od Odry do Dniepru niespracowany goniec, wódz i żołnierz, ustawodawca i gospodarz, ubezpiecza niepodległość państwa, wewnętrzny porządek ustanawia. Odziedziczywszy po ojcu, jak powiada Naruszewicz „obszerną nikielność,” puścizną przekazuje następcom dostatek, chwałę i postrach swego imienia. A też figury co go otaczały? A ci bojarowie z dzikimi, leśnymi sercami, odważni, bitni, pancerni? A ta starszyna? Wywołajmy so-

bie z pamięci te wszystkie postacie!! Wystawmy sobie *Bolesława* w domu drewnianym, którego ściany, jak je *Lelewel* opisuje, bogato ubrane, złotemi i srebrnemi blachami, tarczami i szablami, od kamieni i kruszczu lśniły się. Wyobraźmy go sobie jako rozmyśla o darowiznie *Ottona*, co mniemaném prawem wszystkie sławiańskie bałwochwalskie narody jego dziedzictwu zostawił. Albo też, kiedy przy wieczerzy w Pradze czeskiej odpowiada ze wzgardą kapelanowi biskupa kolbergskiego, który mu oznajmił niespodziane wtargnięcie Niemców: — „że te żaby tak rychło przyczolgać się nie mogą“ — Nie wyrażał się temi słowy duch rycerza, co nie zna w sercu żadnej trwogi? Rozum i imaginacyą zajmują sprawy *Bolesława*. Wszystkie zafarbowane tą poetycką farbą. Jego przymierze z *Oltonem*! Jego polityka! Jego przyjaźń z świętym Wojciechem i mnichem Gaudentym! Scena w lesie pustelnicznym! — Rysy, właściwość charakteru, wiek, ludzie, okoliczności, wszystko to stawia tego króla jakby w świetle romantycznej wieści, której najbujniejsze zmyślenie niechy nie przydało godniejszego pamięci i zadziwienia! Nawet wiara ludu osnuła go mgłą poetycką. Szczerbiec miał mu się dostać z rąk anioła. Wieść się także daleko rozniosła, jakoby na znak zwycięstwa nad Rusinami miał powrzucać do Dniepru misterną robotą udziałane trąby,

przez które sącząca się woda dźwięk dziwny w powietrze wydawała.

A ów inny rycerz odarty z zaszczytu dostojenstwa, tułacz w kapicy mniszój? A dalej *Łokietek*, — cień za cieniem, i tylu potym, których słodka została pamiątka w Polsce! Dziwni, wielcy, których z jednakiem zachwyceniem, z jedną chlubą, jakby cudotwórców jakich wspominamy, którzy ustawodawcę, polityka, filozofa, sztukmistrza, poetę w równej mierze obchodzą!

Tak jest! — mieliśmy poetyckie czasy; kiedy przeminęły, kiedy się wszystko w nie rozwiało, dopiero za naszych czasów zjawili się poeci. Nie w kwiecie, nie we wzroście, ale ku schyłkowi. Cieniem jest ich poezya, wywołaniem z pamięci. Los dziwny zrządził, że poetycka literatura nasza, w wiekach szerzenia się zwyciężkiego olbrzymich pomysłów, nie rozwikłala się, i na tysiączne, jak z jednego *atomu* światła, nie rozbiła płomień. Ona jest tego wszystkiego nie zwierciadłem, ale przypomnieniem. Zład ten senny jój charakter, melancholijny, jak dźwięk dalekiego echa. Cóż zostało z energii ducha wojennego, z mocy pierwotnej, plemienną dzielnego rodu? Nic. — Cóż się poetyckiego z bolesławowskich, poetyckich wysnuło czasów? Nic. — Dopiero za Zygmunów, z powszechniejszą znajomością łacińskiego języka, zaczęto u nas

naśladować rzymskich rymotwórców. Polityczne instytucje wykształciły prozę i krasomówstwo. Tych nieporównane zabytki teraz jeszcze wzbudzają zadziwienie. Gdy w Europie dzwignęły się z upadku nauki, i u nas nie zbywało na rodakach okazale w nich biegłych. Nikt nas wtenczas nie przewyższył w wyborze i liczbie pisarzy. Owszem z najokrzesańszymi narodami całego świata, mogliśmy grać o lepszą w téj mierze. Ale w poezyi owe początki, które za naszych czasów może bez pomiarkowania wielbić, wkrótce ucichły. Zaledwie co pierwotworzonego, narodowego w tym względzie ocalało; resztę głucha zatarała niepamięć. — Któż dzisiaj zgodzi się z *Krasickim*, że Piotr Kochanowski, tłumacz wyzwolonej Jerozolimy Torkwata Tassa, przewyższył wdzięk włoskiego oryginału? — Albo nie policzy *Felińskiemu* na karb cnotliwego zamiłowania ojczystych zaszczytów, że go nazywał *wielkim poetą*? — W następnych czasach różno-kolejne nachyłanie się do upadku pospolitej rzeczy; wielki wpływ miało na publiczne oświecenie. Polskę lecącą nierządem do tego upadku, począwszy od Zygmunta III., zaległa gruba pomroka. Zepsuł się język ojczysty. Chwałę lepszych czasów niewiadomość przyćmiła. Nareszcie, po dłuższej przerwie publicznego oświecenia, rozszedł się z klasztoru w całą Polskę od-

głos *Konarskiego*, dawną świetność ojczyściej mowy, a z nią i wyobrażeń narodowych, wywołujący z zapomnienia, wprzód jeszcze nim *Stanisław August* zasiadł na tronie Piastów i Jagiellów. Za sprawą tego wskrześcy nauk znowu zaczęto u nas, i z lepszym skutkiem, uprawiać odłogiem zapuszczoną niwę. *Bielawski*, *Minasowicz*, *Bohomolec* przetarli zdziechały język, który terazniejszy polor swój i wykształcenie winien ich następcom na polskim Parnasie: szczególnież *Krasickiemu*, *Węgierskiemu*, *Naruszewiczowi*, *Trębeckiemu*. Są to wielcy reformatowie, wielcy nauczyciele; zaszcepcy nieznanych pojęć! dobrzy Polacy, gorliwi ludzie. Ci znamienici pisarze okryli się nieprzemenną chwałą, niepożytą czasem. Imiona ich wdzięczność narodu wiecznej poświęciła pamięci. — Ale także, każdy to z nami przyzna, bo tego niemożem zataić przed samemi sobą: że ci mężowie *rzeczącale nową zkądinąd zaprowadzili do kraju*. Nową upowszechnili kulturę. Jako ogrodnicy w pień spróchniały starego drzewa z bujnej, gdzieindziej posadzonej krzewiny, latorośl wszczepiają; tak samo i oni: stosując ku naglącej potrzebie czasu obywatelskie, pocziwe chęci, i starania swoje, z obcej ziemi, z pod obcego nieba rozszerzali w Polsce wyobrażenia i pojęcia, naksztalt postronnej monety, nieznanym stępem cechowa-

nój. Ta moneta chyżym krążyła obiegiem. Z obcych rozumem, z obcemi wyobrażeniami wcisnęły się do nas obce uczucia, zwyczaje. Nic prawie dawnego nie zostało się. Zmieniono stroje, szaty. Powiększłej części wzmogliśmy się cudzą iścizną. Wszystko było postronne: kształt, postawa, ułożenie. Ten cały gmach oświecenia, nie wspierał się w przeszłym wieku, i nie był umocowany na historycznej posadzie. Najbardziej zaś w literaturze poetyckiej przecięty został związek z przeszłością. Ta literatura wyrażała ducha, który nie był duchem narodu. Zamykała myśl na jaśnią wyciągnioną, która myślą przeszłości nie była. Twórcza jest *fantazyja* poetycka; coraz nowe maluje kształty, ale i to co minęło, w właściwe przybiera szaty. Takię *fantazyi* nie mieli poeci Stanisława Augusta. Śmiało to piszę: *oni nie byli poetami*. W ich pieśniach odbijała się czyjaś postać, ale omylna, nie nasza. Polak myślący przyszedł do uznania samego siebie, *ale nie w swoim jestestwie*. Naród nie miał w literaturze wyciągnionej na widok massy wszystkich swoich wyobrażeń. Krótko mówiąc, przyszlśmy w tym względzie do cudzej *reflexyi*, — do *reflexyi* francuzkiego narodu, który także podówczas nie miał własnej, oryginalnej literatury ale naśladowaną, i nieumiejętnie naśladowaną, w nieumiejętnej kształconą szkole, oderwaną od

historycznej przeszłości, za wpływem niezliczonych przywidzeń i przesądów estetycznych. Sami to teraz Francuzi przyznają.

Cudzy dar z trzeciej ręki przejęliśmy. Literatura polska w drugiej połowie zeszłego wieku była kopią kopii, przeobrażeniem przeobrażenia. W niej podobno żadna iskierka życia nie tłała. Drzewo zagranicznego szczepu, nie wprost z korzenia ulepszone obce zrodziło owoce, wysileniem, przymusem i sztuką cieplicy roślinnej. — mogło to być inaczej? Tak było w rzeczy samej. Tak być musiało.

W pierwszych momentach rozjaśniającego się u nas brzasku cywilizacji, ledwo nie z pierwszemi dniojęcej jutrzeńki promykami, ujrzeliśmy plody dowcipu francuzkich pisarzy w zaszczycie wziętości u postronnych, i największym blasku chwały. Był to wiek panowania literatury francuzkiej w całej Europie. I nasze olśniły źrenice na widok tej świetnej, prędkiej, okazałej kultury. Na tych wówczas jeszcze nigdy dostatecznie nie wysławionych wzorach, jak u nas, tak wszędzie indziej, i w Niemczech, i w Anglii, i we Włoszech, znamienitsze kształciły się talenta. Z potrzeby nie z przejrzenia, w niedostatku własnych, chwyciliśmy cudze opinie o sztuce i piękności; nie czyniąc braku, nie odróżniając prawdziwych od omylnych, nie zapuszczając się

w roztrząsanie tego co przypadało do miary, a co mniej było zgodne, a nawet sprzeczne z duchem ojczystych ustaw i obyczajów, z charakterem, sposobem myślenia i czucia mieszkańców téj ziemi, z ogólną ich dziejów cechą; wreszcie z *fizyonomią* przeszłości i nadziejami, jakie daleka przyszłość w swém łonie tuliła. Nie przestrzegające rozsądnej krytyki upominanie, ale chęć podobania się współczesnym to błyskotkami dowcipu, to niestatkami, którym lada wiatr mody władał, pisarzy naszych wiodły do zamierzonego kresu we wszelkich przedsięwzięciach apolinyowych. Dla nich poezya była rozrywką i swobodnym po trudach wytchnieniem. Na umajonych kwieciem dolinach, około źródeł *Hipokreny* wesoło bujali, płasali; lecz z samego zdrojowiska rzadko kto ważył się zacząć, a nikt podobno nie przejrzał w jego głębi. W tym, jak go nazywają niektórzy, złotym wieku literatury polskiej, poezya u podnoża tronu łaską możnych i mecenasów względami wzniosła się. Dworskim przeto jaśnieje blaskiem! Zdobi ją polota i okrasa; znamionuje dowcip i tok bardzo kunsztowny. Usilność ówczesna obrócona była na udoskonalenie mechanizmu wiersza i przyczynienie świetności zewnętrznemu kolorytowi. Wyższości w tym względzie poświęcono nieraz istotniejsze rzeczy. Naostatek, czyliż śmielszych, szlachetniejszych

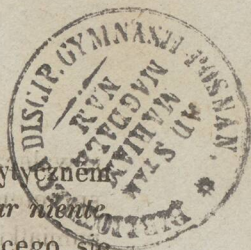
uniesień nie tłumił wpływ społecznych filozofów francuzkich? Ceniąc czasy i ludzi, ogólną dążność ściśle rozważyć potrzeba. I poezya ma swoją filozofią. Lecz z grubych materyalów empiryzmu, senszualizmu i sceptycyzmu ani podobna było wykroić szaty, potrzebnej do robót sztukmistrza, poety. Wiek *Stanisława Augusta* był wiekiem krasomówstwa w poezyi opisowej; wiekiem satyr, bajek, epigramatów. Była *wierszomania*! Było modą ulotne pisać rymy. I na przedpodwojowém, przedpokojowém rymotwórstwie nie zbywało... Zaiste nie mogliśmy nie uleść rozszerzonemu w całej Europie wpływowi języka, filozofii i literatury francuzkiej! Żądaniem z tylu miar przechodzącém ówczesną możność, okazywalibyśmy tylko nieżyczliwe uprzedzenie ku tym prawdziwym założycielom i rozmnożycielom oświecenia w Polsce. Brodziński dobrze mówi: „byłoby to jedno co naśmiewać się z ojca, który zubożony jako mógł dorabiał się majątku, aby przynajmniej synów wychował.“ — Wyrazy prawdziwego krytyka, obywatela!

[Poetycką literaturę polską owego czasu przyrównałem jednego razu do brzmienia głosu, któremu jeszcze słowa brakuje. A ten głos, ten dźwięk ślany i harmonijny, pieszczony i mocny, jako czysty strumień płynący, małyż to dar? Czy-

liż go nam na próżno przekazano? — Że się wyrażę pożyczoném wysłowieniem od pewnego filozofa niemieckiego: literatura taka była to koło dosyć misternie zakreślone. Lecz zważmy pilnie: w to koło jeszcze duch nie wstąpił, wywoływany od guślarzy, co go na mylną rotę zakląwszy z tamtego świata sprowadzić mniemali.

Taki był *status quo* polskiego Parnassu i estetycznej krytyki naszej przed nie wielą jeszcze laty! — Za naszej zjawili się pamięci, długo oczekiwani nowi pisarze, prawdziwi poeci, pełni talentu i daru wieszczego ducha. A przodek przed nimi trzymał letni starzec, wyniosły mąż ośmnastego wieku, nad którym górował wyższością i mocą swego geniuszu, — sędziwy, pobożny mówca, natchniony poeta *Sybilli* i Lechiady, — poeta żaloby narodowej. A obok niego w równym mierze stanął drugi starzec! Ten w grobowce sławnych ziomków swoich wszczepia gałązki cyprysowe i żadnego nie masz obrzędu pogrzebowego, gdzie wszyscy płaczą, któregooby za dni naszych nie święcił swoją wymową. Reprezentant powszechnego wszystkich żalu pisał dla dzieci i dla starszych śpiewy historyczne. On wykształcił *dumą polską*. Nakoniec *Kazimierz Brodziński* wziął pióro do ręki; zaczął mądrze, głęboko rozmyślać o poezyi: i ujrzeliśmy pierwszego krytyka, pierwszego estetyka w Polsce!

Wszczęła się potem waśń; jedni na drugich ostre miotali słowa. Zkądże ten rozterk? — Oto, że wedle wyrazów mędrca *chromy jako jeleni posko-
czył i rozwiązał się język niemych*. Zaczęło ściślej ważyć zasługę literacką, talent, poezya. Rzecz nie mała tych rozpraw była przedmiotem. Sektarstwo podzieliło umysły. Rozchwiała się dawna nauka. Stare zdanie upadło. Pojrzelśmy za siebie na wiek upłyniony, i ku dalszym jeszcze czasom. Kiedy jedno przymierzamy z drugim, nie było zgody w literaturze między przeszłością daleką, poetycką, rycerską podbijającą Polski, a tym wiekiem upłynionym *Stanisława Augusta*, gdy się już rzeczy znacznie miały do upadku. Jedno z drugim nie rymowało. Mielśmy boleść na sercu. Razily przeciwieństwa jasne jak na dłoni. W literaturze poetyckiej naśladowanej, którą bez pomiarkowania chwalono, którą dzisiaj nawet niezłomny wielu zaciętych w zdaniu swojem upór wysadza za wzór niedościgłej doskonałości, poloru i wdzięku, zniknęła stara Polska. Ta główna wszystkich niesnasek przyczyna! Pogasły były stare *tradycye*, pocichły wieści, i powiastki tak potrzebne każdemu ludowi, i każdemu wielkiemu poecie, wielkiemu sztnkmistrzowi. Rozstroił się, ba nawet rozstrząsał na kawałki stary dźwięczny ów bar-
don, którym niegdyś chwalono Boga w kościele.



Wasnią estetyczną, piśmienném, krytyczném, sektarstwem oznajmiliśmy, po długim *far niente*, chęć wyrażenia ducha twórczego, łamiącego się z uprzedzeniem i przeciwnością; chęć objawienia naszych własnych wyobrażeń, pojęć. W Niemczech wyciągniono z filozofii ogólną, metafizyczną teorią piękności. Krytyka wsparta na tej teorii wszystko w odmienném ukazała świetle. Ta chwila nazawsze będzie pamiętna w dziejach europejskiej, poetyckiej literatury. Były to początki estetycznej emancypacji z pod przymusu francuzkich, cudzych pojęć. W to ugodził *Kazimierz Brodziński* rozprawami pisanemi ozdobnie, a z wielkiem, jak podówczas wypadło umiarkowaniem, żeby nikogo nowością nie zrazić. On pierwszy, — jak powiedział *Michał Grabowski*, — zrobił w literaturze polskiej krok stanowczy, krok olbrzymi: bo od dowcipu do myśli, od sentymentalności do uczucia, od sztuki do natury. Pierwszy *przeczuł* poezją narodową, i we własném ją sercu wynalazł. — Chcieliśmy mieć swoje imaginacyą, swój rozsądek estetyczny, swoje uczucie i własne fantastyczne zmyślenie. W tém istotna przyczyna, w tém główna podnieta sporu, który przyjaciół poezyi i sztuki, pożywających dotąd jój owoce w zgodzie i dobrém porozumieniu, na dwa rozerwał stronnictwa. — Cobądź na podstawie historycznej nie jest założone, wła-

i walecznych w boju. Zdał się niby ladajakim sprzętem nowatorom. Zaszły także rdzą dawne pamiętki; a tymczasem nic kłębka dziejów ledwie do połowy wyciągniona co chwila to zrywała się, to gmatwała; wreszcie i wątku nie stało. Wszystko się jak ze szwu rozpruło! Dopiero przetartszy oczy, w sam czas jeszcze przyśliśmy do siebie. Dopiero w myśl nam wpadło, że może przez długi czas w nie swojém poczuwaliśmy się jęstwie, tuląc do łona i piastując jakby umarłe w pieluchach dziecię umarlój imaginacyi. Zapal owionął głowy. Młodzi pisarze pochwycili gęśl minionych wieków. Przewzano ich *romantykami*, bo nieznane piosnki nucili o Kozakach, rusalkach dziadach i strachach; a *Jan Śniadecki* biegleszy zapewne matematyk i astronom, nizeli krytyk, wołał jakby to wszystko było wymysłem osowiałej metafizyki niemieckiej.

Tak samo prawie lekarz doświadczony, okazał biegły w swój sztuce chorego za rękę bierz! Puls bije mocno, bije często, bije coraz mocniej i coraz częściej. Oczywiście gorączka. Idzie więc, siada, pisze receptę na ochłodę krwi wzburzonej. Lecz to nic nie pomaga. Niemoc głowę i myśl opanowała. Chory ma drzenie w sercu i boleść na duszy. Trzeba innego lekarstwa i lekarza!

sną niemocą prędkiej, czy później upaść musi; bo nie ma gruntu pod sobą. Poetycka literatura Stanisława Augusta, (niechaj jako kto chce wywyższa dowcip, talent wielu ówczesnych pisarzy) nie była ugruntowana na téj podstawie. Obcy zasiew wybuchał; ale kłosa czcze były po większej części, a ziarno nieważne, lekkie; reszta to w łodygę, to w nać się rozrosła. Następni téj niwy uprawiacze, téj samej szkoły uczniowie, chwalcy tych samych przykładów, coraz dalej doskonaląc, z początkiem dzisiejszego wieku, wierszopiski mechanizm, ulepszając naśladowstwo, coraz większego nieurodzaju, coraz biedniejszego zbioru czynili nadzieję. Nie polska, nie z zapa-
dłych czasów rycerskich, ni z czasów szlacheckiego gminowładztwa, ale obca jakaś postać, zemdlala, omdlewająca, nie męska w tém ich rymotwórstwie ukazała się.

Czegoż chcieli *romantycy* na ziemi Bolesława Chrobrego? Ojczystej poezyi, związku z dawniejszą Polską i rozumem starego czasu; nie mieli tego u siebie za rzecz dobrą i piękną, że wiarę pocziwych ojców cieśniły w literaturze poetyckiej swawolne pieśni, jakby cało-palenia ze czcią tylko bożków marmurowego *politeizmu*, nie przypadającego do miary z cywilizacją i duchem chrześcijańskiej Europy. Chcieli oni większej zapewne z wspomnieniami zgody, mniemając, że

groby i rumowiska do życia należą, i jakoby samo zniszczenie było tylko atomem, jednym z pierwiastków rzeczywistości. Pokochali wyobrażenia i fantazją gminu, dla tego, że w prostocie serca najwięcej poetyckiej prawdy i szczerości. Oni to chcieli obraz malarski roztrąconego jestestwa w zwierciadlaném pokazać przezroczu, żeby myśl prędką jak widzenie, a chęć dobrą, ognistą jak płomień, wzniecił, rozpałił. Nabijali romantycy w ucho ziomkom swoim, że przeminał czas, kiedy u nas pisano wiersze na cześć kształtnych stóp kobiecych, i misternie trefionych kędziorów. Do górnieszego wzniesli się lotu! Ten gdzieindziej zmierzał. Do wyższych dźwięków, do wspanialszych tonów i piękniejszych akordów naciągnęli strunę. Zadrzała w ich rękę, zabrzmiała! Żałośne i tęschne ich pienie, nakształt dumań samotnika, co po długiej niebytności, z burzy świata, z rozdartém sercem wraca do domu, nieznany, ledwie postrzeżony, a choć gada swoim o swoich rzeczach, nikt go jednak nie rozumie.

Czegoż chcieli polscy *klassycy*? Oni téj całej nie pojmowali zagadki. Mniemając jakoby nie czas jeszcze było myśleć po swojemu, i wszystko rozumieć swojém pojęciem, przestrzegali delikatności, zalecali poprawność smaku. Powielekroć śmiali się z złych wierszów i złej prozy

niewyćwiczonego talentu. Chwalili co było godniejsze nagany, a ganili co zewszepochmiar na pochwałę zasługiwało.

Ale jak pierwsi, tak drudzy zacni ludzie; ja przynajmniej i jednych i drugich poważam, cenię. Nic nie szkodzi, że w téj materyi nie było i niemasz zgody, kiedy w tylu innych rzeczach jedno chcieć i myśleć możemy. Mniejsza wreszcie o gołe nazwiska, których rzetelne znaczenie gdzieindziej w tém piśmie roztrząsnę. Dość, że przez czas niejaki za hasło dwom przeciwnym służyły stronnictwom, których *dysputy*, czy potocznej, czy piśmiennéj, zdaniem mojem, nikt osławiać nie powinien. — W całym toku téj sprawy nic nie było nagannego, nie dopiero zdroźnego. Że się przezto rozchwiała, jak mgła przemijając, reputacya niektórych gładkich rymotwórców, nie wielka szkoda. Z innéj strony, cieszyć się powinniśmy z tych pierwszych zatararów w rzeczach gustu, z tego estetycznego u nas *sektarstwa*; bo kiedy publiczność do takich rozrywek starań przykładą, już to samo oznacza nie mały postęp kultury. Jak w religii, tak i w literaturze pożyteczniejsze jest gorliwe, uporne nawet przy swojem obstawanie, od owéj na wszystko obojętności, która, jeśli z obyczajów zmazanych jakąś skazą nie pochodzi, najczęściej bywa znakiem umysłowej niemocy. Wspom-

nijmy sobie, że przed niewielą laty nikt prawie u nas o literaturze nie pisał; a rzadko kto niósł jój wspomnienie choćby gruntowném tylko o jój wielkich i licznych potrzebach rozmyślaniem. Tę sprawę przezorności krytyków i filozofów ślepe-
mu niemal zlecono trafowi; dzisiaj stała się ona sprawą narodu, rzeczą wszystkich chęci, i wszystkich usiłowań, rozmów. Zważmy także: że entuzjazm w popieraniu wszelkich opinii, nie gwoli osobistój korzyści i pożytkowi prywatnemu, zawsze okazuje pocziwe serce i myśl wspaniałą. Zaiste, daleko lepiej rzadzić się wątpliwém zdaniem w tój mierze, choćby nawet omylnie było, jak żadnego nie mieć! Nasuwa się tu uwadze mojej przepis ateńskiego ustawodawcy, skazujący na grzywnę tych mieszkańców rzeczypospolitej, którzy w rozterkach domowych do żadnego stronnictwa należyć nie chcieli. — Prawdziwój harmonii tak potrzebna zgoda, jak waśń i rozstrojenie. Światła polemika pożytecznie służy piśmiennictwu.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Poeci. — Architektonika idealna w systemie poetyckiej literatury polskiej. — Porównanie tej literatury z rzymską za Augusta Cezara.

Prędzěj to może, łatwiěj trafi do przekonania wielu czytelników moich co się rzekło we dwóch pierwszych rozdziałach, niżeli to co mam następnie powiedzieć o spółczesnych polskich poetach, sztukmistrzach. Słyszałem nieraz, jakoby się nie godziło pisać o *żyjących*. Dla czego? Pisać a mówić, toć wszystko jedno, zdaniem mojem. Niechaj tylko każdy tak pisze i mówi o swoim czasie, jakby żył cokolwiek późniěj; o dawniejszych zaś czasach jakoby się patrzył na takowe, a pewnie nie zbłądzi. Szczególniěj atoli: niechaj pisze wedle przekonania i rozumienia swego! — Praktyka jest kamieniem probierskim ledwo nie wszystkich mniemań teoretycznych. Jakiemiz tworami podparli swoją teorię stronnicy literatury poetyckiej z czasów *Stanisława Augusta*? Wszelka wiara, nawet poetycka, cudami się rozszerza i pomnaża. Któż

uwierzy prorokom bez natchnienia? Prawodawstwo estetyczne potrzebuje *sankcyi* geniuszu. Gdzie są poetyckie dzieła *klasyków*? Któreż tak silnie zajęło umysły, i tak silnie wpływa na opinią społecznych, żeby w téj mierze o lepszą iść mogło z celniejszymi tworam i naszych *romantyków*? Gładkie, staranne przekłady z obcych języków, ustawne podwodzenie mowy ku wytworności smaku, i delikatności wystowienia, nie przechyłą sporu na stronę naśladowstwa. Czasy tych zalet może na zawsze przeminęły. Teraz trudniej, niżeli przedtem, dostać u nas poetyckiej, pisarskiej sławy; a zalecanki krotofilne niczyjego nie przerobią rozumienia. Zmężniało dzisiejsze pokolenie. Młodzież myśli, rozważa; i w smak jej nie idą przymilenia lekkiej Muzy nadsekwąńskiej, której kupny uśmiech, toż najznacniejszy pokaz łaski od lat wielu w samej Francyi staniały.

Weale inaczej ma się rzecz co do tych poetów w literaturze ojczystej, których nie wiedzieć dla czego *romantykami* nazwano. Ci własną usilnością, własnymi dziełami mocują, wspierają wyznawaną przez siebie teorią sztuki; jeżeli tylko poecie, sztukmistrzowi teoretyczne rezonowanie na co się przydać może! ich młoda, poetycka literatura jednym oto żartkim skokiem daleką przestrzeń ubiegła, — jak Alecyd dławiąc smoka w kolebce. Wyznaję to przed obliczem narodu

z prawdziwą chlubą, z prawdziwém uczuciem dumy narodowej! — W téj, że tak powiem, w obec nas, przed naszemi oczami *improwowanej* literaturze wyraża się duch dziejów krajowych, duch staréj Polski. Jeszczeć nie stanęła u kresu swego; ale ciągle naprzód postępuje.

Któryż twór położę na czele tego systematu nowych, świetnych tworów imaginacy?... Przedewszystkiem oddajmy cześć umarłemu. Poświęćmy kilka słów ceniom poety, który za dni swoich tak był skromny i tak cichy, — tak natchniony, a tak mało znany rodakom, spółzemiautom. Urońmy lżę na jego grobowcu; bo wieszcz umarły jest patronem żywych.

Smutna powieść jego, jak dumy i śpiewy tego kraju, gdzie się urodził. Ofiara nieumiejętnéj krytyki, co ją przed kilką laty na zapomnienie skazała! — Publiczność polska nie zna *Maryi Malczeskiego*. Nie we wszystkich rękach znajduje się to poema. Nie rozkupiono małej liczby odbitych exemplarzy. Przykład nieprawdy recenzentów, godny pamięci. *Marya Malczeskiego* jest jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej, mimo wielu niepoprawnych wierszy, i twardego, jak się niektórym zdaje, wysłowienia — jakie ja przynajmniej, mojem zdaniem, za zaletę poczytuje. — „Gdybyśmy tylko mieli *Maryę* i *Grażynę*“ — rzekł

Michał Grabowski w dzienniku *Odyńca*, — „mielibyśmy już oryginalną literaturę.“ — Ten młody krytyk powiedział prawdę.

Napiszę o tej powieści co długo w myślach miałem. — Działo się to na Ukrainie, podobno za rządów Augusta III. — Wojewoda, pan wielki, możny, bogaty, podniosłego serca, dumny z rodu i mienia, wysłał syna za granicę. Ten po drodze, przypadkiem, czy z rozmysłu, wstąpił do domu mniej majątnego, lecz poczciwego szlachcica. Obaczył jego córkę. *Wacław* był młody; *Marya* była także młoda, piękna. Pokochał ją, i z nią się ożenił. Ojcu, panu Wojewodzie nie podobały się te śluby. Razila arystokratę wielka, jak sądził, nierówność stanu; a prawdziwa imienia i dostatków. Przedsięwziął stargać święty węzeł; zrazu łagodną namową i upominaniem ojcowskiem, a gdyby to nie pomagało, przemocą, gwałtem. Syn jednak żadną miarą nie chciał złamać poprzysiężonej wiary. Wojewoda widząc jego stałość, rozkazał kozakom porwać *Maryę* z domu jej ojca *Miecznika*, i utopić w pobliskim stawie.

Ta jest osnowa powieści *Malczeskiego*. Poetycki obraz dziwnego zdarzenia! Konturowy zarys, wielki pomysłany, prosty, jak przyzwoicie biegłemu sztukmistrzowi. Wykonanie tego planu śmiałe; każdy zaś domyślić się może, że przez

wykonanie poematu nie rozumiem wierszy glad-
kich, potoczystych.

Co za widok stawia autor przed oczy nasze!
I jak właściwem godłem z *Jana Kochanowskiego*
zagaił początek pierwszej pieśni:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Rzeczywiście wszystko się w tej powieści sple-
tało w gmatwaninę nieszczęścia nigdy nie odmo-
taną. Rzecz prosta i zawila, naturalna i okropna,
powszednia i głęboka jak przepaść. — Nie tak
czyn krwawy, jako przyrządzenia mordercy wzbu-
dzają zgrozę, kiedy przed odprawieniem swęj
roboty w skrytości myśli układa zabójstwo, po-
tajemnie, milczkiem, z tyłu godząc. Daleki za-
mach ledwo nie straszniejszy od samego uderzenia.
Nie śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do
tego ścieżki, manowce sięją postrach. Wikła
się myśl ludzka w tym labiryncie. Natenczas
złowieszcze przecucie całą moc swoją odzyskuje
na duszy naszej. To czajenie się uprzedzające
skutek jest nakształt mroku, jest jako ciemna
strona *fantazyi*. Jakaś opona, czarny kir zalega
wtedy przestrzeń niezmierną między daleką
chęcią, zawartą jeszcze w sercu, i jej dopełnie-
niem; między wyciągnięciem ręki i zadaniem

ostatniego, śmiertelnego ciosu. Północna godzina *Szekspira!* Rodzicielka wielkich, traicznych wrażeń! W tym mroku *imaginacyi*, za tą mglistą zasłoną *fantazji* pojał *Malczeski* rzecz swego poematu. — Nie rozbieram krytycznie, kreślę tylko co czułem, co mi się zdawało przy częstém odczytywaniu téj powieści.

Tajemnica osłania zamiary wojewody. Jego samego prawie nie widać na scenie. Poeta stawia mordercę w głębi. Raz tylko jeden ukazał go w komnacie starego zamku. *Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy.* — Była noc; nie spał, chodził w jój ciemnotach. *Duszną wysoką komnatą!* Łatwo zgadnąć dla czego? — Otwiera okno, — patrzy na swoje hufce, rozwinięte znaki, co się do zakazanej wyprawy zbierały. Rozwidniło się nad rankiem; słuchał budzącej trąby:

„Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowej pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszém spojrzeniem
W ślącój stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywej słodkiej nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrывa uczucie:

Nie dla niego — on niechciał na widoku zostać.
 W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
 Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
 Widzi w bezsennéj nocy — poranek rozprasza.“

Świt różanej jutrzeńki, zaranna jasność złe
 zapewne przypada do miary z farbą czarnéj myśli.
 Nie mógł na widoku zostać! Któż inny jeśli nie
 poeta z użyczenia i daru nieba, mógł pochwycić
 to przeciwieństwo, jakie zbrodnia wiedzie
 z światłem dzienném. Te szczególne rysy cha-
 rakteryzują to co zowiemy *mądrością* artysty. —
 Tatarzy pustoszyli wówczas Ukrainę. Wojewoda
 postanowił korzystać z téj okoliczności. Ale jak
 podejść syna, kochankę, męża *Maryi*? Jak jég
 ojca oddalić z domu? Wysłał gońca z listem
 do Miecznika. Uprzejmemi słowy oznajmuje, że
 dawną urazę zatarł niepamięcią. Żałuje prawie
 za grzechy; synowę zaprasza do domu. Wię-
 czej jeszcze: — „takiego szczęścia“ — pisze Wo-
 jewoda, — „syn mój niewart; niechaj w wo-
 jennéj potrzebie dobija się pierwéj chwały.
 Właśnie oto Tatarzy grasują w tych okolicach;
 niechaj walczy w obronie wdzięków swéj żony.“
 — Ale ani pół słowa prawdy nie było w tych
cukrowych wyrazach. Blécht tylko na omamie-
 nie starego. Owe hufce miały wstrzymać zapędy
 pogańskiej dziczy, — miały oddalić Miecznika
 z cichego domku. Albowiem przeczuwał pan

Wojewoda, że Miecznik tak ważnej sprawy nie poruczy niedoświadczonemu młokosowi. Przewidywał, że starzec, Polak uniosłszy się rycerskim zapalem, zostawi *Maryę* w domu, — samą, bez pomocy, bez nadziei! Z takim pismem wyprawiwszy kozaka, tuli syna, z którym dotąd zostawał w rozdziale niechęci przez pamięć na dawniejszą zwadę, że woli jego nie chciał być posłuszny. Rozmawia z nim teraz łaskawie; i pieści się z nim, jakby dla powetowania, niezwykłą rodzicielskiej czułości szczodrocią, najboleśniejszego ciosu, jaki nań wymierzył w zamiśle nieludzkiego okrucieństwa, depcącym wszystkie prawa, i wszystkie zrywającym związki. Ja w tém prowadzeniu rzeczy, w tém wywikłaniu z początków treści poematu widzę najwyższe misterstwo, albo, jak się zwykł wyrażać Kamiński, *umnicstwo* Malczeskiego. Wojewoda dawał ucztę na zamku w wigilią zgonu *Maryi*; do późnej nocy trwała ochota, libacje wina poprzedzić miały taniec tatarski, — i spełnienie najstraszniejszej zbrodni. *Malczeski* powiada, „że tego wieczoru twarze ostre, malowane portrety przodków Wojewody wiszące na ścianach komnat godowych:

„Zdały się iskrzyć nieraz mąrtwemi oczami
I śmiać się do pijących — i ruszać wasami.“

W tem nawet wierny charakterowi narodowemu! Odtąd Wojewoda uawszsze znika z sceny

poematu. — Cóż Miecznik? Pod rozsochatemi lipami domowej zarody kołł tymczasem jako mógł urażę we własném sercu. Jego wejrzenie pochmurne; to dąsa się, to unosi burzliwością młodszych lat, *pelen niechęci, gniewu, — a może i wzgardy!* Przewodzenie bucznego pana, niedola, miłość córki, jój wiek młody, bladeść na jój licu, uczucie własnój godności, wszystko to boleśnie go dręczy. „Wolałby dźwigać więzy u brodacza, Turka, wolałby umrzeć w ciemnej turmie, niżeli spokojnie patrzeć na te smutne śluby:

„Alboż to naszój Polsce braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach
I tak jak dawniej było — rycerskie kolano,
Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek, za wiano!
Nie Maryo! Nie trza wzdychać — twego nie obrażam
Mężny jest i cnotliwy — wiesz, że go poważam:
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
A kiedy łzami Maryi swoje serce żywi,
Ha! toć i u mnie szabla nie czczy tylko blaskiem
I mignie mu przed oczy święconym obrazkiem,
Taż to u naszój szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje.
Przyjaźń? A nasze hufy nie z sobą na sejmie;
A nasze veto krzyczy jeszcze i w rozejmie!
I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy,
I gdyby twoja matka, (daj jój niebo Panie!)
W swe rantuchy nie skryła młodych sere kochanie;

A niewieściem w błyskotach, tajemnicach smakiem
 Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem —

Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować:
 Anibym jego złości dozwolił grasować.

Bo cóż to ja zastałem? Żonę zmiotła kosa —

A córę — szczep jedyny — z łez polewa rosła

Dla starój karabeli zbyt to wielkie dziwy,

Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.

Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?

Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się
 rozczulił

Nie — od domu, imienia, ze wzgardą odgania,

I teraz w Rzymie szuka szlubów rozwiązania!

O! co tak to najłepiej! i mnie to rozwiąże —

Wysunie rażna młodzież, i ja za nią zdążę;

Choć może mniejsi w lieźbie, Boga w pomoc wezwą:

To w końcu téj tam waśni — dzwony się odezwą!"

Jakie rysy, jaki charakter, jakie wyrażenia?
Malczeski podniósł do *idealu* historyczną postać. *Idealizuje*, cechą poetycką znaczy popularne wystowienie, — *idealizuje* wszystkie szczegóły, wszystkie zewnętrzne narodowe znaki w mowie, stroju. On pierwszy szatę polskiego szlachcica — *żupan*, *kontusz*, toż bronię jego — *kord*, *karabelę* do poetyckiej wzniosł godności (*).

(*) Tę uwagę czyni *Michał Grabowski* jeden z najznamięnitszych krytyków naszych w rękopiśmie nie wydany, który mnie nadesłać raczył. Ciekawe są

i w poetyckim pokazał świetle. Nie *Podstoli* Krasickiego jak mniemano, ale *Miecznik* Malczeskiego jest, zdaniem mojem, tą poetycką figurą w literaturze naszej, która starego, polskiego szlachcica wyobraża. *Podstoli senzat*, może gaduła; wreszcie jest tylko rolnikiem, gospodarzem. Ale *Miecznik* to rycerz-ziemianin! Już te czasy przeminęły; wszystko się około nas zmieniło. Co innego teraz mamy w myśli, w sercu, w staraniu. Jakże wielka zasługa poety! Postrzega w dali kształt historyczny — niknący, ledwo nie w nic się rozwiewający. Korzysta z chwili i nie daje się w niwecz obrócić pięknej pamiątce! Za sprawą jego, co przepadło w historii, nowe poetyckie życie odzyskuje. Poezya drugim jest życia okresem, drugą koleją bytu. Jest tylko wyższą prawdą! Wszystko ziemianieje w powieści *Malczeskiego*.

Przybycie kozaka z listem Wojewody smutek *Maryi* odmieniło w niespodzianą radość. *Miecznik* czyta i wydziwić się temu nie może! Opatrzność w tej chwili zsyła nań błyskawicę podejrzenia, — ale ten promień dobroci bożej, upominającej przestrzeganiem błędnego człowieka, żeby się miał na ostrożności, nagle ściemniał

i zajmujące postrzeżenia jego co do *Maryi*, *Walenroda* i *Zamku Kaniowskiego*.

w sercu pocziwego szlachcica. Zdawało mu się, że wojewoda jakieś matactwo, kabałę stroi. Lecz sędziwy Polak nie przenikał zdrady, i nie znał jój krzywego podejścia z własnego doświadczenia. Zaufał słodkim wyrazom. Znikły natychmiast wszelka trwoga, wątpliwość! Serdecznie wita zięcia, który wkrótce zdążył z zbrojnym hufcem po przybyciu wspomnianego kazaka. Co żywo krząta się, bierze zbroje, rozdaje oręż ludziom, poleca *Maryi*, żeby suto zastawiła stół na uczenie gościa. „Nie szczędź korzeni pieprzu, bobków, imbiru, cykаты, szafranu, bo ten piękny rycerz w bakaliach chowany. O winie sam pomyślę.“ — A tak kilka przynętnych wyrazów chytrłości, jeden uśmiech na twarzy *Maryi*, obecność *Wacława*, — rozżalonego utuliły starca, zwojowały burzliwość skrzywdzonego ziemianina, natchnęły męstwem duszę rycerza, Polaka! Nie także było w istnój prawdzie? Nie szczeryż to obraz dawnych mieszkańców téj ziemi, kiedy przez tyle set lat na strażnicy Europy, ustawnemi harcami z łupieżkiem pogaństwem własną odpierali piersią spustoszenie od chrześcijaństwa i cywilizacyi? Oni zapalczywość jako charta zawsze mieli na smyczy, gdy wzywała spólna potrzeba gniew i uniesienie zemsty porażając z łatwością, myślą i ciałem wychodząc z prywatnych niesnasek. Cała Polska, cała przeszłość

nasza sztuka czarodziejską wzięła życie z rąk wielkiego artysty, autora tego poematu. Wszystko się tam zeszło: nieukrocona duma arystokracji, zdrożne możnowładztwo z staroświecką cnotą i niecziwą godnością szlacheica pod skromną strzechą słomianą, toż rycerskie męztwo, i charakter światowy, po wszystkie czasy daleko słynny dziejów polskich wedle tego, żeśmy stawili dzielny odpór najazdom dziczy, która spustoszeniem oświacie europejskiej zagrażała.

Nie jestem rozbieraczem płodów cudzego dowcipu; kreślę tylko ogólnemi wyrazami obraz naszą dzisiejszej poetyckiej literatury, gdzie się znamieniem talentem, zaletami tworcami, i nadobnym misterstwem kilku pisarzy, ziomeków naszych, jakby z wezwania wszystkich innych braci i spół-ziemian, jakby przez reprezentacyą wyrażać zaczynają władze i siły powszechnego narodowego umysłu, jakoto: zwierciadlana *imaginacya*, żywa i mocna *fantazyja*, duch, natchnienie. Nie mały to postęp od czasu kiedyśmy najpierw rzymskich, a potem francuzkich naśladowali rymotwórców! Charakter, dążność prędkie wywijanie się tego systematu z niemożliwości unoszą mnie chluba ojczystego zaszczytu; aczkolwiek piętno rodowitości na dzisiejszej poezyi naszej nie jest jeszcze tak ustalone, iżby o tem godziło się mówić z *precyzją* wła-

ściwą krytykom, roztrząsającym systemata poetyckie zapadłych wieków. Nie strzymywałbym nawet tak długo uwagi czytelnika nad *Maryą* Malczeskiego, gdyby mi nie szło o zadanie nieprawdy téj krytyce, która przed kilką laty swawolnie szerząc się, i biorąc w piśmiennictwie stołeczném, wspomniane dzieło w tak omylném świetle ukazała publiczności. Przywróćmy cześnie rzetelnéj zasłudze, — żeby nie powiedzieli następcy nasi, że talent genialny jako cień przeszedł koło nas, a słowa jego razem z dźwiękiem ulatując, w powietrzu się rozprószyły. *Malczeski* był prawdziwym artystą. Rzecz swoją umiejętnie, rozważnie, głęboko, mądrze prowadził. Rzuca rys za rysem, kształci, maluje; porządek, pasmo wydarzeń wiąże w całość, wszystko usuwając z przed oczu naszych, wszystko tym powiewnym, lekkim zasłaniając całunem, tą przezroczystą astralną siatką, która się w poezyi nigdy podobać nie przestanie. Tą ponętą mocnego uroku podbija, ciągnie ku sobie czytelnika. Powiedziałem już w jakim świetle pojął i wykonał myśl swegopoematu. Nie jest to brzask zaranny, ale zmierzch dnia chmurzącego się ku wieczorowi dzikiéj, ponuréj, melancholijnéj fantazyi. Stepowe pola, roztworzyste błonia Ukrainy godne były takiego poety! Kończy też obiedwie pieśni wyrazami:

„I pusto, smutno, tęszno, jak gdy szczęście minie.
I pusto, smutno, tęszno w bujnej Ukrainie.“

Czyn gwałtowny niewidoma odprawuje ręka.
Gdy *Wacław* ruszył z *Miecznikiem*, i zbrojną
drużyną na harc tatarski, sama śliczna Marya
bez straży została w opuszczonym domku. Któż
utyskuje przed wrotami tej zagrody? Kto pla-
cze na świat? — Anioł, czy zły duch, czy czło-
wiek? Poeta wprowadza tajemnicze jestestwo:
daje mu ludzką postać; ale boleść jego, ale trwoż-
ne przeczucie, rozpacz na jego myśli nie są z tego
świata. To zjawienie zdaje się być naksztalt
światelka świętego *Elma*, zwykle poprzedzające-
go rozerwanie nawalnej, gradowej burzy. Stary
sługa rozmawiał z ową postacią; nic jednak nie
rozumiał. Obróciwszy wzrok w inną stronę, po-
strzega maski, larwy zbliżające się w różno-
farbnych strojach z wrzaskiem, krzykiem, śpiewem
karnawałowej, zapustnej ohoty. Byli to wyko-
nawcy krwawego zlecenia Wojewody. Pieśń ich
dzika, liryczna, trwożna i pusta, okropna i wesoła
też same uczucia wzbudza w sercu naszym. Jest
to najgenialniejszy pomysł poematu:

1.

„Czy znasz weneckie zapusty?

I w noc i we dnie

Wesołe, szalone, przednie;

Maska twarz kryje, a kto się pyta

O sprawy czyje, tego przywita

Wrzawa, śmiech pusty.

Zywo, radośnie

Skrycie, miłośnie,

Staruszek Doża, Arlekin młody,

Dziewczyna hoża, szuka osłody;

Matrony, księża, oszusty

Swobody;

A kryte łodzie

Czernią na wodzie;

Wrzawa, śmiech pusty;

Czy znasz we neckie zapusty?



2.

My sobie jedziem kulikiem,

I w noc i we dzień

Wesołe, szalone przednie;

Maska nas kryje — a kto chce wiedzieć

Skąd my i czyje, to odpowiedzieć

Śmiechem i krzykiem.

Szczera ochota

Otwiera wrota!

Bo Krakowianki i pielgrzym stary,

Żydzi, Cyganki, uderzą w pary,

Wróżki, Djabli, nie oszusty

W puhary:

Lecim saniami;

I idą z nami

Wrzawa śmiech pusty;

Czy znasz ty polskie zapusty?

— „Ale tu wejść niemożna” — odpowiedział stary dworzanin, świadomy polskiego *kulików* oby-

czaju, nie raz może praktykowanego w domu *Miecznika*. „*Teraz nie zapuśły, pan Miecznik na Talarach.*” Chciał wstrzymać śmiałych przychodźców; lecz napróżno. Jemu samemu zawróciło się w głowie, gdy te dziwne postacie, cyganki, wróżki, dyabły przed jego oczyma tańcować, skakać, pisać zaczęły. Poeta mówi, że myśl tego starca także tańczyła. Puścił przeto maski do dworu, — otworzył drzwi przed mordercami. — Zwycięzki Wacław wraca w nocy do domu żony; teść został jeszcze na pobojowisku, żeby, jako mówił: *dojrzyć objażdżki*“ — „a jutro skoro świt, brzęknę wam na dobry dzień witaném kopytem.“ — Powrót *Wacława* jest jednym z najcudowniejszych ustępów tej zachwycającej, czarującej powieści:

Powstał z pośpiechem Wacław, i dawnym zwyczajem

Ucisnął starą rękę — co jemu nawzajem
 Szorstkie, silne, lecz szczére oddała ściśnienie;
 I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzew cienie —
 A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy —
 O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieżyl
 Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
 Twarz ogromna xiężycą, ma lutka się dwoi.
 O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanęj
 Lecieć z stęsknioném sercem do swojej kochanęj!
 I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią;
 I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!

Wtedy to słodkie tony brzmiące przerywanie
 Śpiew słowika, szmer wody i zab skrzekotanie
 W dzikięj, tęsknej, i żywěj i tkliwěj muzyce,
 Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
 Wtedy to luby zapach co z kwiatów ulata,
 Lekkiem tchnieniem rozkoszy mgłę trosków odmiata,
 I dusza rozjaśniona, jakby wyście miała
 W niebiosą swego twórcy, z kajdan swego ciała:
 Wtedy matka natura — wszystko z człkiem dzieli;
 I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli:
 Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
 W pyszném spojrzeniu dobroć, w ustach przeba-
 czenie.

Ta noc, ten księżyc, to zwycięstwo nad Tata-
 rami, to uściśnienie starego Miecznika, to du-
 manie w takiej porze, w takiej pewności czy-
 telnika, że rycerz w domu trunę i pogrzeb za-
 stanie, — ileż w tém wszystkiém smutku? Co tu
 żalości, — a najbardziej ile efektu malarskiego,
 dramatycznego, poetyckiego!!

I tak to leciał Wacław — błogi, gdyby nagle
 Piorun rozdarł w téj chwili jego życia zagłę,
 Boby nim wichur świata miotać nie był w sile,
 Chybaby szumiął wściekły po zimnej mogile.
 I tak to mijał stepy — lecz świetne marzenie,
 Co niém émi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
 Oh! zbyt krótkie! Jak widmo staje przypomnienie;
 I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
 Szepczą dreszcz i niepokój zgromadzone maryl

10

kobietę w żalobnej odzieży. Owa postać dwuznaczna uwiadomia rycerza o tem co się stało.

Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakaném?
 Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
 Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
 Niewiem — objął rycerza i w cwał poleciał.

Taka jest powieść Malczeskiego o podniosłym Wojewodzie, o pięknej Maryi i zacnym starym Mieczniku. Ze względu mistrzowskiego prowadzenia rzeczy porównałby ją można z sztuką jaką doskonałego mechanika, gdzie się wszystko odbywa skutkiem poruszeń niewidzialnych kółek, żelazek, sprężyn. Umieściłem to poema na czele nowszych dzieł ojczystej poezyi, nie izby w mniemaniu mojem przodek przed nimi trzymało, — bo taki sąd byłby z wielu miar płochy i nieopatrny, bo każde dzieło uważać trzeba jako oddzielną całość, i cenić bez naciągania; ale szczególnie z téj przyczyny, że to jest twór młodego poety, który już zeszedł z tego świata, a którego geniuszu dawniejsza krytyka recenzentów stolicy nie pojmowała. Mógłbym właściwiej postąpić sobie? Nikomu wreszcie nie narzucam tego zdania, sądzę jednak, że niemasz dzieła w dzisiejszej poetyckiej literaturze polskiej, któreby tę powieść Malczeskiego przechodziło bądź wielkością układu, bądź ustawicznością ducha, bądź nako-

niec umiejętną, szykowną zręcznością prawdziwie artystowskiej *expozycji*. — Nie liczny był poczet osób, składających żalobny orszak na pogrzebie *Malczeskiego*. Nie mówiono wtenczas: „umarł wielki poeta.“ Przyjaciele żalowali tylko przyjaciela, — geniusz przemknął się nieznanym, jak cień bez szelestu! Połóżmy mu teraz na ustroniu kamień z skromnym napisem: „*autorowi Maryi*.“

Dzieła innych poetów polskich ledwo, nie jednozgodnie ceni światlejsza publiczność; we wszystkich znajdują się ręku. Krócej też o nich mówić będę. Dwa szczególnie charaktery wyraźniej przebijają się w systemie tych nowych tworów poetyckich. Z jednej strony malownictwo historyczne, kształty, figury, grupy, obyczaje, zdarzenia. Poezya ta zajmuje całą przestrzeń, na którą padł, i rozpostarł się cień minionych czasów. Z drugiej zaś strony: wewnętrzny duch, i uniesienie myśli. Tamtę nazywam poezją realną, *objektową*; tę poezją duszy. Pod tym dwoistym względem uważać można usposobienie każdego niemal z dzisiejszych poetów polskich. Te oba dwa charaktery mniej więcej wydatne, postrzegać się dają w dziełach *Adama Mickiewicza*, i *Józefa Bohdana Zaleskiego*; toż samo w poezyi *Woronicza*, *Seweryna Goszczyńskiego*,

i *Kaz. Brodzińskiego*, — toż samo u każdego poety.

Atoli te dwa najogólniejsze i najpowszechniejsze względy teoryi, bynajmniej nie zacierają różnicy zachodzącej między artystami, ani pierwotnej ich dzieł właściwości. Niechaj także nikt nie mniema opaczniem rozumieniem moich wyrazów, jakobym cheiał ustanawiać dwie odrębne szkoły. Daleki jestem od tego. Jakkolwiek ów rozdział wielkie zajmuje przestwory, bo w jednym mieści się świat zewnętrzny z punktu przeszłości i teraźniejszości, z punktu historycznego, — *poezya obiektywna*, postaciowa, *plastyczna*, *realna*; — a w drugim cały świat duszy, świat poezyi *psychycznej*, zdaje mi się jednak, że drogi genialnych talentów są i mogą być jeszcze liczniejsze, i nigdy nie zbadane; że natchnienie poety może być daleko rozmaitsze. Naprzód to wszystko przewidzieć i określić filozoficznemi *definicjami*, albo dyalektycznemi *formułami* w mojej mocy nie jest! W sztuce niemasz nic *konwencyonalnego*. Niemasz na świecie żadnego w tym względzie prawodawstwa, żadnych przepisów *a priori*, czy *a posteriori*; żadnej szkoły, żadnej teoryi. Są to wszystko wymysły krytyki teńnięj obskurantyzmem estetycznym. Jak białość wzrok ludzki rozbija, tak się na drobne atomy rozbijają wrażenia, kiedy

je ujmimy w zimny opis, albo podciągniemy pod naukowe pojęcie. Dzielić co jest jedném tchnieniem, rozrywać co tylko w duchu żyje, możesz być co niepoetyczniejszego, a nawet i mniej filozoficznego? Wyobrażenie z teoretycznych wyciągnięte rozumowań jest stateczne, nieruchome i nieodmienne; a sztuka ustawnie w ruchu, w życiu, w odmianach! Płyn powietrzny oblewający ziemiokrąg nie jest tak powiewny, ruchomy, i tak swobodnie na wszystkie strony się nie roznosi, jak myśl poety. Misterstwo jego przyrównałby można do instrumentu wydającego niepoliczone dźwięki, — od ptasiego świągotania do łoskotu burzy, od cichych westchnień do ogromienia i zgrozy. Jest to w rzeczy samej instrument nieskończoności. Chcielibyście wynaleść abecadło i grammatykę dla poezyi, albo naukę rytmu i melodyi, teorię kombinacji dla tonów, którym nigdy i miary i końca nie będzie? Umarłego poetę trudno sprawiedliwie ocenić, albo wtenczas, kiedy moc jego za życia zemdleje w złodowiałej starości. A cóż dopiero żywego sztukmistrza, w sile wieku i pełności lat męskich!! Czyż niema on prawa zawołać na swego krytyka: — „nie zakresłaj mi sfery, nie opisuj mnie, jakobym się w pewnej zachował mierze, nie mów, że jestem taki, a nie inny, bo się omylisz!“ — Chcieć uczynić charakterystykę ta-

kiego poety, a pisać na bieżącej wodzie, to prawie wszystko jedno. Jak litery na piasku rozsuwają się, jak się rozplywają w wodzie, jako się dźwięk na powietrzu rozprasza, tak są marne, tak znikome pojęcia krytyki, stawiającej karciane pałacyki teorii, i chcącej samowładnie podług wyobrażeń téj teorii panować w udzielnéj krainie sztukmistrzów. — Potrzebna jest filozoficzna teoria kunsztu, całe jednak inną powinność sprawuje! Mając sobie dane pewne systema dzieł poetyckich rozważa ich charakter, wdzięk, moc, sworność, przywary i usterki; rozważa to wszystko z pewnych względów, wśród pewnych okoliczności, ale nie w celu wyciągnięcia z tego prawideł empirycznych, któreby rządziły natchnieniem innych poetów. *Rządzić natchnieniem!* Jakaż w tém sprzeczność i niezgoda! *Poezya wzorowa!* jak pospolicie u nas mówią. Jakże omylną myśl zawiera to wysłowienie! Myśl pewnej modły i linii dla talentu, myśl naśladowstwa; bo co tylko jest *wzorowe*, już tém samém ma być naśladowane. Myśl zabijającą pierwotne zdolności, szkodliwą dla najpiękniejszych usposobień! Kto powie poezya *wzorowa*, już tém samém okazuje, iż nie rozumie co jest poezya. Nie masz poezyi wzorowej. Jest szkoła, ale dla krytyków nie dla poetów; dla miłośników sztuki, nie dla sztukmistrzów; dla czytelników,

nie dla pisarzy. — Wchodząc do gabinetu naturalnego widzimy rozmaite podziały, karteczki, napisy, exemplarze wypchane słomą, puchem, śmieciami, plewą, — całe widzimy systema zoologiczne, ornitograficzne, anatomiczne, skielety, kościotrupy: — czyż natura podziałała to wszystko wedle teoryi, systematu i działu akademicznego? Takim gabinetem martwych istot, taką biblioteką nieżywych *exemplarzy*, byłyby księgi estetyków, nieznających swego powołania.

Wytknieniem dwóch wzmiankowanych charakterów nie ograniczam imaginacyi, ani po dyktatorsku narzucam się za nauczyciela i mistrza artystom, rodakom moim. Podział ten służy mi tylko do *wykreślenia idealnej*, że tak powiem *architektoniki efektów poetyckich* w systemie ogólnym teraźniejszej artystowskiej literatury polskiej, uważanej we względzie filozoficznym *reflexyi* myślącego narodu. Dwa są pierwiastki, niejako dwa *atomy* poezyi: *realizm* i *duch*. Tam rzeczy zewnętrzne, natura, społeczność, historia; tu myśl, *idea*. Albo poeta o własnej zapomina *indywidualności*, o swęj jednostce, o swojém „ja,” i odjawszy się samemu sobie, wszystkę chęć swoją i starania kładzie w to jedynie, ażeby twory jego miały tę rzeczywistość, tę prawdziwość, tę realność niezgruntowaną, to istnienie odrębne i niezależne

jakie mają twory w przyrodzeniu; albo samego siebie z uczuć swoich i istoty jestestwa swego snuje, wynurza i jest zawsze samym sobą. W pierwszym przypadku poeta jest *realny*. w drugim *idealny*. Częstość bydź może i *realny i idealny* zarazem. Wszelki *realizm* zmierzają do postaci, do form statecznych, determinowanych, określonych, widomych. Taka jest poezja historyczna. Takim poetą jest *Szekspir, Gęte, Bohdan Zaleski*. Ich jednostka, ich *indywidualność* rozprasza się, niknie, ginie w ich utworach. Sztukmistrz kryje się i chowa w swoim dziele tak że nikt nie wie: kto on jest, jakie jego uczucia, jaka myśl, jakie zdanie? Nikt nawet tego zgadnąć nie może! — Któż naprzykład wyrozumie *indywidualny* charakter *Szeks-pira*, jako człowieka, z charakteru i roli *Hamleta*, który wszystkie postęпки i mowy swoje za-farbował myślą i chęcią wiecznego zatracenia duszy stryja, — *Hamleta* którego loika bardziej przeraża, niżeli zbrodnia króla, który jest potworem mimo całej mądrości i filozofii swojej! Któż tego samego *Szeks-pira* wyrozumie z charakteru Julii, albo Ofelii! Taki poeta nie ma *excentrycznego* punktu za granicami świata i natury, z którego by na nią patrzył, a potem mędrkował, filozofował; ale jest umieszczon wewnątrz niej samej. Nie zbliża się ku niej *reflexyą*, rozu-

mówianiem, ale w niej żyje, — jej życiem żyją
 jego twory. To rozumiem przez *realizm* poetycki.
 Wyrazy *postaciowy*, *realny*, *snycerski*, *plastyczny*,
rzeczywisty w jedném znaczeniu używam. Przeci-
 wnie poeta filozofujący, rozumujący, idealista,
samego siebie zawsze przed oczy nasze stawia,
 i wszystko tynkuje farbą swęj *indywidualności*,
 wszystko ciągnie do swęj *jednostki*, do swego
 „ja.“ Takim poeta jest *Bayron*, *Jan Jakób Rus-
 so*, *Szytler*, *Mickiewicz*. Ich poezya *subjekto-
 wa*; ich kształty mniej określone, coraz bardziej
 oddalają się od *statuy*, od posagu, i rozwie-
 dają w nie przed obliczem naszém, jak duchy
 na chwilę jawiące się w cielesnej postaci, jak
 niknące cienie. Wszystko u nich zmierza do
tonu, do muzykalności. Muzyka służy ich *fanta-
 zyi*, tak jak *figury* marmurowe poetyckiemu słu-
 żą realizmowi. Muzykalne jest misterstwo poe-
 tów filozofujących, dumających. — Krytyka filo-
 zoficzna powinna oznaczyć jaki zachodzi stosu-
 nek w systemie poetyckiej literatury, między tym
realizmem i idealizmem, między *muzykalnością i*
snycerstwem, między *śpiewem* i foremną *posta-
 cią*, *kształtem*, temi ostatecznemi kończynami
 poetyckiego świata. Wszystko to widzieć trzeba
 z punktu optycznego fantazyi, — i z tego pun-

ktu wykreślać linie architektoniki poetyckich efektów.

Podróźni opisują napowietrzne omamienia w Egipcie i na pustyni libijskiej. Sławne są te fenomena! Bywa nieraz w Egipcie, że zrana i ku wieczorowi za wzniesieniem się lub zejściem słońca dalekie płaszczyzny, wiejskie osady, cały krajobraz na około inny kształt, niżeli zwykle, przybiera. Okolica wydaje się natenczas jak obszerne jezioro, — wioski zdają się być wyspami. Płyn szklany, przezroczysty widokres oblewa, gdzie się rzeczy ziemskie dwoją, troją. Po kilka godzin trwa to jawisko. — Czyż duch ludzki na swoim widokresie, w swoim powietrzkokręgu, takich widzeń nie miewa? — Czyż w téj optyce *fantazyi* nie postrzegamy niekiedy tego wszystkiego co się koło nas dzieje w naturze, w społeczności? A poeta liryk, melancholijny rozmyślacz, filozof czyż nie mami nas, nie zachwyca tą czarodziejską, napowietrzną, albo gdy wzrok swój obróci w przeciwną stronę, to i podziemną władzą fantazyi naszego ducha? Znam takiego poetę, rodaka. Znamy go wszyscy. Przebiegnę jego powieść smutniejszą jeszcze i boleśniej rozzdzierającą duszę, niżeli *Marya* Malczeskiego. — Nie wiedzieć gdzie się to działo; na tém też nic nie zależy. Pustelnik, xiądz, dzieci, — otóż osoby, którym

autor porучył główne role. Niepoczesny, cichy domek na wiejskiem ustroniu, — to scena jego poematu. Nie jest to jednak sielanka. Pozbierawszy rozrzucone ulamki tego utworu, możnaby je złożyć w całość dość naturalną, prostą. Młodzieniec tkliwy, namiętny, z żywą, ognistą imaginacją, — piękna kobieta, lecz próżna, wietrznica, bo komu innemu swą rękę oddała, blask i mienie przenosząc nad szczęście kochanki, — w końcu rozpacz, samobójstwo, skutki zawiedzionej, płomienistej miłości: — taka jest treść czwartej części *Dziadów*. A zatem także rozerwanie świętych związków, choć nie ślubowanych przed ołtarzem, i także, jak w *Maryi*, zgwałcenie praw natury. Tę rzecz związał poeta z obrządkiem sięgającym pogańskich czasów, który pospólstwo wielu okolic Litwy, Prus i Kurlandyi obchodziło potajemnie na dniu zadusznym ku czci zmarłych, w pustkach, kaplicach, zrujnowanych cerkwiach. — Uroczystość ta zależała na przyzywaniu duchów. Guślarz, czyli gęślarz sprawował czarnoksiężki obowiązek. Ściągnięte rotą wyrzeczonego przezeń zaklęcia, po zawarciu drzwi i okien, jawiły się widma, kaźnią niepokoju dręczone, obłędne w hierarchii bezcielesnych jestestw duchy między niebem i ziemią, których cierpieniom za przeszłe winy na świecie, skoro ani modlitwa, ani ofiarowane nie pomagały przysmaki, wówczas spraw-

ca obrzędu odganiał je krzyżem pańskim w imie Ojca, Syna, Ducha. Na taką uroczystość przybył także ów nieszczęśliwy młodzian, który sobie z rozpaczcy życie odjął, któremu z tajemnych zrządzeń przypadło, żeby rokrocznie wstawał z grobu i ponawiał na sobie wykonaną zbrodnię. Myśl poetycka! Ale tylko wielki poeta w tym wieku niedowiarstwa i wstępu od zabobonów mógł osnuć poema na takim cząstku starych podań łatwo-wierniej prostoty. Nikt piękniejszego od czasów *Julii Szekspira* nie skreślił obrazu! Nikt z współczesnych Mickiewicza nie przemówił namiętniejszym, ognistszym językiem miłości; nikt mocniejszym urokiem nie zaczarował i nie podbił pod posłuszeństwo poetyckiej wiary rozumu i imaginacyi swoich czytelników!! — Ta czwarta część *Dziadów* jest właściwie drugą częścią i dokończeniem *Wertera* Getego. Bo takim jak ów upiór z rozdartą piersią, jak ów obłąkany pustelnik w mieszkaniu xiędza, niegdyś swego nauczyciela, z tą rozpaczą na duszy, z tą boleścią na sercu, z tém melanholijsm, pochmur-ném, fantastykiem wejrzeniem na przeszłość i naturę, nie kto inny mógłby bydz tylko kochanek *Karoliny* wywołany z grobu, — jeżeli rozciągnawszy nie cierpien tego zapaleńca wystawic sobie zdołamy; jakby mówił, czuł, rozmyślał, i dumał po śmierci. —

„Z męską godnością niech się uśmiecha Polak“ — tak pisze *Kaz. Brodziński* w swoim Pamiętniku, — „gdy mieszkaniec Tybru, albo Sekwany, twardym jego język nazywa. Z wewnętrzną przyjemnością, z powagą dojrzałego męzowi przyzwoitą niech słucha cudzoziemca, gdy się nad jego wyrazami, jak niewieściuch nad podniesieniem starożytnej zbroi mocuje, gdy języka jego, jak dziecię, pieściwie wymawiać się uczy.“ — A dalej: — „póki męstwo w narodzie nie wygaśnie, póki obyczaje nie znikczemnieją, póty nie zapierajmy się owój twardości języka. Ma on i w niej swoją harmonię, swoją śpiewność, ale jestto szum odwiecznego rozłożystego dębu, nie poświst chwastu, który za każdym polotem wiatru zgina się, lub łamie, i cienkim tylko odgłosem jęczenia wydaje.“ — To postrzeżenie we względzie języka polskiego odnieśmy do *Grażyny*. Nigdzie bowiem właściwszego przy stosowania mieć nie może. Twardy jest styl tej powieści jak żelazna zbroja, chropowaty jak chrzęst tej zbroi, kiedy nią silne potrzęsają ramiona, ostry jak na starych obrazach fizyonomie rycerzy, a tak dziki i malarski, jak były dzikie i leśne serca męzów pogańskiej jeszcze Litwy, i pancernych mnichów co ich chrzcili i mordowali. Naśladowca tej mowy harmonia, strojnój własnym wdziękiem myśl czytelnika obraca ku owym czasom, kiedy

się dzieć miała rzecz poematu; stawia nas niejako wśród ludu *Litawora* i oprowadza po wewnętrznych jego zamku komnatach. Jestże co pierwotowniejszego w systemie poetyckiej naszej literatury, albo coby ściślej spowinowaczone było z daleką przeszłością, której echo tak donośnie, tak wyraźnie grzmi, brzmi, odbija się w samém wyśłowieniu? — Koloryt stylu, namietności, uczuć w czwartej części *Dziadów* jest pośmiertny, jakby zafarbowany tynkiem myśli namietnego wywołańca grobów, tułacza martwych krain. Jest to styl rozpamiętywań upiora, a styl *Grażyny* naksztalt rdzy pokrywającej sprzęt rycerski starego wieku. Jeżeli przypuścimy, że pewna równość zachodzi między poezją i sztuką artysty, — między *realizmem* i *idealnością*, (co zdaniem mojem nie podpada zaprzeczeniu), rzeczy można, zawsze jednak z bacznyim względem na właściwe znaczenie tych wyrazów: jakoby czwarta część *Dziadów* była tworem poety, a *Grażyna* tworem obrazowego sztukmistrza. — Przynajmniej wielka zgodność wykładu kunsztownego z treścią, zgodność i tosamność kolorytu z wewnętrzną istotą rzeczy, w jednym i drugim przypadku zdają się popierać to mniemanie, i upoważniać do takiego sądu.

Te są dwa, zdaniem mojem najpiękniejsze twory *Mickiewicza*, w których poetycki i artystowski talent tego wielkiego sztukmistrza najokazaliej zajaśniał. Mniemanie powszechnie przyznało pierwszeństwo przed niemi *Wallenrodowi*. Ja inaczej sądzę. Czyń wspaniałomyślny pięknej Litewki jest rzeczą poematu *Grażyna*; zaś rzeczą poematu *Konrad Wallenrod* jest szlachetne przedsięwzięcie i niemniej wspaniałomyślne poświęcenie się dzielnego Litwina. „Wiesć prawdziwa jak rachunek a dziwna jak mara.“ *Wallenrod* służył Litwie obludą, złamaniem wiary, utratą części. Lecz po odcięciu głębokiego i politycznego w tém rozumienia, poema *Konrad Wallenrod* cząstkowo, ułamkami śliczne i czarujące, w rozwinięciu jednak swojem, jako twór sztukmistrza, i we względzie artystowskim, całością organiczną, poetycką nie jest. Pisząc to nie lada zapewne materią wzruszam; wiem jaki tém zgilek rozniecę wielbicieli *Wallenroda*. Wszakże każdy wypowiedzieć powinien co czuje, co myśli, głowy swojej nigdy niepoddając pod posłuszeństwo choćby nawet powszechniej opinii. Moje zaś rozumienie w tym względzie jest takie: że w układzie *Wallenroda* rozciąglem, głębokim, śmiałym, przechodzącym miarę zwykłych przedsięwzięć poetyckich, nie masz wewnętrznej zgody i harmonii

między częściami, między massami ogólnej *Konstrukcyi* poematu. Rzecz dobrze pomyślana i w początkach rozpozarta daleko, chromieje, słabnie w dalszym wywodzie. *Mickiewicz* nie zrealizował wielkiego planu, nie rozwinął i nie wyczerpnął *idei* swego poematu. Między charakterem *Wallenroda*, między scenami, gdzie się ten charakter najjawniej wyraża, a *expozycją* głównej jego sprawy, zachodzi widoczny, uderzający *niestosunek*, — taki sam jaki często-kroć postrzegamy w niedokończonym gmachu genialnego architekty, kiedy myśl i staranie swoje w to położywszy, żeby ustroić front całym przepychem swój sztuki, resztę budowli jak może najskwapliwiej, naprędce przyrządza, żeby jakotako przypadła do miary z głównym efektem do przodu. Wielka także zachodzi *dysproporcya* między częścią *genetyczną* poematu, to jest, między tą częścią gdzie się rzecz przed naszymi dzieje oczyma, a częścią opisową, *narracyjną*. Wojna zakonu z Litwą w porównaniu z tém co ją poprzedza, prędkiej króczy odprawiona niżeli plan dzieła wymagał, widocznie skutek osłabia. Czemuż nie widzimy *Wallenroda* w namiocie z Halbanem? Porozumiewanie się, znoszenie z *Witoldem*, tak ważne, i tak zajmujące, w obręb poematu prawie nie wchodzi. *Waller Skot* porównywa bieg po-

wieści z rosnącą chyżością kamienia, gdy na dół z stromego spada pagórka. Z początku wszelkie mija przeszkody, następnie coraz prędzej się toczy; na wpół drogi i ku końcowi spadku warcząc z łoskotem; a gdy już ma stanąć u kresu natenczas z niewypowiedzianą leci szybkością. Ale ruch, bieg powieści w *Wallenrodzie* nie zdaje się byż tym kształtem uregulowany. Jest to rzeka nie wszędzie spławna, nie wszędzie zagłówną linię mająca; nurt jęj niestały, zawodny; chyżość strumienia nie jednaka. Tu wielki rozlew, wezbranie z brzegów, gdzieindziej wązkie i coraz węższe koryto, tak że je pieszy wędrowiec żartkim przebędzie skokiem. I na mieliznach nie zbywa! — Te zarzuty dotyczą ekonomii wewnętrznej poematu. Ale sam *bohater* powieści daleko większemu podlega zarzutowi. Któżby dał temu wiarę? Wszakci ten *Wallenrod*, ten rycerski krzyżak, pogromca zakonu, jest przecie zakochanym czwartęj części *Dziadów* upiorem! Ta sama miłość, ten sam koloryt namiętności, ledwo nie też same wyrażenie.:

„Bóg mię oświecił, (*) ja powracam z Litwy,

Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,

Kowieński zamek, już tylko ruiny;

Odwracam oczy przelatuje cwałem,

Biegę do owęj, do naszej doliny,

(*) Mówi Konrad do pustelnicy.

[†] Wszystko jak dawniej! też laski, te kwiaty;
Wszystko jak było owego wieczora
 Gdyśmy dolinę żegnali przed laty;
 Ach! mnie się zdało, że to było wczora!
 Kamień! pamiętasz ów kamień wyniosły,
 Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
 Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły,
 Ledwie go dostrzegł, osłoniiony zieleń,
 Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami;
 Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
 Lubiałś spocząć między jaworami;
 Źródło, gdzie szukał dla ciebie napoju;
 Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził.
 Nawet twój mały chłodnik zostawiono,
 Com go suchemi wierzbami ogrodził,
 Te suche wierzby, jaki cud Aldono!
 Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,
 Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa
 I liście w nich wiosenne powiewa,
 I młodych kwiatków unoszą się puchy.
 Ach! na ten widok pociecha nieznana,
 Przeczucie szczęścia serce ożywiło;
 Całując wierzby padłem na kolana;
 Boże mój rzekłem, oby się spełniło!
 Obyśmy w strony ojczyste wróceni,
 Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
 Odżyli znowu; niech i naszą dolę
 Znowu nadziei listek zazieleni.

Wszystkoc to prześliczne, nie przeczę, i ów
 kamień, i ta wierzba, i te kwiatki i listki, i pu-
 chy! Ale jak się źle wydaje u *Wallenroda* ta

pieściwość rozpamiętywać, ta poezya pamiątek!!
 w owym wieku tak poetyckim, lecz poezją *ży-*
cia, poezją rzeczywistości, a nie poezją tkli-
 wych, *sentymentalnych* wspomnień!... Dopie-
 ro kiedy społeczność, wychodząc z czasu fantas-
 tyckiego, lodowacieje powoli starością rozumu,
 kiedy rozum jasnością swoją, swojém mędrko-
 waniem i rachmistrzowstwem wszystko odcza-
 ruje co się koło nas dzieje, co się nawet działo
 w przeszłych czasach, kiedy rozbije urok każde-
 go omamienia, każdego uczucia, imaginacyi, za-
 palu, uniesienia, dopiero natenczas, w tój epoce
 doskonałej, zimnej *reflexii*, kiedy drży serce
 nasze, ale od polarnego mrozu, nie z zachwy-
 cenia, — wtenczas dopiero rodzi się poezya
 melancholii, *poezya czwartej części Dziadów*. —
 Pustelnik mówi do księdza:

„Obraz tego rozstania dotąd w myśli stoi
 Pamiętam śród jesieni... przy wieczornym chłodzie
 Jutro miałem wyjechać... błędę po ogrodzie!
 W rozmyślaniu w modlitwach, szukałem tój zbroi,
 Którąbym odciał serce miękkie z przyrodzenia
 I wytrzymał ostatni pocisk jój spojżenia!
 Błądziłem po zaroślach, gdzie mnie oczy niosą.
 Noc była najpiękniejsza! Pamiętam dziś jeszcze:
 Na kilka godzin pierwój wylały się deszcze:
 Cała ziemia kroplistą polyskała rosą.
 Doliny mgła odziewa, jakby morze śniegu;
 Stój strony chmura gruba napędziła lawy,

A z tamtej strony nieżyc przeziął bladawy,
Gwiazdy toną w błękiecie po nocnym obiegu:
Spojrzę jak raz nademną świeci gwiazdka wschodnia,
O, znam ją odtąd dobrze; witamy się co dnia!
Spojrzę na dół... na szpaler... patrz, tam przy altanie,
Ujrzałem ją niespodzianie! i t. d.

Ta miłość, te wyrażenia, te myśli, te widoki natury zachwycają w *Dziadach*; ale wszystko to jest uderzającym *anachronizmem* w Wallenrodzie. Rzecz jego nieprzypada w te czasy, i jego charakter z taką miłością żadną nie rymuje miarą... Ta, że tak powiem *modernizacya* pojęć i *kolorytu* stawia w fałszywym świetle bohatera poematu, samą rzecz przyczyniając *nieforemności*, bezkształtności. Wreszcie, już to jest *maniera* sentymentalna, z której, przy częstym jeszcze używaniu, i wznawianiu tego co się raz rzekło, łatwo wykształciłyby się mogły pewne jeremiady tklivych westehnień, i pewna rutyna miłości. Tak samo *Ros-syni grandioso* swoje nieraz rozprasza częstem powtarzaniem spowszedniałej w orkiestrze pieściwości.

Krótko mówiąc: cały romans Alfa i Aldony zły skutek czyni w tém poemacie. Aldona nawet ku końcowi stroi zaloty niegodne pustelnicy. Wy-mawiając kochankowi, który ją chciał unieść do Litwy, powiada: ja się „zestarzałam, zbrzydłam...

Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy, jój zgasła
 zrenica, jój twarzy bladość, nie kazi w pamięci
 twojej oblicza pięknej kiedyś *Aldony*. I cie-
 bie także niechce widzieć z bliska, — *daruj*
mój kochany, że ci to mówię, ale i ty może
 dzisiaj już nie jesteś taki, jakim bywałeś przed
 laty, Alfi nam lepiej zostać takimi jakimi
 dawniej byliśmy.“ — *Aldona* nie chce paść
 z uniesieniem w ramiona *Alfa*, — czegoż chce?
 oto chce go tylko widzieć żywym, co wieczora
 z nim rozmawiać: osładzać chce tym sposobem
 wszystkie cierpienia. „Staraj się“ — mówi, —
 „częściel i raniel przychodzić.“ — Co większa
Aldona chciałaby mieć nietylko *Alfa*, ale całą Litwę
 w miniaturze około swój wieży:

„Gdybyś, — posłuchaj — w około równiny;

Chłodnik podobny owemu zasadził,

I twoje wierzby kochane sprowadził,

I kwiaty, nawet ów kamień z doliny;

Niech czasem działki z pobliskiego siola,

Bawią się między ojczystymi drzewy,

Ojczyste w wianek uplatają zioła,

Niechaj litewskie powtarzają śpiewy. i t. d.

Toż samo słowo w słowo, co w szwajcar-
 skięj familii *Weygla!!* — Czyż nie wpadło
 w myśl *Mickiewiczowi*, że to wszystko
 jest drobne, małe, że to *afektacya* i ledwo nie
 takie same wydwarzanie, jakim mieszkańcy

miast tęschnią do pięknej za miastem natury? — Czegoż żąda *Alf*, gdy mu się nie udało przełamać uporcu *Aldony*? Oto przynajmniej na pamiątkę „gałązki z wieży“, a ponieważ na wieży kwiaty nierosną, to przynajmniej nitki z odzieży, albo z warkocza zawiązki, albo wreszcie kamyczka z muru!“ — W te śmieszności, dzieciństwa wpadł wielki artysta, myślący sztukmistrz! Jakże to wszystko osłabiło wdzięk tego poematu! I leż w tém wszystkim psychologicznej i poetyckiej nieprawdy! — I tenże to *Wallenrod*, pomyśliłem sobie, ten *Alf* pierwszej sceny wielki, straszny, — którego włos posiłwiał za młodu, który w samotności grób myśli swoich gorącym roztwierał napojem, który jednego razu winem i wieścią barda rozpalony, odśpiewał wrogom złowieszczą balladę?

Wytrysk ognistego ducha, strumień najczystszego uniesienia, najwyższa liryczna inspiracya, płomień miłości, — to czwarta część *Dziadów Adama Mickiewicza*! Doskonałe malownictwo historyczne, najpiękniejszy *realizm* poetycki, i artystowski, prawdziwe objawienie przeszłości, to *Grażyna*! Mozajkowa robota poety nie umiającego wyjść myślą i duszą z swojej *indywidualności*, z swjej jednostki, nie umiającego odjąć się samemu sobie dla rzeczy, i stworzyć świat oddzielny, odrębny za granicą swego ducha, —

to poema *Konrad Wallenrod*! Jedno z największych dzieł literatury naszój, choć się tylko z pięknych *fragmentów* składa, i zarazem przykład jawnie, jaśnie pokazujący jak trudno sztukmistrzowi indywidualnemu, *subiektywnemu* przebieść się z swój idealnej sfery w sferę wielkiego poetyckiego *realizmu*. — Inne poezye Mickiewicza np. *Sonetów Krymskie*, *Farys* noszą na sobie cechę obcego klimatu. — Jest to wielowiedztwo geniuszu, i niejako akklimatyzacya fantazyi z pod cudzego nieba w ojczystej literaturze pewną *uniwersalnością* ducha, i *erudycją* poety.

Rozpostarł się, i mistrzuje pierwiastek indywidualny w pismach Mickiewicza. To „ja” samego poety wszędzie się przebija, wszystkiemu swojej użyczając właściwości. Myśl jego wewnętrzna, samotna, wielka, melancholijna jest jego ogniskiem i gwiazdą na firmamencie jego poezyi; — jest jego i żywiołem i światem gdzie duch twórczy zamieszkał, gdzie się bezprzestannie objawia, wszystko z siebie snując, jako pajak wiję z siebie pajęczynę. Cokolwiek koło siebie postrzeże w naturze widomiej, w społeczności, w historyi, to wszystko ku sobie odnosi, i farbą swego geniuszu, swój jednostki tynkuje. Jest to poeta rozmyślnacz, mąż namiętny, liryk z daru i użyczynia nieba, filozof własnego serca. Zawsze дума i marzy, i miewa swoje widzenia.

W jednej tylko *Grażynie* o sobie zapominał. — Przeciwnie J. B. *Zaleski*! W jego pismach oba — dwa te poezyi atomy, idealizm i realizm, duch i materya, muzyka i figury, fantazyja i rozmyśl artystowski, dumanie i *res statuaria* snycerstwo, śpiew i kształt, w większej z sobą zgodzie, w większej harmonii zostają; toż zdają się być pod równiejszą niejako i miarą i wagą rozdzielone. Częścią w zamyśle samotnym i tęsknocie, częścią jest w rzeczywistości. To górnemi wzlatuje pojęciami, to wyobraża, kształci. Jego postacie rzeskie, sztywne, żywe, żwawe, poskokczne mile w oko wpadają. Zwykle w jasne przyodziewa je szaty. Taki jego stary myśliwiec, takie kozactwo, tacy rycerze dum ukraińskich! Czasem excentryczny, po za krańcami prawdziwego świata w idealnej krainie; to znowu wewnątrz natury, w społeczeństwie i w historii, jak tamta naiwny i szczery, jak ta prawdziwy i realny. Żartkiego dowcipu, bystry, przenikliwy: myśl ma prędką jak widzenie, i pochmurną i wesołą. Oko tego wieszczu nie zawždy łąza smutku zroszone, żywiej promieni, raźniej, jaśniej, dalej widzi. I śmieje się i płacze naprzemiennie. Imaginacya *Zaleskiego* szklana, czysta, jak błękitna wód powierzchnia, a fantazyja różnobarwna, różnolicowa, mieniona jak gra kolorów i ziemskie na obłokach malowidła ku schyłkowi dnia jasnego, — albo jak farby tęczy

na tle ruchomém w powietrzo-kręgu, szerokim łukiem zbiegającej gdy deszczowe rzeda chmury. Taka właściwość, ten charakter poezyi autora *Rusalek*! Przecinają się tu, że tak rzekę, dwa wielkie koła, jednakiój średnicy, dwie sfery, — *realna i idealna*. Jeżeli z miary wychodzi i równego tych mass podziału, to bardziej i częściej ku stronie *realizmu*. W tém największa sformość i energia ducha tego młodego poety. Nie bez słusznej więc przyczyny zowie-my go wieszczem minionych wieków, poetą *zgastych plemion*, ponieważ ich postacie i głosy rozciąglił tonami swojej arfy z zapadłego wywołuje zmierzchu. Sam ten sztukmistrz dla własnego tylko użytku narządził owe muzykalne, dzwieczne naczynie, i swojej roboty strunami takowe nawiązał. Nikt bowiem tak jak on nie zagra na jego instrumencie. Darmoby się na to kto siłił, i wielkim zdobywał dowcipem: — jako niegdyś żaden dworzanin, żaden zalotnik wdowiejącej Penelopy nie zdołał napiąć starego łuku króla Itaki, i w cel strzalał ugodzić, choć i piękna kobieta, i udzielna wyspa na morzu były nagrodą tego strzału. — Z téj przyczyny tak źle się wydaje co bądź naśladowcy *Zaleskiego* jego miarą, w jego duchu napisać chcieli. Te są cechy ogólne. — J. B. *Zaleski* nie ogłosił jeszcze zbioru wszystkich pism swoich, nie małe fragmentami orygi-

nalnych poematów, umieszczanemi w dziennikach peryodycznych wzbudziwszy oczekiwanie. *) Wyjątek z Rycerskiego rapsodu, Rusalki, Damian, Mazepa, dumy, fantazy, otoż ledwo nie wszystko co mi się czytać zdarzyło. W tém jednak wyraziły się już charakter i właściwość jego poezyi, a szczególnie poetyckiego stylu. Pod względem nawet zewnętrznego kolorytu, rytmu i mechanizmu, co tylko pisze *Bohdan Zaleski* zdaje się być naksztalt ochotnego ognia w nocnej dobie, kiedy strumień płomienisty nagle, prędko, wysoko strzeliwszy w górę, na tysiączne się rozsypie, rozwieje i bryznie gwiazdy, wieńce, krzyżyki, zygzaki, wstęgi i smugi świetlne. Albo także jestto coś naksztalt zasłony *Rusalek* z rubinowych iskr jutrzeńki. Takie *Czajki*, takie *śpiewające jezioro*!

Toż Czarnomoca w noc na pogoni,
Nuta dniewprowskich dum aż tu dzwoni?
O! nie dniewprowskich nuta to dum
To jakiś srebrny, przeciągły szum,
Luba harmonia tonów tysiąca
Mile niebieskim arfom wtórzająca.
Słodki, czerwony powietrzny brzęk,
Jak owych pieśni huryssek dźwięk;
Co przy dziewicy w letni poranek,
Śniący na kwiatach roi kochanek.

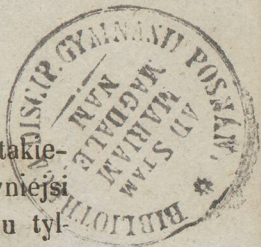
*) Z dzieł tego autora wyszły dotąd:

1. Poezye J. B. Zaleskiego I. Tom in 8. Lwów 1837.
2. Poezye J. B. Zaleskiego I. Tom 12. Paryż 1841.
3. Poezye J. B. Zaleskiego 2. T. 12. Poznań 1842.

Nikt w Polsce nie ma takiego stylu i takiego wyśłowienia. W tém mu najpoprawniejsi klassycy nie zrównali. Sposób pisania jemu tylko właściwy, świetny, mamiący, artystowski, wykończony, brylantowy. Czyż sztuka *Zaleskiego* nie zdaje się być w porządku idealnym efektów dzisiejszej poetyckiej literatury naszej, jakby elementem ruchu, biegu? I tak jest w rzeczy samój. Prędka, wietrzna, powiewna, roznośna, działa mocą sprężyny i wszystko z sobą w tym systemie siłą lotu porywa.

O *Zamku Kaniowskim* Seweryna Goszczyńskiego mówiłem w inném miejscu. (*) Artykuł z tego powodu umieszczony w jedném z pism warszawskich oburzył wielu czytelników. Wzruszono litośnie ramionami, kiedy prawilem o talencie tego znakomitego pisarza. Dotychczas uwłaczają mu niektórych krzywe zdania. Z przywar wyśłowienia, nie wszędzie tak jakby może na rzecz rymotwórczą wypadło, gładko i starownie okrzesanego: z niedbałości w wielu miejscach na czystość i wytwór polszczyzny, wzięto u nas pobudkę do odsądzenia poematu Goszczyńskiego od wszelkiej niemal cześci. Taki sam los, z takich samych pobudek spotkał *Maryę* Malczewskiego. Atoli dostatecznie tego wypowiedzieć nie

(*) W Gaz. Pols. z r. 1829.



możę, jak nieopatrzny jest ten sąd, — tém boleśniejszy, tém nieopatrzniejszy, że narodowej chwale pod tym względem najchlubniejsze wydiera zaszczyty. Przyznaję: Goszczyński niema poprawnej, wytwornej *dykcji* Mickiewicza i Zaleskiego; — ale ma owe rozległe pojęcie, i ten rozmyśl artystowski, tę bujną, płonącą, ognistą fantazyą, która go stawia w równej mierze z obudwoma, wspomnionymi pisarzami. Gdzie się tylko duch wyraża, szanujmy go, poważajmy. Gdzie jest natchnienie poetyckie, tam wnukajmy w treść, w istotę rzeczy, na resztę mniej dbając. — Po wyjściu na widok publiczny *Zamku Kaniowskiego* zlecił przed rokiem Seweryn Goszczyński mojemu staraniu ogłoszenie drukiem swoich *poezji lirycznych*, które teraz dopiero wydane być mogą. Obecnie pracuje on nad nowym poematem: *Polak w Jassyrze*.

Dzienniki peryodyczne dzielą częstokroć na kawałki, co jednym zawodem odbyć trzeba. To samo stało się z moim artykułem o *Zamku Kaniowskim*. Podzielono go na tyle części, że w końcu nikt nie zrozumiał autora. Zresztą i na drukarskich, wykrzywiających istotę rzeczy nie schodzi pomyłkach. Z téj przyczyny umieszczam tu treść *Zamku Kaniowskiego* z małemi odmianami, dla pokazania na oko czytelnikowi, że układ wzmiankowanej powieści dziwny i fanta-

stycki, ma prawdziwe, poetyckie zalety z sprawności w wywodzie i prowadzeniu rzeczy.

Kozak *Nebaba* urodził się w Białozorze na Ukrainie, nie daleko Smiły. Tam pierwsze lata jego młodości upływają. Była to sztuczka zwawa, śmiała, — jak się o nim stary lirnik w tej powieści wyraża. Burzliwe, hajdamackie życie jego zaczyna się od złośliwej pustoty. Trzeba wiedzieć, że była w tej samej wsi dziewczyna, cierpiąca lekkie na umyśle obłąkanie. *Ksenia* wychodziła każdej nocy nad brzeg pięknego, rodzinnego jeziora przeciwko nieziemskiemu kochankowi, rozumiejąc, że na odgłos jej śpiewu przybędzie w postaci ognistego latawca, niby meteoru, przelatującego po jasnym niebie. Wiara w takie duchów z ziemiankami związki była wtenczas dosyć pospolitą na Ukrainie. Łatwo też, jak wiele innych niestworzonych baśni, chwytala się głów zabobonnej prostoty. We wsi wiedzianno o tém. Lecz *Nebaba* nie należał do rzędu łatwowiernych. Przysiękł, i bodaj czy nie założył się, że dyabła na schadzce dostrzeże. Dla własnej więc, i rówieśników rozrywki udaje się o tajemniczój godzinie nad brzeg jeziora, i wmawia w *Ksenię*, jakby był owym kochankiem, za którym tak długo tęskniła. *Ksenia* daje temu wiare; uwierzywszy nie opiera się chęciom

Nebaby. Związek ten tak ściśle zaczęty, trwał zapewne przez czas niemały, póty przynajmniej, że go wyświecił przed wiejską drożyną skutek przynoszący wszędy dziewiczej skromności nie-sławę. Ksenia rozkochała się namiętnie w swoim zwodzicielu. Już na pokątnych nie przestaje schadzkach; ale wiedzona instynktem miłości, silniejszej nad samo obłąkanie, już go i w tłumie rozeznawać i śledzić nawet zaczyna. Ztąd nieznosne dla *Nebaby* od wiejskiej młodzieży przymówki; ztąd dotkliwe uczucie wstydu, ztąd myśl zatarcia śladów występnego czynu i pierwsza zbrodnia. Topi Ksenią. — Dostały mu się od natury: uroda, dowcip, wspaniała ochota do wszystkiego i miłość ojczystych swobód; ale razem tym zaletom przeciwne, nieukrocone namiętności: zawziętość w uprzedzonej myśli, duma, niestatek i burzliwość. Charakter niepospolity, na wpół dziki, gwałtowny. Taki jest bohater tej powieści. Lecz dodać winienem, że wszystkie te sprawy na lat kilka rzecz poematu uprzedzają.

Ksenia jednak nie zginęła. Szczęśliwym trafem prędko z wody wyratowana, powraca do życia; ale zwiększone tym wypadkiem obłąkanie, w pospolitem u gminu rozumieniu nie zostawuje żadnej już wątpliwości co do związków tej kobiety z piekłem. Od tej to chwili można Kse-

nią uważać jaką ofiarę wywołaną do życia dla dręczenia winowajcy najboleśniejszą kazią, to jest: przymileniami obrzydłej kochanki.

Tę topielicę pojął i wystawił autor w duchu miejscowych uprzedzeń. Nic się ważnego nie działo na Ukrainie, czegoby nadzwyczajne nie przepowiedziały jawiska. Bunt ukraiński, który tam zowią *koliszczyzną*, a szczególnież rzeź humańska miały być także nadprzyrodzonymi uprzedzone widziadłami, — między innemi przez dziwną, obłąkaną kobietę, która klaszcząc, huczając, i niezrozumiałe bełkocząc, z rozwianym włosem, w podartej odzieży, jak Sybilla, przebiegała Sioła Ukrainy. *Goszczyński* wplątał w powieść swoją takie mniemanie. Ksenia, jak w początkach swego obłąkania, tak i następnie to po lasach tułała się, to nad brzegami wód na noc całą siadała, myślą napowietrznego goniąc kochanka, z wzrokiem ku niebu na gwiazdy obróconym, wedle wyobrażeń ukraińskiego ludu, jakoby spadające gwiazdy były złemi duchami. Taką ona piosnką wzywa kochanka:

Wyplłyn, wyplłyn z za obłoku!
Po błękitném przeleć niebie!
Ja kochanka wzywam Ciebie!
W lasów ciszy, w nocy mroku,
Ho—hop! ho—hop! wzywam Ciebie, i t. d.

Lecz wróćmy się do osnowy poematu. — Czy to, że *Nebaba* chciał odjąć się niemiłym wspomnieniom, czyli téż, że mu srodze dokuczały przymówki szatańskich miłostek, bądź co bądź ojczyste porzuca siedlisko. Przypadek zaprowadza go do Kaniowa, gdzie męska postać i przymioty zjednały mu najprzód względy u starszych, a potem przełożęństwo nad przydworném koźactwem w zamku starosty kaniowskiego. Tam także młoda dziewczyna *Orlika* pociągnęła ku sobie serce *atamana* Kozaków; bo któryż Kozak nie położył wszystkiego starania, wszystkiój chęci i myśli swojej, żeby się podobać pięknej kobiecie? Ale już to tak przypadało *Nebabie* z przeciwnego losu, że miłość same nieszczęścia, na koniec zginienie przynieść mu miała. — Rządca tego zamku Polak powziął był równą skłonność ku *Orlice*. W nim miał *Nebaba* przemożnego, choć mniej szczęśliwego spółzalnika, ponieważ rzeczywiście *Orlika* uczuć rządcy nie dzieliła. Rzecz poematu zaczyna się od następnego zdarzenia:

Bratu *Orliki* zlecono straż nocną około szubienicy. Według dawnych tamtejszych zwyczajów, gardłem karany bywał z pod czyjego dozoru zginął trup powieszonego winowajcy. Szydłwach zwabiony śpiewem znajomój dziewczyny zbiega z stanowiska w pobliższe zarośle. Tymcza-

sem porywają wisielca z szubienicy, za rozkazem rządcy zamku. W jakim zamiarze? Domyślić się można. Tak więc pan rządcą, umyślonym fortem, dostaje w moc swoje brata jęj, która była przedmiotem i celem jego namiętnej skłonności. Zniewala ją do uczynienia wyboru między śmiercią haniebną brata i prędkim zamęściem. Nie długo wahala się Orlika; nie długo opierała się w samotnej rozmowie życzeniom obrzydłego rządcy. Przyrzekł przebaczyć mniemaną winę bratu, byle na ślubny związek zezwoliła. Przeto zostaje jego żoną dla ocalenia brata. Braterskiemu przywiązaniu poświęca miłość, spokojność, szczęście. W tej okoliczności umieścił autor katastrofę poematu.

Wszystkich zdziwiły tak prędkie zaślubiny rządcy z Orliką, która tego samego dnia jeszcze, przed zachodem słońca umrzećby woląa, niż zostać Polką. — Chłopiec wracając do zamku z torbanem uwiadomił Nebabę o całym zdarzeniu. Oburzył się ataman. Pozostaje mu tylko wzięcie zemsty z wiarołomnej kochanki i szczęśliwego, jak mniemał, *Lacha*; gdyż nie znał skrytego powodu, którym ją rządcą zamku swojej woli posłuszną uczynił. Owcześnie niepokoje, i zawichrzenia wewnętrzne Ukrainy, toż bliskość obozu *Szwaczki*, który przodkował Kanjowskiemu powstańcom, nastęrczały mu do tej zemsty ta-

twą sposobność. Przeto ku wieczorowi, opuściwszy zamek, przeprawia się przez Dniepr na drugą stronę. Tu niepojęte dla mieszkańców Kaniowa, dziwne widmo *Kseni*, uważane od gminu jako znak bliskiej klęski, ukazaniem się swoim na scenie burzliwego życia Nebaby, wznowia w jego umyśle zapomniane od lat kilku wspomnienia; przydając do obecnych cierpień niepokoje trwożnego sumienia, gorycz i kaźń przeszłości. A jednak ta nieszczęsna kobieta jednego tylko żąda uściśnienia! Za jedno przymilenie kochanka dałaby życie swoje. Krzyk i klaskanie opętanej, a prędkiej myśli uwolnienia się od napaści nienawisnej *Kseni*, bodajby gwałtowną jej śmiercią, zatrzymują *Nababę*. Szalona zbliża się, i odbiera od Kozaka uderzenie pięścią, co zdruzgotawszy jej skronie, powinno było położyć kres życiu mniej nadzwyczajnej istoty. — Ale *Ksenia* żyje jeszcze! Zadana rana tylko odraży jej przyczyniła. — *Nababa* na drugiej stronie rzeki łączy się ze *Szwaczką*; następnej zaś nocy obóz powstańców znowu przechodzi na ziemię polską, gdzie w nadbrzeżnych *Rosi* lasach obrabują sobie stanowiska. — Opisanie obozu *Szwaczki* przypomina niektóre *Rembranta* malowidła. Widok ten okazały dzikością silnie zajmuje imaginacyą czytelnika. Grupy dobrze uszykowane, rysunek trafiany, koloryt zgo-

dny z rzeczą; wiele prawdy, wiele talentu. Starość *Szwaczki* czyni go już ociężałym, a nałóg pijaństwa nieczynnym. — Dzbanek zazwyczaj nad marsową przenosił sprawę. Tymczasem położenie powstańców staje się coraz trudniejsze, krytyczniejsze. Zguba ich niedaleka, bo oddział Polaków, ściągnionych przez ostrzeżonego rządcę kaniowskiego zamku, wtargnął już w przyległe lasy i coraz bliżej ściska Kozaków. *Nebaba* zniecierpliwiony nieczynnością *Szwaczki* zgromadza powstańców, staje na ich czele, i porzuciwszy w lesie niewytrzeźwionego starca, posuwa się naprzód ku Kaniowowi. Lecz jeszcze dzień jeden odwleka zgubę zamku. Dla tém pewniejszego osiągnięcia zamiarów zemsty, umyślił był *Nebaba* zakraść się w cieniach następnej nocy pod mury Kaniowa, i dostać go przemocą, rozumiejąc, że ufność rządcy, położona w żołnierzach polskich, którym zlecił baczenie i śledztwo poruszeń w obozie *Szwaczki*, wszelką z téj strony bojaźń oddaliła. W czem tak dobrze począł sobie, że niepostrzeżony przemknąwszy się przez polskie czaty, rozsypał swoich Kozaków po zaroślach, tuż pod samém mianem, żeby, za nadejściem nocy, gotowi byli lecieć do szturm. Traf przygodny zrządził, że ten zamiar nie doszedł do skutku. Przeciwnie wszystko mściwemu *Nebabie* niepochybną zgubę nie-

sie. *Orlika* rządczyni gmachu kaniowskiego, nie
 mogąc przewieźć dłużej na siebie zmuszenia,
 co tak boleśnie najtkliwszą jej skłonność roz-
 dzierało, nie mogąc się odjąć żalowi i rozpa-
 czy, uniesiona srogą dla rodu panów zwierzch-
 nich i gwałciciela nienawiścią, umyśliła zabić
 męża, i dopełniła tego czynu w nocy, krwa-
 wy zamiar osłoniwszy kłamliwem przymileniem
 niewieściej czułości. Wyrzeźwiony *Szwaczka*,
 gdy postrzegł, że go niewierne kozactwo porzu-
 ciło, co wskok leci do Kaniowa, i uprzedzając
 Nebabę, nagradza swoje niedbalstwo podburze-
 niem tamtejszych chłopów. Nebaba tymczasem
 postrzeżony w ukryciu swoim od polskiego
 szpiega, który pod zmyśloną postacią starca, że-
 braka, czy dudarza, tajemniczym zjawieniem się
 i zniknięciem swoim, bardziej zaś jeszcze nie-
 miła z minionych lat powieścią, serce jego tak
 boleśnie zakrwawił, już odtąd zostaje pod ści-
 słym Polaków dozorem. Ku wieczorowi zbiera
 swoich. — Wyruszają. — Dwaj żołnierze pol-
 scy przebrani po kozacku, świadomi języka, łą-
 czą się z nimi. Noc coraz bardziej ciemnieje.
 Jeden z przebranych szpiegów ofiaruje chęć swoje
 przewodniczenia po błędnych drogach. Napro-
 wadza ich manowcami na oddział Polaków. Dru-
 gi wystrzałem znak daje. W okamgnieniu hu-
 fiec *Nebaby* otaczają liczniejsi nieprzyjaciele.

Zaczyna się bitwa, wtém postrzeżono pożar zamku. *Szwaczka* już go był dobył, zapalił, i wewnątrz uganiając się za rządczynią, którą zbrodnia obłąkała, zginął razem z nią samą i większą swoich częścią pod stropami przelatego gmachu.

Szeroka na niebie łuna czerwonego blasku płomieni, przyświeca *Nebabie*. Rozpacz kieruje jego uderzeniami, i nowych sił mu przyczynia w pojedynekowych zapasach z mężnym Polakiem, który utraciwszy pałasz, zrazu ustępuje natarczywości przeciwnika, lecz po chwili kruszy jego szablę, i téj szczątkami liczne rany mu zadaje. Nurzający się we własnej krwi ataman Kozaków słyszy głos *Kseni*, która oddawna téj bitwie z boku się przypatrywała. Nie broni jej przystępu; owszem wedle przemożności swojej w takiem położeniu, zmyśla obojętność, dla ukarania zadaniem nowéj rany, nienawisnego widziadła, zesłanego jakby z podziemnych krain na kaźń za przeszłe jego grzechy. Poczem sam utracą zmysły i dostaje się w moc Polaków. Oddział jego zniesiony. Polacy spieszą ku ruinom zamku. Żadna pomoc uratowaćby go nie zdołała. Lecz zwycięzcy chcą i mogą ukarać sprawców takiego spustoszenia, których wzięli w niewolę. Gruzy zamku przemieniły się w warsztat katowski. Do sprawiedliwości przydano okrucieństwo, wbiem

na pal ponad bramą zamku żywego jeszcze Nebaby. Innych uszykowano w biesiadujące niby grupy, żeby na placu łupieskiej sprawy swojej wśród wolnych płomieni konali. Nebaba na palu wbity tyle miał jeszcze przytomności, że mógł widzieć wszystko co się koło niego działo. Wówczas to nową oszpeconą raną wysuwa się z gruzów *Ksenia*, przybliża się, wspina na pal i całuje kochanka ostatniem, śmiertelnem pocałowaniem, którym mu na wieki usta zamyka. *Nebaba* kona; niedługo skonać musiała i *Ksenia*, bo jej zwłoki widziano w bliskości tego miejsca.

Taka osnowa poematu Seweryna Goszczyńskiego. — Charaktery jego nie są tak szlachetne jak w powieści *Malczeskiego*, ani tak zajmujące *sytuacje*. Inna też rzecz, inny zawód. Wielkie jednak massy ogarnął! Zresztą: co tylko w scenicznem działaniu, w *akcyi* dramatycznej z pierwiastków swoich, przed naszymi oczami się rozwija, rozplata, niepochybnie utworem jest i sprawą prawdziwego artysty, prawdziwego poety. Piękny fragment, piękna scena, szczęśliwie skreślony charakter téj lub innéj osoby zajmą na chwilę, i chwilowe wzbudzą oklaski; lecz tylko całość głęboko pomyślana, głębokim rozmysłem artystowskim, nigdy zapomnieniu nie ulegnie. Nadać ruch massom, rozwickać dzia-

łanie, — w tém całe misterstwo geniuszu. *Genetyczna*, ruchoma bydz musi jak umiejętność tak poezya. Ten *genetyczny*, rodzajowy charakter postrzegam w poemacie Goszczyńskiego; z téj przyczyny nie waham się policzyć je do rzetelnych ozdób literatury polskiej, nie zbijając bynajmniej słusznego zarzutu niepoprawności, owszém rozciągając go nawet dalej do samego téj powieści układu, gdzie rzecz, osobliwie ku końcowi, nie tak jasno i zrozumiale wyluszczona, jakby życzyć należało. Znać pospiech tu i owdzie, znać skwapliwość; a z tego zawsze rodzą się nieszykowność, ustérki, zboczenia.

Powie kto: „nie godziło się prostego Kozaka wysadzać na bohatera poematu!“ — W czém atoli niemasz nic przeciwnego zamiarom autora. Kozaków, jakiemi byli wistocie stawia przed oczy nasze. To jedynie miał na celu, tego dokazać. Bohaterem poematu może bydz nie tylko Kozak, ale nawet żebrak, włóczęga. Komuż rześka postać tego Nebaby w kosztownej burce, w wytwornym atamańskim stroju, komuż się nie podoba? Któż go wśród hajdamackiej czerni nie rozróżni z dumy na czole, po oblicza krasie? Jak sam zwierchni Pan polski tak przed panem hardy, duszą był dziewcząt i *wieczornic*. Ten czarny wąsik jego co nad różowemi zwija się ustami, ten wzrok co przy brwiach ciemnych

tak raźnie odbija, ten kształt postawy spiętej burką, co się tak wydaje w wspaniałym pochodzie jak maszt *bajdaku* lecącego w zawód z wiatrem po Dnieprze! Nie prawdziwyż to wizerunek? Nie zajmujące, nie trafne schwycenie rysów narodowych, i charakterystycznej fizyonomij narodowej? — „Szczęśliwa, którą zaczepi uprzejmie; szczęśliwsza, którą uściśnie, najszczęśliwsza, której wstążeczkę w *seledec* zaplecie.“ To w milczeniu rozmyśla o zemście i miłości; to przygania *Szwacze* ostremi słowy, że leniwy i opój, — wreszcie towarzyszków przeciwko niemu podburza, i w zapłacie za dzielną wymowę gnuśnemu starcowi przełożęństwo odbiera! Dziwie, leśne serce jego. Popędliwy, niesforny, zuchwały, mściwy, zakochany, w uniesieniu nie czyniący sobie żadnego zmuszenia, okrutny. Z duszą i ciałem taki sam jakimi byli rzeczywiście owi Kozacy, o których wiemy z wieści i dumek.

Żadną miarą, zdaniem mojem, niechaj kto mówi co chce, téj hajdamackiej czerni z literatury polskiej, (jak niegdyś z społeczeństwa podnioslejszém zapewne sercem niż mądrą polityką) wypłaszać nie powinniśmy. To nieodrodne plemie dzikich stepów potrzebne zdaje się naszej poezyi, jak przedtém w usługach rzeczypospolitej odganiało od dziadów naszych postrach tatarskich i nogajskich najazdów. — Ow

Szwaczka z czarnym na twarzy szramem, u którego wąs długi zwiesza się na pierś obrosłą, ów ociążały rozbójnik na *Siczy*, ów stary opół w powieści Goszczyńskiego złez wydany, albo nie trafiony doskonale, kunsztownie? — Niechaj nas ten gbór nie obraża. Bo to rzadki oryginał, i w pośród pierwotworów flamandzkiej szkoły zabrałby niepoślednie miejsce.

Wierne przeobrażenie, rysy, właściwość wydobyta z gruzów, trafione lica, postacie dosadnymi ciagami pędzla, bijące w oczy przeciwnieństwa to pogańskiej litwy, to chrześcijańskiego krzyżactwa, to zaporozkiego ludu, — owoz historyczne malownictwo poetyckiej literatury naszój, które takim wdziękiem jaśnieje w pismach A. *Mickiewicza*, B. *Zaleskiego*, S. *Goszczyńskiego*! Jest to, że tak powiem, podstawa, tło, grunt *realny* poetyckiego w tym systemie *idealizmu*. Cóż pomogą przepisy delikatnego gustu, jeżeli je przyłożymy do tych śmiałych n. p. wyrażeń autora *Grażyny*:

Poznali męża Litwini z tych znaków;

Więc cicho jeden do drugiego szepce:

To jakiś urwisz od psiarni krzyżaków

Tuczny bo pruską krew codziennie chlepcę!

O gdyby nie był nikt tu więcej z warty

Zarazby w bagnie skapał się ten plucha;

Aż rod most pięścią zgiałbym łeb zadarty.

Tak oni mówią, on niby nie słucha

Lecz musiał słyszyć, bo się bardzo zdumiał,
A chociaż Niemiec głos ludzki rozumiał.

Szymanowski łomacząc przez siedm lat *Świątynie Wenery*, za żadne wieńce i mirty febowe nie użyłby wyrażen: — *urwisz, chlepcze, plucha, łeb zadarty*. Delikatność i poprawność!! Cóż rzekną ci, co ustawnie wznawiają te maxymy zniewieścialego gustu, na owe silne, dobitne, *beotyckie*, malujące wyrażenia, które z cmy tak starych lat wychylają na widok powierzchowną ich szatę? — Zbierajmy rys za rysem, i słowo po słowie; każde odcieniowanie, każdy rzut myśli miejmy za godne uważania. Jakż jest ten *Litawór*? Jakie jego chęci? Owe znowu kółpaki rysie, ta niedźwiedzia odzież litewskiej młodzi; a z drugiey strony ten Niemiec nieruchomy na koniu, co nabija strzelbę, i z różańca mówi pacierze, cóż to za widoki? — A też idylliczne, pasterskie figury *Brodzińskiego*? Te śliczne stroje w *Wiesławie*, ta mowa, tańce, gody weselne *Krakowiaków* i *Krakowianek*?

Obyczaje, ubiór, wystówienie, wszystko na jaśnią wyciągnione. Wszystko w téj literaturze ziemianiało, i polszczeje. Wszystko ma dzielność swoją, wrodzoną moc, powab, swerność. Wszystko się w pewien kształt składa. Z bezcielesnej myśli jedném wywołane tchnieniem postacie, obrazy, widma! Z różnych stron, z ró-

żnych części i okolic Polski zapomniane ozwały się głosy. Rodowitość nasza w nie jednej ukazała się postaci. Wszystkie razem liście na drzewie tak długo skamieniałem i niemém ojczystej poezyi zaszumiały. Coś niém wstrząsnęło niewidomą mocą od ziemi do korony, że teraz szeleści, i rusza gałęziami w wiatru powiewie, i mruczy i gada jakby odczarowane. Piękny to instrument, — śpiewające drzewo! Różne wydaje tony od najniższego, najgrubszego przez pośrednie dźwięki skali do najwyższego, najcieńszego, jak w strojnej orkiestrze złożonej z wielu dud, piszczałek, dętych i rzniętych naczyń. Któż to wszystko wypowie? — Oto w tej dzisiejszej poetyckiej literaturze naszej mamy westchnienie do Stworzyciela nieba i ziemi w hymnie *Woronicza*. Jest to modlitwa przed burzą. On wyliczał dobrodziejstwa opatrności dla narodu polskiego wyświadczone; kolejną przechodził dzieje nasze od początku do końca, jedną ale głęboką myślą: rozerwanego przymierza Twórcy z miłym jemu ludem, wszystkie swoje farbując utwory. On ustawnie mowę swoją podwodził ku tym słowom u Jeremiasza zapisanym: — „klas-kali w dłonie przechodzący drogą, poświstywali i wstrząsali głową mówiąc: bram waszych postać okopconą, i toż to jest miasto niegdy od tylu tysięcy oświeconych i użytecznych mieszkań-

ców osiadłe.“ To najstarszy poeta w kościele pamięci narodowej. Wziął na to, zdaje się, poświęcenie, żeby przy ołtarzu przeszłych czasów służbę sprawował i czuwał, żeby płomień gorejący na nim nigdy nie wygask. Dobrze pełnił powinność swoją; dla niego przeszłość niebyła ani skorupą garncarską, ani dymem gryzącym oczy. — W ten czas kiedy inni szukając chluby z postronnego dowcipu odstrychnęli się od prawdziwej prostoty i piękności, on sam jeden rozmyślał o narodowym pieśnio-księgu; a wzniosłszy ducha wysoko, na sam wierzchołek Libanu, Dawidową przestrajał arfę. Jest także inny mąż żywy, historyczny w tej naszej literaturze, którą ustawnie pomnażał i wzbogacał, która już w dziejach żyje jego życiem, — wieszcz z urodzenia i powołania, ze wszystkiego co bądź kiedykolwiek mówił, pisał i czynił, z samego nieledwie wejrzenia swój sędziwej starości, z tych białych włosów, co skroń jego wieńczą i na ramiona spadają, z tych nareszcie nigdy nie wygasłych wspomnień ojczystej historii, które oblicze jego rozjaśniają, i mgłą osnuwają poetycką, kiedy się po naszych przechadza ulicach. To Julian Niemcewicz! — Ta literatura ma świetne uniesienie liryczne, i najpiękniejszą idealność w nadobuém misterstwie, i indywidualnym talencie Adama Mickiewicza, ma historyczne malarstwo

w stylu porywającym Zaleskiego, w *Grażynie* i powieści Malczeskiego. Ma nakoniec fantazmagoryczność swoją i prawdziwą poetycką alchymiją w oryginalnym, dziwnym geniuszu Goszczyńskiego. Z różnych składa się atomów, z różnych pierwiastków, — realnego i idealnego, snycerskiego i muzycznego. Tło jej różno-wzorowe, różnobarwe.

O tej poezji naszej *obiektywnej* i *indywidualnej*, o tej jej wielkiej rzeczywistości i zamysleniu fantastykiem, ledwo nie to samo rzechy można, co *Montaigne* starą francuzczyzną powiedział o mowie ludzkiej, jakoby była: *un art leger, demoniaque*.

Toć jest co nazwałem na początku tego trzeciego rozdziału: *architektoniką idealną efektów i wrażeń* w systemie naszej dzisiejszej poetyckiej literatury! Massy światła i cienia sprawują skutek zamierzony na malowaném płótnie. Od stosunku między *realizmem* i *idealnością* zależy także skutek w systemie poetyckim literatury. Rzeczywistość i dumanie, realizm i idealizm sztukmistrzów polskich: — otoż wielkie massy, nierównie jednak w dzisiejszej literaturze naszej rozdzielone; ponieważ w *oscylacji* poetyckiego geniuszu postrzegam wyraźniejsze zboczenie na stronę idealizmu, i melancholii. I to ma swoją słuszną przyczynę. Tak byźd musiało w naro-

dzie zawojowanym. Niechaj tak będzie. W poezyi odbiła się publiczna niedola.

Wymieniłem takich tylko pisarzów, którzy zdaniem mojem czynią największy zaszczyt dzisiejszej literaturze polskiej. W ich dziełach widzę *reprezentacyą* imaginacyi i fantazyi polskiego narodu. Powinienem był mówić także o pieśniach lirycznych *Goszczyńskiego*. Ale nie wyszły jeszcze z druku.*) Innych z tak zwaney *szkoły romantycznej*, — naśladowców to Goszczyńskiego, to Mickiewicza, to Zaleskiego uważam jako samosłańców cisnących się do powołania poetyckiego bez ducha i daru. — Pisarze z tak zwaney szkoły klassycznej nie wchodzą w obręb mojego dziełka; mają oni licznych stronników i wielbicieli; mają talent przyznany. Nie podaję tego w wątpliwość; lecz mówić o nich nie chcę, bo inne jest moje zdanie w téj mierze. Czytając ich dzieła nie zdaje mi się, jakoby odprawował z kosturem pielgrzymским wędrówkę po téj ziemi, gdzie leżą kości i prochy dawnych pokoleń naszych. W krainie ich zmyślenia niemasz téj mocy niewidomej, która nas ciągnie ku sobie telluryczną własnością każdego pierwowtoru. Sądzę nawet, jakoby kolory ich poetyckie były takie same, jakie mineralogowie *naleciałemi* zowią; kiedy n. p. cząstki obce mineralne

*) Autor zapewne rozumie pieśni wyszłe później pod tyt. Trzy struny Goszczyńskiego oddział 4. i 2gi.

powierzchnią kopalnego ciała pokryją farbą odmienną od koloru rodzinnéj jego masy.

Taka jest nasza poetycka literatura. — Któż się chluba nie uniesie wyrozumiawszy ducha zamkniętego w tém systemie? — W czyjś serce gorętsza iskra nie wejdzie? Dziwném zrządzeniem zjawiała się pośród nas taka poezya! Pierworodna, nienaśladowana, rodzinna, majestatyczna.

Wyniknęła li z głębokich skrytości i tajemnych wzruszeń? — Cóż oznajmuje? Odrodzenie się na duchu.

To systema poetyckiej literatury naszej w początkach swoich jest świetniejsze od systematu daleko liczniejszych tworców w wieku *Stanisława Augusta*; świetniejsze od systematu daleko sławniejszych tworców, i głośniejszych w poprzek świata z wieku rzymskiego *Augusta*.

Teraźniejsza poetycka nasza literatura jest tak polska, i tak pierwotowna, jak nigdy literatura poetycka w Rzymie, ani tak rzymską, ani tak pierwotowną niebyła.

Niechaj nikt nie mniema, jakoby to zdanie czeza chępliwość natchnęła. Gruntuje się w tém na fundamentalném założeniu pisma mojego. Ścisła tylko *konsekwencya* wiedzie mnie do takiego wniosku.

Nikogo nie chcę mamić paradoxami. — W teraźniejszym systemie naszych poetyckich tworców

zaczynamy pojmować samych siebie. Systema to jest *objawieniem* się przeszłości historycznej w literaturze, i skarbnicą pojęć współczesnej cywilizacji. Do tego Rzymianie nigdy nieprzyszli w naśladowanej poezji swojej.

Wracam do punktu, z kąd wyszedłem.

Znać siebie, jest to mieć grunt pod sobą, i wewnątrz ujęcie.

Człowiek jako jednostka, jako osoba przychodzi do tego uznania skoro myśleć zacznie.

Jednostka zbiorowa (naród) tym samym sposobem przychodzi do tego uznania, to jest w wyciągnionej na jaśnią myśli ogólnej, — w systemie swoich działań i tworów umysłowych.

Takie systema jest *literaturą*, którą naród może mieć ujęcie samego siebie, i uznanie w swoim jestestwie.

Literatura reprezentuje jego władze intelektualne.

Imaginacja i fantazyja umysłu ogólnego objawia się w dziele oryginalnych tworów poetyckich i kunsztownych. Pamięć w tworach historycznych. *Um* i rozum w filozofii, w umiejętności, w oderwaném myśleniu.

Na gize tych wszystkich władz, na ich bezprzestanném działaniu zależy istota narodu.

Jeżeli którakolwiek z tych usposobień intelektualnych w nieczynności zostaje, i na zewnątrz

się nie wyraża, wtenczas *jednostka zbiorowa* nie ma zupełnego i doskonałego uznania w jestestwie swoim. Jestestwo to nie zupełnie rozwinięte; albo jeżeli pierwój było rozwinięte, a następnie z pierwotnej wychodząc dzielności, chromieje, i traci używanie téj lub innéj władzy: czas ten bywa zawsze czasem słabości, starzenia się, niknienia. — Roztrząsać literaturę jakiegokolwiek narodu podług tych psychologicznych względów, jest to poddawać umysł publiczny, powszechny rozkładowi i niejako sekcji anatomicznój.

To obróć do Rzymian. — Jako tragedia ciągnąca się przez wieki jest historia rzymska. Najzręczniejsi aktorowie téj sceny starożytnego świata przechodzą wszystkie inne narody sztuką dziejopiską. Ku schyłkowi rzeczypospolitéj i później, nie dopuścili wielcy pisarze, żeby to co godne było przechowania w niezamierzone czasy, niepamięć zatarła. Rzym, ten polityczny Lewiatan starożytnych ludów, taki, jakim był różną koleją wzrostu swéj potęgi i zepsucia, maluje się w fragmentach *Sallustiusza*; w szlachetnym, prostym, jasnym stylu *Cezara*; w ozdobnej powieści *Liwiusza*; w mocy, w głębokim wejrzeniu na serce człowiecze i nigdy niezrównanych wysłowieniach *Tacyta*. Któryż naród w starym świecie miał taką literaturę historycz-

na? Grecy we wszystkiém inném wyżsi od Rzymian, z każdego innego względu trzymający przodek przed nimi, w téj jednak mierze im nie wyrównywają. Lecz to właśnie z przykładu Rzymian wiedzieć mamy, że pisane dzieje rzetelnego wsparcia nie niosą słabnącej w umyśle narodowym pamięci, jeżeli téj nadobne sztukmistrzów dzieła i zmyślenia poetów, osnowane na ojczystych tradycjach i wyciągnięte z rozkorzonéj głęboko wiary, wzajemnie nie mocują i nie krzepią. Historia, szczególnież początkowych czasów, tym poetyckim nie ubarwiona wdziękiem, w tém przeobrażeniu artystowskim przed oczy nie przełożona, im dalej tém bardziej ciemnieje i staje się niezrozumiała, — albo jako strumyk odcięty od pierwotnego zdrojowiska, schnie, niknie. Powieść kronikarska z wierzchu tylko rzeczy dotyka. Te gołe fakta mają przecież wielką wartość! Są to jako węglem, albo kredą z gruba narysowane kształty, które za staraniem malarza życie i ducha przywdziać mogą. Jakż stosunek zachodził między poetyckimi czasami historyi rzymskiej, z poetycką Rzymian literatura? Żaden prawie. Nie było związku między pamięcią i imaginacją tego ludu. — Mieli zapewne Rzymianie uznanie samych siebie w swójem jestestwie tak długo trwałém i nierozdzielném. Ale to co nazwałem *uznaniem*, gruntem

bytu, ujęciem wewnątrz, było u nich, że tak rzekę, *empiryczne* tylko, nie *idealne*. Duch rzymski wyraził się samą rzeczą praktycznego życia, działaniem, przewagami; ale nie wyraził się w systemie idealnych tworów, oderwanych pojęć, i myśli. -- Nie mieli ani filozofii swojej, ani poezyi.

Jaka była rzymska cnota, jaki charakter, jakie obyczaje, jaka wielkość, pokazało się to w słynnych po wszystkie czasy podbojach i polityce Rzymian. Lecz tego nieznać w ich poetyckiej literaturze. — Mieliz Rzymianie własną imaginacyą, jak Grecy? Mieliz jak dzisiejsi Polacy swoją poezją rodzinną, nie naśladowaną? — Ich systema poetyckiej literatury byłoz ugruntowane na odwiecznej posadzie historycznej? Odbilyz się w nim rysy poetyckiej przeszłości? — Mieliz choć jedną powieść tak ojczystą, i tak miejscową, jaką jest n. p. *Marya*, *Wiesław*, *Grażyna*, *Rapsod rycerski*?

Nie stawalo-li im wątku? Czy ochoty? — Najpewniej, że i nie pojmovali w czém tkwi istota poezyi. Natura nie pochlebila Rzymianom w udziale tego daru. Naprózno uśmiechaly się do rymotwórców, biesiadujących za stołem *Augusta*, wdzięczne postacie starzej *Italii*. Pasma wydarzeń samo przez się fantastycznemu nawijało się zmyśleniu. To Romulus, — to Horacyusze, i

Kuriaciusze, — dalej podniosły *Tarquiniusz* i *Lukrecya*, a dalej jeszcze nie przerwana kolejną Por-sena i Scewola, — nakoniec Koriolan! To wszystko przecież nie tknęło zimnej duszy łacińskich wierszopisów. Przez wieki podawał Regulus ulubiencom Mecenasa bratnie, rozkrwawione dłonie. Wzruszyliż się losem tego bohatera? Woleli raczej cudze przekowywać *sagi*, podania. Nie pojęte krzywego sądu omamienie! Na scenie rzymskiej wystawiono Ifigenię i Edypa, Prometeusa, i Atrydów, — same cudzoziemskie, greckie sprawy; a *Kornel*, i *Kolin* rzymskich wskrzeszają bohaterów na scenie francuskiej i niemieckiej. Pierwszy z Liwiusza napisał mierną sztukę: *Horaciusze* i *Kuriaciusze*. (*) Drugi na wiedeńskim teatrze wystawiał Regulusa i Koriolana. Obadwa usiłowali wrócić poezji to co było jej niezaprzeczoną własnością.

Wzgardzili Rzymianie swoją uczciwą, ojczyzną *tradycją*. Wzgardzili ojczyzną wiarą i pierwotnymi *sagami*, dowcipy i rozumy swoje na helenizm wysilając. I im także, jak Francuzom za rządów Ludwika XIV., przypadło do smaku greckie, klasyczne misterstwo. Jakże drogo to wyłączone przeplacili upodobanie! — Darmo prze-

(*) Wprowadzał i Szekspir rzymskich bohaterów na scenę, ale te utwory nie są najcenniejszymi jego dziełami.

strzegał stary Kato. Darmo powielekroć uchwalał senat rzymski wygnanie greckich sofistów, wykrętników, retorów. Grekomania wzięwszy górę, wszystkich opanowała umysły. Wkrótce téż ustał związek między pierwszemi i pośredniemi rzeczypospolitéj czasami. Postronne obyczaje, obca rozwiozłość, cudze zepsucie, i zbytki skaziły początkową prostotę i uczciwość rzymską. Zerwała się nie wewnętrzne przypomnienie. Wreszcie niepamięć przywiodła umysł publiczny ku ostatniemu w rozterkach domowych obląkaniu. *Ennius* chępił się, przechwalał jakby z wielkiej rzeczy jakiej, że pierwszy z Rzymian w niwecz obróciwszy starą italską poezją, greckie hexametry w łacińskiej mowie niezgrabnym i kulawym naśladował wierszem.

Pisarze rzymscy odstąpiwszy od swojej narodowości, rozmiłowali się w jałowém naśladowstwie. Ich poezya nie jest historycznym, jak helleńska, pomnikiem. *Fryderyk Szlegel* jak może usprawiedliwia to zboczenie. Spycha całą niemal winę na okoliczności. Utrzymuje, że nie mogło być inaczej, zdanie swoje popierając baczny względem na politykę. — „Rzecz godna uważania“ — są słowa tego uczonego krytyka, — „że Rzymianie porywkiem próbując sił swoich w poezyi dramatycznej, nigdy przecież do tego wydażeń, jakie im ojczyście podania i krajowe na-

streczały dzieje, nie obierali; aczkolwiek te zdarzenia tak są poetyckie i dramatyczne, że je wszyscy traicy wydobywszy z zapomnienia, na dzisiejszą wprowadzili scenę. Lecz kto pilniéj wejrzy w charakter właściwy téj historycznej poezyi, łatwo postrzeże dla czego tak być musiało. Uczucia patryotyczne zamknięte w owych podaniach razilyby przypominaniem na scenie zbyt świeżych wypadków. Weźmy naprzykład historią Koriolana. Któryż z poetów rzymskich byłby się odważył tego patriciusza, takim, jakim był rzeczywiście, to jest, unoszącego się zawziętą przeciwko plebeuszom nienawiścią, wystawić na teatrze, w owym czasie, kiedy usiłowania Grachów zmierzały ku ukróceniu téj samej dumy patriciuszów, i obwarowaniu swobód ludu rzymskiego? Jakież widok byłby stawiał na scenie rzymskiej Kariolan, wygnaniec, w słuszném poniekąd oburzeniu miotający ostre, zelżywe słowa na swoich ziomków? Szczególniej pod ową porę, kiedy Sertoriusz, najzacniejszy z ostatnich Rzymian, sam także na wygnaniu tułał się po Luzytanii i Hiszpanii, tam rozmyślając o ocaleniu Rzeczypospolitej, i założeniu nowego Rzymu? — Któżby był wreszcie zniósł widok Koriolana na czele zwyciężkich nieprzyjaciół grożącego zgubą własnej ojczyźnie, kiedy Sulla

z zbrojnym wojskiem w rzeczy samój postępował ku Rzymowi?..."

Cóżby się tym sposobem usprawiedliwić nie dało? — I któżby nie wyszedł taką obroną z najcięższego zarzutu? Lecz, zdaniem mojem, pozorniejsze są niż prawdziwe te przełożenia *Szlegla*. Nie idą w tej mierze jego wymówki. Właśnie téż poeta dramatyczny w czasach *Gruchów* niezem niebyłby tak dogodził pospolitemu użytkowi (jeżeli tylko poezya co wspólnego mieć może z pożytkiem i polityką): niezem nie byłby tak dobrze usłużył sprawie ludu, jak wystawieniem na scenie dumnego przywódcy stronnictwa patriuszków, człowieka podniosłego serca, bystrego rozumu, nieukroconej burzliwości. Żelżywe wyrazy Koryolana nie byłyby nikogo zgorszyły, gdyżby to nieukojonemu żalowi, i cierpieniom wygnańca przypisano. Wreszcie na widok Koryolana, niosącego zginienie rzeczypospolitej z nieprzyjacielskimi zastępami, byłyby się zatrząsły filary i ściany kolosalnego gmachu od oburzenia i zgrozy słuchaczów. Duch męstwa byłby wstąpił w prawe serca rzymskie, i Sulla byłby doznał większego oporu. — Niechaj co chce mówi *Szlegel*, rymotwórcy rzymscy żadnem usprawiedliwieniem nie wyjdą z tego obwinienia, że rzecz tak ojczystą, tak rzymską, tak poetycką, dramatyczną, nie ukazaną na scenie narodowej,

w niepamięć puscili. — Czyliż następnie wielka popularność Cezara Augusta, pochlebiającego miłości własnej Rzymian przestrzeganiem powierzchowném dawnych nawet form znikłej rzeczypolitej, lubo rzeczywiście on sam nieograniczoną sprawował władzę, i owęj, w którą Szlegel ugodził, nie uprzątneła przeszkody? Czyż Mecenas i August sami nie sklaniali ulubieńców swoich do pisania w rzeczach ojczystych, z podań dalekich, narodowych? Czyż ustawnie swój mowy ku temu nie podwodzili? Czyż o tem sam Horacy potylekroć nie wspomina? — Albożto trzydziestoletnia wojna w Niemczech umysłów nie rozjątrzyła? Nie rozerwałaż mniemań, pojęć wiary, więcej jeszcze niżeli w Rzymie rozterki domowe? A przecież nie odwiodło to *Szyllera* od napisania trajedyi *Wallenstein*, którą wystawują po wszystkich teatrach niemieckich, w samym nawet Wiedniu; lubo Wallenstein o niczem szczerzej nie przemyślał jako o wstrząśnieniu wyciągnięciem ręki swojej po koronę czeską, monarchii austriackiej.

Prędzej podobno temu daćby wiarę można: że jak skoro Tarent, cała ziemia Italska i Sy-cylia, Macedonia i Kartagena, Hiszpania i Acha-ja zawojowane zostały, panowie znanego wówczas świata, wstydzili się może szczupłych początków swoich, nie chcąc zasięgnąć pamięcią

małego Rzymu, który niegdyś walczył z Sabi-
mi i przez dziesięć lat *Weie* oblegał. Przetoż
odłożyli na stronę wieść swoją bohatyrską, i na-
rodowe podanie. Podobni w tém owym ulubień-
com fortuny, tak zwanym od Francuzów *parve-
nus*, co przyszedłszy z ubóstwa do bogactw
i wielkiego dostatku, swego rodu się wyrzekają,
a daliby połowę mienia za to, żeby go na wieki
glucha zatarła niepamięć.

Nie odstępiałem od rzeczy mojej tém wkro-
czeniem w literaturę łacińską, na której niemal
wszyscy pisarze nasi zygmunrowskiego wieku,
jako i powiększłej części za rządów Stanisława
Augusta kształcili się, której ducha niejako w pol-
ską przybrali szatę. Owszem zajmując tę lite-
raturę razem z naszą dzisiejszą pod jeden szcze-
gólny widok, i uważając ją z tego samego wzglę-
du podpieram i mocuję myśl, na której wszyst-
ko stoi w tém piśmie; tę myśl: że naród jedynie
tylko w porządku swoich działań i tworów in-
tellektualnych przychodzi ku uznaniu samego
siebie w swojém jestestwie. Nie pobłądzi za-
pewne kto tę miarę przyłoży do każdego sy-
stematu estetycznego. Jest to szeroki obwód,
gdzie wiele rzeczy zmieścić się może. W tém
rozumieniu powiedziałem: że dzisiejsza poetyc-
ka literatura nasza jest tak pierwotna, tak ojczy-
sta, tak polska jak nigdy poetycka literatura w Rzy-

nie za Augusta Cezara, ani tak rzymską, ani tak pierwotną nie była. Zaiste śmiałe zdanie! Ale nikt mi nie zarzuci, jakoby przeszedł miarę w wysokim mniemaniu o talentach i dowcipie zacnych rodaków i współziemian moich, kto pilniej wejrzy w to, co położyłem za fundamentalną zasadę niniejszego wywodu. Nie idzie mi tu o liczbę, ani o rozciągłość, ale o wewnętrzną, artystowską wartość szczególnych utworów, tudzież o ogólny kierunek i *expressyą* ducha w całym systemie poetyckiej literatury. Otóż we względzie tej *expressyi* i tego kierunku, który tak pomyślnie rozwijać się zaczął w naszej dzisiejszej literaturze, mamy niewątpliwie pierwszeństwo przed liczniejszą daleko i bogatszą literaturą łacińską. Odłożywszy na stronę cudzoziemczyznę zaczynamy swoim rządzić się zdaniem, myśleć swoją głową, wynajdywać swoim dowcipem, stwarzać własną fantazyą. Pisarze nasi poszli za natchnieniem własnego talentu! Z gruzów przeszłości wydobyli porządek poetycki, historyczny, ojczystą rozbłyśniony nadzieją i blaskiem. Tego nigdy nie doszli rymotwórcy łacini! — W ich najświetniejszych twórcach pozostały ślady, na których nikt omylić się nie może, naśladowstwa obcych, greckich talentów. Jak mogli helenizowali imaginacyą swoją. Pisali wiersze na cześć obcych

bożków, i rycerzy. Przejęli kształt, i rzecz obcą. — Dzisiejsza poezya polska wyraża myśli i ideje dziewiętnastego wieku; oddaje cześć miejscowym paniątkom; natchnienie swoje zasila podaniem i wiarą ludu, téj nawzajem niosąc wspomnienie.

Ledwo nie w przysłowie poszło u nas, które z osobliwém upodobaniem, wciąż jedni za drugimi powtarzają: że Rzymianie zawojowawszy Greków, nawzajem od nich podbitemi zostali okrasą wymowy, dowcipem, sztuką. Zdaje się nawet, jakoby za zasługę zwycięzcom poczytywano, że po swojemu, to jest po rzymsku i myśleć i czuć przestali. Nie jest to jednak tak wielka zaleta! — Świetne przewagi, mnogie zabory, liczne podboje Rzymian takich na ród ludzki dobrodziejstw nie zwały, żeby późniejsza krytyka nie miała wytknąć rzetelnych przywar, i niedostatków téj ich cywilizacyi z kądinąd przeszczipionéj, z włożeniem na literaturę rzymską obwinienia anti-narodowój dążności. — Z pozostałych ułamków nie zbyt wysoko oszacowali krytycy tegocześni stratę dzieł dramatycznych, jakie na teatrze rzymskim ku schyłkowi rzeczypospolitej i później wystawiano. I w rzeczy saméj, jakież mniemanie obznajomionym z grecką sceną wrazić mogą sztuki Seneki? Nie musiałyż stępieć uczucia ludu, chciwego wszelkich widowisk, któ-

ry z takiem upodobaniem przypatrywał się krwi rozlewowi to lwów, to słoni, to szermierzy tyśiącami ginących na scenie, nie udaną, ale prawdziwą śmiercią? Tkwił po wszystkie czasy, (jak mówi Wilhelm Szlegel, krytyk biegleszy od brata swego Fryderyka), ten sęk w charakterze Rzymian, że pierwszy założyciel ich sławnego grodu, pierś macierzyńskich nie pożywał, ale drapieżną ssał wilczycę. Uczęszczali na amfiteatr gdzie się zapaśnicy mogli byli wyćwiczyć w gimnastycznój zwinności; ale gdzieby się *Sofokles* nigdy niczego nie był nauczył. — Grecy nie lubili takich igrzysk. Gdy za cesarstwa chciano zaprowadzić podobne walki gladiatorów w Koryncie, rzekł któryś z mieszkańców tego miasta: — „nim przywykniemy do tak niehumanego widowiska trzeba by pierwój zburzyć ołtarz li-tości.“

Nie lepiej wiodło się Rzymianom w innych oddziałach rymotworczój literatury. Największy poeta łaciński *Lukrecjusz* zabrnął w rzecz sofistyczną filozofii Epikura, która ani z jego twórczym geniuszem, ani obyczajami rzymskimi i stoickim ich charakterem w lepszych czasach, ani wreszcie z istotą nadobnego misterstwa do miary nie przypadała. Pisząc o dziwach przyrodzenia wedle zasad atomistycznój szkoły, chybił, zdaniem mojem, w wyborze przedmiotu; bo atomy, wulkany,

wezbranie wód, natura organiczna i anorganiczna, same przez się nie mogą być materiałem poematu. *Horacemu* po smacznych obiadach u Augusta, stawały niekiedy w pamięci czasy rzetelnej wielkości i chwały rzymskiej. Wtedy najpiękniejszym unosi się zapalem! W tych tylko przemijających natchnieniach, w tych wylotnych błyskach swego ducha jest prawdziwie rzymskim poetą. Nie wtedy kiedy oschłe prawidła sztuki gładkim wyklada rymem, ani kiedy przywary, które się zkadinał wśliznęły do Rzymu dowcipną satyrą nicuje; ani wreszcie kiedy układnością dworaka i talentem przedpokojowego wierszopisa kadzi wonnemi podchlebstwy uzyrpatorowi i swoim poplecznikom. Z przykładu Horacego widzieć to mamy, że najszkodliwsza atmosfera dla genialnego talentu jest w pokojach i względach władzy. — *Virgiliusz* chciał spalić *Eneidę*. Szczerze czy tylko na okaz autorskiej skromności? Cóżkolwiek bądź, naciągnięcie trojańskiego podania ku pierwiastkom Rzymu, nie czyni go jeszcze oryginalnym poetą. Wszędzie tuli się pod skrzydła Homera, krok wkrok za nim idzie, jak dziecię za matką. Nietylko istotę, ale i zewnętrzne formy przejął od swego mistrza. Została mu przecież chwala z okrasz pióra, i gładkiego wydania. — Dla czegoż pierwsza część jego poematu w porównanie z ostatnią iść nie może? Bo w tamtój miał przed

sobą piękną powiastkę, o którą się otarł dowcip grecki; w téj zaś, więcej rodowitej, italskiej, musiał się wzbijać własnymi siłami. Dla tego też i nie podolał ciężarowi! — Lecz sami Rzymianie widzieli czego Eneidzie nie dostawało. Trudno i w téj mierze przystać na zdanie starszego *Szlegla* (Fryderyka), jakoby Eneida mimo wszelkie niedostatki i ułomności swoje, była przecież prawdziwym narodowym poematem rzymskim. *Makrobiusz* (*) powiada, że żaki nawet w Rzymie

*) Jest to nie podrobione, ale przeważne, bo pisarza rzymskiego świadectwo, mieszczące naszego *Marrona* w poczet nietylko naśladowców, ale poprostu *plagiatorów* literackich, którzy cudze za swoje udawają. Oto są słowa *Makrobiusza* (*Saturn. lib. V. cap. 2*):

„Quae Virgilius *traxit* a Graecis dicturumne me putatis, *quae vulgo nota sunt*? — Quod Teocritum sibi fecerit pastoralis operis autorem, ruralis Hesiodum? et quod in ipsis Georgicis tempestatis serenitatisque signa de Arati Phaenomenis *traxerit*? Vel quod eversionem Troiae cum Simone suo et equo ligneo, ceterisque omnibus quae librum secundum faciunt a Pisandro pene ad verbum transcripserit? qui inter graecos poetas eminet opere, quod a nuptiis Jovis et Junonis incipiens universas historias, quae mediis omnibus saeculis usque ad aetatem ipsius Pisandri contigerunt, et unum ex diversis hiatibus temporum corpus effecerit? in quo opere inter historias caeteras interitus quoque Troiae in hunc modum relatus est. Que fideliter Maro interpretando fabricatus est sibi Iliacae urbis ruinam. Sed et haec et talia ut *pueris decantata* praetereo.“

To samo po polsku:

„Mniemacie-li, że szerzyć się będę w rzeczy tak pospolicie znanéj, opowiadając co Wirgiliusz wziął od

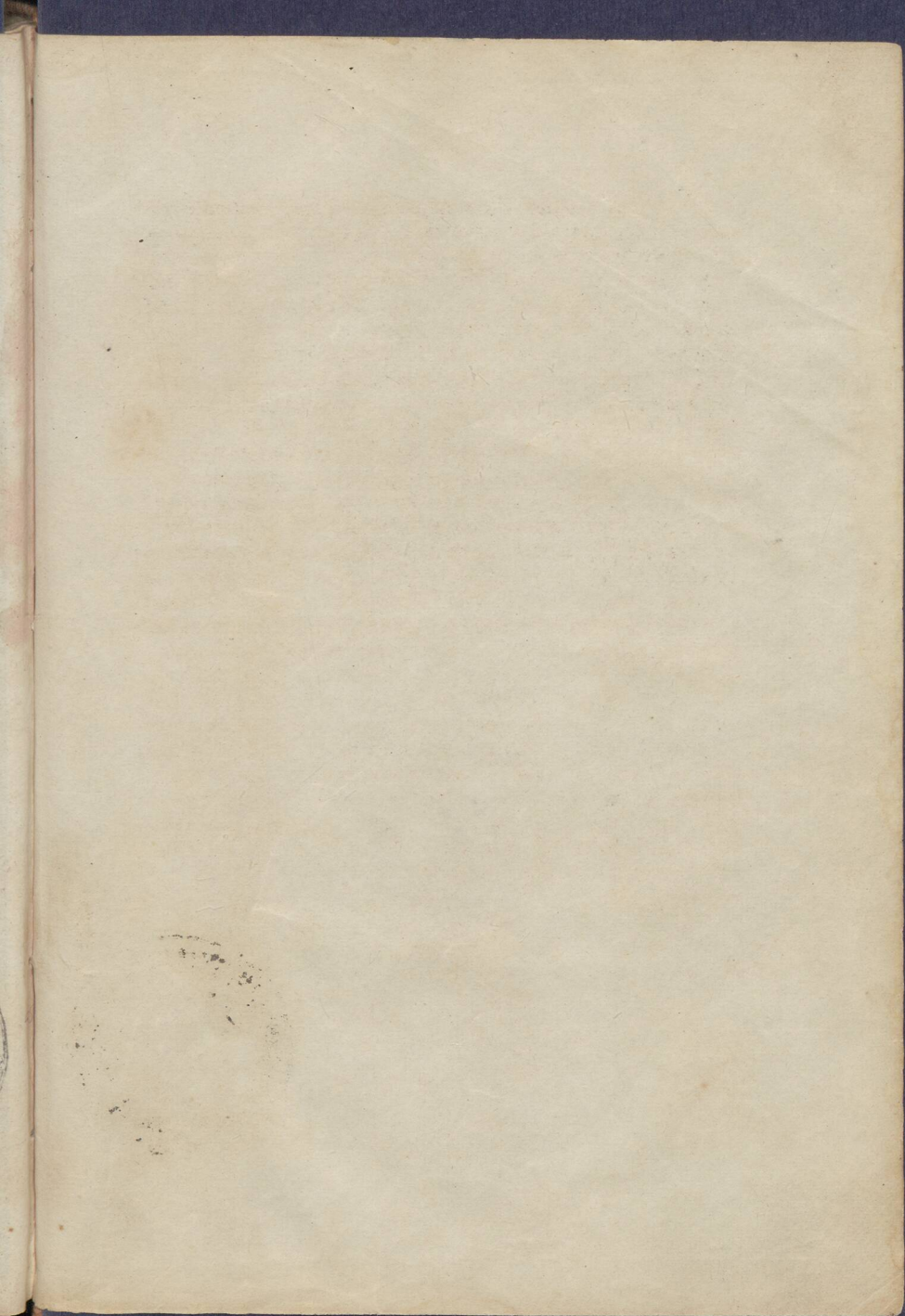
tego zaszczytu Wirgiliuszowi nie przyznawali. —
„Sed et haec et alia“ — pisze Makrobiusz, —
„ut pueris decantata praetereo“.

Greków? Że Teokryta w sielance miał mistrzem, a Hezjoda w ziemianstwie? I jako w samych Georgikach znaki pogody i słoty powyciągał z dzieła Arata o fenomenach? Albo téż, że wywrócenie Troi, z Simonem swoim, drewnianym koniem, i innemi, które drugą xięgę (*Eneydy*) składają z Pizandra prawie słowo w słowo przepisał? który (*Pizander*) celuje między greckimi poetami dziełem w jednej zamykającym treści wszystkie począwszy od małżeńskich ślubów Jowisza i Junony ciągnące się przez pośrednie wieki, aż ku czasom Pizandra, wydarzenia? W tém dziele Pizander między innemi i upadek Troi tymże samym opowiedział sposobem. Co wszystko *Maro* wiernie przełożywszy (z greckiego na łaciński) uprządkł był sobie *Ilionu* ruinę. Lecz i to i temu podobne, o czém nawet żaki wiedzą, pomijam.“ — Zważmy, że wyraz *traxit* znaczy właściwie *ciągnąć, przyciągnąć, naciągnąć*. Trudno trafniej dzieła Wirgilego ocenić. Naciągane to rzeczy z greczyzny! Nic rzymskiego, nie oryginalnego, pomyslanego w starożytnym duchu italskim. Powiada *Makrobiusz*, że całą drugą xięgę *Eneydy* „pene ad verbum transcripserit“ z poematu Pizandra, który jako się pokazuje z przywiedzionych słów krytyka rzymskiego był zbieraczem narodowych greckich podań. I o tem nawet żaki w Rzymie wiedzieli! Wyszło mi z pamięci com czytał przed kilką laty w przypiskach łacińskich jakiegoś niezmiernie uczonego glossatora *Eneydy*, który utrzymuje, zdanie swoje podpierając świadectwami starożytnemi, jakoby i szósta xięga *Eneydy*, równie jak druga, miała być tylko kompilacyą z greckich pisarzy. — W téj zaś części *Eneydy*, którąby właściwie *italską* nazwać można, czyż nie znać wysilenia i niemocy? A pod sam koniec, jakby zdrożony długą wędrówką czyż nie kuleje Pegaz *Marona*, i

co krok nie polyka się i staje? W całym systemie rytmotwórczej literatury rzymskiej chybiony jest stosunek właściwy między kunsztownem misterstwem i inspiracją. Tamto przemaga, chociaż na proporcji między jednym i drugim tajemnica poezji zależy. — Zapewnie daleko lepiej wypracowane dzieło od *Eneydy* jest ziemianstwo Wirgiliusza. Ale kiedy sobie wspomniemy, że i w tym utworze obcóm porósł pierzem, czerpając nie lekki zasilek z dzieła *Arata* o fenomenach, trudno nie dziwić się skąd Wirgiliusz przyszedł do tak głośnej sławy w poprzek całego nieledwie świata? Ileżby podobnych plagiatów, ile przełacinionej gładkiem piórem greczyzny wytknąć nie można w pieśniach nawet lirycznych tak wslawionego Flakka? — Blumauer i Ferdynand Chotomski przenicowali Eneydę, Anchizowicza to w kusym pokazując kubraku, to w peruce z arcapem. Czemuż dotąd nikomu jeszcze w myśl nie wpadło parodyować tym kształtem *Illiady*, albo *Odyssei*? Alho téż wyzwolonej Jerozolimy, *Luziady*, i utraconego raju? W rossyjskim nawet języku zdarzyło mi się czytać dowcipnie trawestowną *Eneydę*. — Zawsze mi się dziwnym zdawał ten tak opaczny los wspomnionego poematu. Musi to być jakiś nieodgadniony fatalizm, srodze dotykający tacińską poezją podawaniem w coraz nową śmieszność, i jakby strojeniem żartów, coraz nowemi szyderstwa pośmiechami najcelniejszego jój utworu.

Koniec pierwszego Tomu.





Julian

1 2 3 4 5 6 7 8

Julch

Julian

Julian

Julian

Julian

Jul

Julch

Julch

5-

5-

184-196.

